

Wojciech Kilar
in memoriam -s. 10



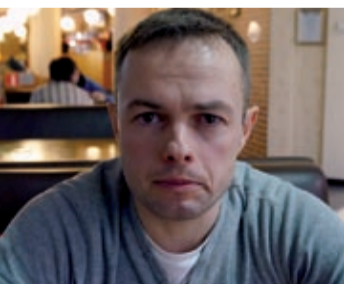
Święta w tradycji
ormiańskiej -s. 24



O zamku w Czernelicy
-s. 28



Rozmowa
z Ołeksandrem Zinczenką
-s. 8



ISSN 1996-2304



9 771996 230009

Dywagacje o Majdanie

W nowy rok na Ukrainie wiele osób wraca zmęczonych Majdanem. Nie tym konkretnym, na którym koczują, a Majdanem jako zjawiskiem, które od kilku tygodni na dobre rozgościło się w mediach i świadomości społecznej. Majdanem, o który wciąż pytani są dziennikarze i analitycy, a na które to pytania nie potrafią wciąż udzielić odpowiedzi.

AGNIESZKA SAWICZ

„Trudno przewidzieć jak to się dalej potoczy” – mówią, a coraz częściej można odnieść wrażenie, że może raczej nie chcą dostrzec tego, że cała idea społecznego protestu dyskredytuje się na ich oczach, z każdym dniem coraz bardziej upolityczniona i jest coraz dalsza od pierwotnych haseł, które jej towarzyszyły.

Kiedy pierwsi ludzie oburzeni zerwaniem rozmów z Unią Europejską wyszli na ulice, w kraju dawało się odczuć radosne podniecenie. Nie mówiono o nowej rewolucji, a raczej oddolnym obywatelskim ruchu, który może wreszcie spełni marzenie

ci siłę do walki, to właśnie Majdan. Prezydent i rząd raczej się przyccaili i czekają, aż druga strona straci swój zapał. Bo też i liczba protestujących maleje sukcesywnie, czemu trudno się dziwić. Ktoś mógłby powiedzieć, że wytrwać trzeba do skutku, do zwycięstwa, ale w dobie wirtualnej rzeczywistości coraz więcej osób zdaje sobie sprawę z tego, że dziś już trudno jest powtórzyć uliczny sukces pomarańczowej rewolucji.

Inna jest dziś Ukraina, inni ludzie stoją na jej placach. Pokolenie młodych, wychowanych na internecie i portalach społecznościowych, przywiązuje inną wagę do informacji i jest świadome tego, że droga do politycznego sukcesu będzie dziś

Zachód, jak można przypuszczać, oczekuje na wyniki rozmów pomiędzy demonstrantami a rządzącymi. Jeśli jeszcze mu na tym zależy, to problemem dla unijnych stolic w rozumieniu sytuacji w Kijowie są niejasne relacje między opozycją a manifestantami. Czy to ci sami ludzie, czy może dwa odrębne oboje? Jak wielka, co za tym idzie, jest świadomość protestujących, czy ktoś za nimi stoi, czy im płaci i inspirowuje Majdan?

Ogrom znaków zapytania nie budzi zaufania do Ukraińców. To, co dla analityków i naukowców jest wspólnym materiałem do badań, od politologicznych, przez socjologiczne, do tych z zakresu psychologii, dla polityków, dziennikarzy i przeciętnych

rozbiierać barykady, w sytuacji, kiedy Kościół greckokatolicki na ręce metropolity Światosława Szewczuka przyjął ostrzeżenie wystosowane do jego duchownych, którzy zbytnio zadomowili się wśród protestujących i za głośno ich popierają. A do tego wszystkiego, opozycji nie udało się zyskać społecznego zaufania i wciąż podejrzewana jest o chęć przejęcia obywatelskiego ruchu i zbitcia na nim kapitału politycznego.

Ale to akurat nie dziwi w sytuacji, gdy Majdan powoli przeradza się w arenę przedwyborczych prezentacji. Arsenij Jaceniuk, Witalij Kliczko i Ołeh Tiahnybok zdają sobie sprawę, że kontrola nad OZM może stać się sposobem na objęcie prezy-



Konstanty Czawaga

Ukraińców o odsunięciu od władzy ludzi, którym już dawno przestano ufać. I jeszcze o odwróceniu kraju od rosyjskiej równi pochylej, po której Ukraina stoczy się do grona państw autorytarnych. Kiedy w nocy 30 listopada 2013 roku w Kijowie pobito studentów, entuzjazm zaczął się mieszać z obawami, czy przypadkiem Janukowycz już dawno temu nie ustalił z Putinem, że ma zostać drugim Łukaszenką. Co za tym idzie zabrakło pewności, czy atak na manifestantów będzie jednorazowym „wybrykiem” czy też za chwilę zaczną masowo popełniać samobójstwa i wjeżdżać w przydrożne drzewa opozycyjni aktywiści i niewygodni dziennikarze. Nie mniej, zmobilizowało to Ukraińców do dalszych protestów i przez moment wydawało się, że władza ulegnie pod presją obywateli i świata.

Tymczasem i świat, i obywatele przycichli. Gdyby nie atak na Tetianę Czornowol można by uwierzyć, że świąteczna atmosfera spacyfikowała nastroje, lecz „nieznani sprawcy”, chętnie identyfikowani z władzą pokazali, że jeśli ktoś stopniowo tra-

prowadzić przez europejską, jeśli nie światową akceptację lub dezaprobatę dla sytuacji nad Dnieprem, bądź przez rozlew krwi. Ten się niestety już dokonuje. Dziękować należy, że nie na szeroką skalę, lecz to żadne pocieszenie dla każdego, kogo dosięgli „chuligani”, „tituszk” czy Berkut. Natomiast Europa i świat mają swoje problemy. Opady śniegu, olimpiada w Soczi są ważniejsze, niż kilka tysięcy demonstrantów gdzieś tam, blisko Rosji.

Polska co prawda szykuje się do koncertu, podczas którego rockowi muzycy mają pokazać, że cały naród jest po stronie Ukraińców, jednak wcześniej pewnie będą musieli ten naród przekonać, że wschodni sąsiad przez pomyłkę demonstruje z Banderą za plecami i czerwono-czarnymi proporcami nad głową. Nie ma bowiem co się oszukiwać, że przy najbliższej nadarzającej się okazji Polacy nie wytkną Ukrainie Wołynia, a kto by chciał stawać po stronie zbrodniarzy? Pewnie nawet i na tym Majdanie to oni tam z nożami w zębach biegają...

zjadaczy chleba stanowi konglomerat twórców niekonstytucyjnych, chaotycznie zgrupowanych gdzieś pomiędzy barykadami, które de facto nie mają siły sprawczej. Czy taką zyska Ogólnoukraińskie Zjednoczenie „Majdan”? Nie można wykluczyć, ale nie należy przesadzać z optymizmem. Nawet, jeżeli w obwodach powstaną jego ośrodki, które mają kontrolować władzę, trzeba się zastanowić, na ile jest to plan realistyczny. I jak poradzi z nim sobie prezydium, w składzie którego znaleźli się przedstawiciele sektora pozarządowego, ale też Udaru, Batkiwyszczyny i Swobody (nie ukrywajmy, zwłaszcza ta ostatnia nie cieszy się wielką społeczną sympatią, a za granicami Ukrainy wręcz traktowana jest wrogo), a na jego czele stanęła piosenkarka Rusłana. Czy taki zestaw działaczy ma szansę na efektywne działania? Chciałoby się wierzyć, że tak. Zwłaszcza w sytuacji, gdy władze po cichu nękają demonstrantów a to kolejnymi siłowymi starciami, a to blokadami autokarów, a to, jak mawiają wtajemniczeni, oplacaniem mieszkańców Kijowa próbujących

denckiego fotela i należy zakładać, że skwapliwie z tej możliwości skorzystają. Czy zatem w ich interesie leżałoby doprowadzenie do rozmów z rządem? W to można powątpiewać. Być może radykalizacja nastrojów pozwoliłaby zbić większy kapitał, niezbędny w wyścigu po najwyższy urząd w państwie.

Majdan przestaje być powoli Euromajdanem. Zachód chyba zapomni, że na Ukrainie ktoś zimą nocuje w namiotach. Ukraińców powoli zaczną zaprzętać sprawy dnia codziennego; każdy serial z czasem się znudzi. O integracji z Unią Europejską wspomina się coraz rzadziej, na plan pierwszy zaczęły wybijać się prezydenckie i parlamentarne wybory, zmiany ustawy zasadniczej i przepisów prawnych. Lada chwila zapomni się być może i o unii celnej, niewielu będzie interesować prorosyjski dryf kraju. A Julia Tymoszenko odsiedzi swój wyrok do końca. Zmęczona i zrezygnowana, podobnie jak Ukraińcy, którzy z prawnego punktu widzenia są może i wolni, lecz można wątpić, czy niezależni.

Kuria urzęduje w pałacu arcybiskupów

Na początku 2014 roku w wyremontowanych pomieszczeniach pałacu arcybiskupów we Lwowie rozpoczęła pracę Kuria Metropolitalna archidiecezji lwowskiej obrządku łacińskiego.

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

Mówi ks. Władysław Grymski, kanclerz kurii:

- Pomieszczenia zostały wyposażone w meble i sprzęt. Arcybiskup Mieczysław Mokrzycki będzie mógł sprawnie zarządzać diecezją, służyć wiernym. Postaramy się, aby każdy urzędnik kurii podnosił swoje kwalifikacje, kompetencje w swojej dziedzinie. Chcielibyśmy, żeby każdy człowiek, który się zwraca się do Kurii w tej czy innej sprawie mógł

szym czasie będziemy drugą instancją dla Kamieńca Podolskiego. Wkrótce będziemy sądem metropolitalnym dla całej Ukrainy. Mamy już pracowników, część z nich jest po studiach, niektórzy jeszcze się uczą. Obecnie w sądzie pracuje trzech sędziów stałych. Mamy też księdza notariusza, dwóch obrońców wężła i dwóch psychologów. Do każdego procesu potrzebne jest badanie psychologiczne.

Zdaniem ks. Leona Salomona najważniejsza jest pomoc ludziom. – Udzielamy pomocy przez prowa-



Biskup Leon Mały i ks. Władysław Grymski

otrzymać odpowiednią pomoc. Na dziś już w pełni działa kancelaria, funkcjonuje archiwum, funkcjonuje sąd metropolitalny. Również działa już wydział duszpasterstwa ogólnego, funkcjonuje wydział środków masowego przekazu.

Wiceoficjał sądu metropolitalnego ks. Leon Salamon: 8 stycznia zaczęliśmy pracę w sądzie metropolitalnym. Cieszymy się z tego, że

dzenie procesu – zaznaczył. – Procesy prowadzone są w przeciągu trzech do pięciu miesięcy. Czas zależy też od osób, które składają skargi. Potem, jako pierwsza instancja, wydajemy wyrok, jest albo pozytywny, albo negatywny. Określamy czy dało się udowodnić przeszkodę umożliwiającą unieważnienie sakramentu. Potem musi zatwierdzić wyrok druga instancja,



Notariusze ks. Kazimierz Hawluk (od lewej) i ks. Aleksander Kusy

wreszcie możemy pracować w nowym miejscu. Są warunki do naszej pracy i naprawdę jest za co Panu Bogu dziękować. W końcu zaczęliśmy już tutaj działać jako sąd. W sądzie zajmujemy się różnymi sprawami. Najwięcej związanych jest z sakramentem małżeństwa i unieważnieniem małżeństwa. Prowadzimy procesy z całej naszej archidiecezji, jako pierwsza instancja. W najbliż-

która jest w Krakowie i która potwierdza naszą działalność, naszą pracę. I wtedy osoby zainteresowane unieważnieniem małżeństwa mogą na nowo, jeżeli jest pozytywny wyrok, zawrzeć małżeństwo. To znaczy pojednać się z Bogiem. Dla wielu par jest to największa radość, bo w końcu mogą żyć z Panem Bogiem. Tak wygląda nasza praca tutaj, cieszy nas każdy pozytywny wyrok,



Kuria Metropolitalna we Lwowie



ks. Leon Salamon

kiedy faktycznie można udowodnić, że ludzie na nowo mogą zacząć układać swoje życie w rodzinie.

Mamy sekretariat i notariusza, który przyjmuje skargi – mówi ks. Leon Salamon. – Potem praca jest rozdzielana. Taka praca codzienna, od poniedziałku do piątku. Przesłuchiwanie petentów, pisanie wyroku czy pisanie uwag. W 2013 roku

przyjeliśmy 17 spraw, które są prowadzone. Nie wszyscy wiedzą o tym, że taki sąd istnieje. W czasach sowieckich taka instancja nie istniała. Teraz księża na parafiach też próbują dotrzeć do tych ludzi, aby im pomóc. Ogłaszamy, że jest taki sąd, gdzie można załatwić swoje trudne sprawy. Zwłaszcza te dotyczące sakramentu małżeństwa.

W części pomieszczeń lwowskiej Kurii Metropolitalnej nadal trwają prace budowlane. – W przyszłości, być może zacznie tu funkcjonować Muzeum Archidiecezjalne, gdzie będą eksponowane dzieła sztuki sakralnej – poinformował kanclerz ks. Władysław Grymski. – W gmachu będzie aula, sala konferencyjna. Nie wszystkie pomieszczenia są wyposażone, potrzebujemy jeszcze trochę czasu. W Kurii Metropolitalnej odbywają się audyencje biskupów. Arcybiskup



ks. Władysław Grymski

Mieczysław Mokrzycki i biskup Leon Mały przyjmują na audyencjach księży i wiernych. W przyszłości będą tu funkcjonować inne wydziały, inne referaty, komisje, które usprawnią działalność Kurii.

Kontakt do Kurii:
furta: +380 32 2350650
fax: +380 32 2350649



W sądzie metropolitalnym

Zagadki kalendarza

Kiedy zjednoczona Europa zakończyła obchody świąt Bożego Narodzenia i rozpoczęła nowy rok, Ukraina tradycyjnie dopiero weszła w fazę „świąt zimowych”. Przygotowania do wigilii, „starego” Nowego Roku i Chrztu Pańskiego odbywają się po hucznych zabawach noworocznych w okresie postu przed Bożym Narodzeniem. Kolejny przeciągający się „ukraiński ramadan” znowu wywołuje myśl o unikatowości kultury ukraińskiej jako takiej i kalendarza w szczególności.

TEODOR SPYTIUK

Posługiwanie się kalendarzem juliańskim w życiu cerkiewnym nie jest niczym nadzwyczajnym. Jednak w połączeniu z proeuropejską retoryką ukraińskich hierarchów i próbą (co najmniej na poziomie deklaracji) oddalenia się od „russskoho mira”, wygląda trochę niedorzecznie. Dotyczy to zwłaszcza Kościoła greckokatolickiego.

Od ponad stu lat w Galicji nie traci na aktualności problem „synchronizacji kalendarzy”. Od ponad stu lat omawiana jest kwestia ukraińskiego festiwalu „od Romana do Jordana” (przede wszystkim gastronomicznego), ale wóz z miejsca nie ruszył. Dzisiaj, gdy wybór kierunku europejskiego jest pytaniem numer jeden, mamy dobrą okazję do trzeźwej oceny sytuacji i być może wypchnięcia problemu z punktu zero.

Warto określić, czym tak naprawdę w kulturze ukraińskiej jest kalendarz juliański (z nieznanym powodem nazywany czasem „bizantyjsko-ukraińskim”). I czy rzeczywiście gregoriański (nazywany dla odmiany kalendarzem „rzymskim”) nie może go zamienić. Tu trzeba zaznaczyć, że na co dzień świąt (a wraz z nim Ukraina) od dawna używa chronologii gregoriańskiej. Nie mniej jednak kalendarz juliański pozostaje ważnym elementem tradycji kościoła wschodniego oraz częścią kultury ukraińskiej.

Skoro mamy zamiar synchronizować nasze życie z życiem obywateli Unii Europejskiej, a nie z resztą „russskoho mira”, uporczywe obstawanie przy kalendarzu juliańskim jest absolutnie bezpodstawne. Kalendarz liturgiczny służy przecież jako podstawa do wyznaczania świąt i dni roboczych. Ten problem jest dobrze znany przedsiębiorcom ukraińskim, działalność których jest związana z partnerami zachodnimi lub przewiduje współpracę z europejskimi instytucjami czy urzędami. Chcesz czy nie, a święta obchodzisz według obu kalendarzy. Podobne problemy mają też współcześni emigranci na Zachodzie, najpierw mają oficjalne dni wolne, „bo u nich święto”, a za dwa tygodni nie wolno pracować „bo u nas święto”.

Nie ma przeszkód dogmatycznych do wprowadzenia reformy, pozwalającej Kościołowi wschodniemu na zmianę kalendarza z juliańskiego

na gregoriański. Hierarchowie po prostu obawiają się reakcji wiernych i innych Kościołów na taką „westerlizację”. Nie jest tajemnicą, że ważnym zadaniem strategicznym deklarowanym przez hierarchów Kościołów wschodnich, jest osiągnięcie na Ukrainie jedności kościelnej. Ma ona doprowadzić do ukształtowania jednego lokalnego Kościoła ukraińskiego (ukr. pomisna cerkwa). Przejście jednego z Kościołów na kalendarz „rzymskokatolicki” stałoby się kolejną przeszkodą albo też zręcznym pretekstem do zerwania procesu

miała sporo minusów w wymiarze ekonomicznym, zazwyczaj władze wyznaczały jako oficjalne dni wolne od pracy wyłącznie „polskie” święta. Było to niewygodne dla grekokatolików i prawosławnych, od czasu do czasu doprowadzało do konfliktów na tle etnicznym, ale Ukraińcy uparcie trzymali się „starego” kalendarza.

Wygląda na to, że na początku wieku XXI wieku, podobnie jak sto lat temu, kalendarz nie przestał pełnić funkcji ważnego identyfikatora tożsamości. Potwierdzeniem tego jest walka o „historię prawdziwą” wyrażająca

miejskiej przestrzeni publicznej – w Charkowie zniszczono, a we Lwowie odsłonięto tablicę upamiętniającą Jurija Szewelowa.

Niestety „narodowy” kalendarz ukraiński tworzony jest według zasady „oby nie radzieckie”, przy tym zapominamy o powodach proeuropejskich i zwykłych, ukraińskich. W wyniku tego, mamy licznych przeciwników hucznych obchodów „Dnia Zwycięstwa w wielkiej wojnie ojczyźnianej” 9 maja i nie mniej licznych zwolenników właśnie takiego określenia i obchodów. Przy tym obydwie

konserwatywny laik czy rozsądni pasterze? Jak możemy mówić o autorytecie duchownych, skoro hierarchowie zamiast nauczać i prowadzić, swoje działania dostosowują do reakcji „widza”? Oczywiście wskutek wprowadzenia pewnych reform cerkwie mogą stracić część wiernych. Ale mechanizm może też zadziałać w drugą stronę - można stracić wiernych nie wprowadzając zmian. Niebezpieczeństwo braku reformy kalendarza stanowią nie „podziały”, ale wydłużanie ukraińskiego „ramadanu” o kolejne dwa tygodnie oraz obchody takich świąt jak „stare Boże Narodzenie” czy „stary Jordan”. Nikogo to nie zdziwi, wszak Galicjanie obchodzą przecież 8 Marca, nazywając go łagodnie „Dniem Hamana”. A dzień świętego Walentego w przeciągu kilku lat stał się prawdziwym festynem. Poza tym święty Mikołaj pokojowo współistnieje z Dziadkiem Mrozem.

Tak czy owak, dla chrześcijan logiczne są obchody Nowego Roku po Bożym Narodzeniu: kiedy skończył się post, kiedy mniej ważne wydarzenie – narodziny nowego roku – usytuowane jest za ważniejszym – narodzeniem Syna Bożego. Byłoby przyjemne, gdybyśmy mogli obchodzić Boże Narodzenie z resztą świata. Zwłaszcza dla katolików obrządku wschodniego, gdy na placu świętego Piotra w Rzymie papież błogosławi wszystkim katolikom świata. Zainteresowanie Moskwy w istnieniu „muru berlińskiego” wokół „russskoho mira” nawet w postaci różnicy kalendarzowej można zrozumieć, ale pozostaje zagadką, po co Ukraińcy dobrowolnie pozostają po „tamtej” stronie.

Tradycje ukraińskie miałyby więcej szans na zdobycie popularności, gdyby były bardziej funkcjonalne w rzeczywistym życiu, a nie przypisane do grupy z rezerwatu. Ale to wymaga pewnego wysiłku. Na początek, wyzreczenia się przyzwyczajęń związanych z podwójnym życiem, przedstawiających się nawet w praktyce podwójnego obchodzenia Nowego Roku – 1 i 14 stycznia. Poza tym nieźle by było, aby nowy rok rozpoczął się starym ukraińskim zwyczajem „zasiewania” przez dzieci owsa na pomyślność, a nie marszem z pochodniami upamiętniającym więźnia obozów nazistowskich Stepana Bandera.

ukraińska wersja artykułu ukazała się na portalu zaxid.net



połączenia i przerwania odpowiedzialności. Z drugiej strony wiemy, że ukraińska Cerkiew prawosławna patriarchy Moskiewskiego nie zdecydowała się na zerwanie łączności z Moskwą, żeby budować zjednoczony lokalny Kościół na Ukrainie, więc nie jest to problem kalendarza.

Pozostaje wymiar symboliczny: kalendarz jako część tożsamości narodowej. I to jest najpoważniejszy powód. Ukraińcy (tak prawosławni, jak grekokatolicy) uparcie odmawiają obchodzenia świąt Bożego Narodzenia i innych świąt chrześcijańskich razem z chrześcijanami zachodnimi. Długie stulecia grekokatolicy pod władzą Polski i Austrii opierali się polonizacji, między innymi dzięki wschodniej tradycji kościelnej. Kalendarz był jedną z oznak, która pomagała wyodrębnić „swoich”, przeciwstawiając ich „lajcinnikom” – Polakom. Taka polityka

się w bitwie na daty z kalendarza. Walka trwa ze zmiennym powodzeniem już od 22 lat niepodległości. Pod ręką mamy przykłady: na Ukrainie współistnieją obecnie trzy różne święta „obroncy ojczyzny”: radzieckie, obchodzone 23 lutego, oficjalne ukraińskie – 6 grudnia oraz nieoficjalne „upowskie” – 14 października. Podobnie jak za czasów austriackich współistnieją różne „kalendarze patriotyczne” – prorosyjski, postradziecki oraz narodowy proukraiński. Różnica obejmuje nie tylko obchody różnych dat historycznych (np. „wyzwolenie od najeźdźców faszystowskich” czy „czyn listopadowy”). Zakłada też różne stopnie popularności oraz symboliczne traktowanie wspólnych świąt – Dnia Matki, 8 Marca, Dnia Zwycięstwa i in. Na regionalnym poziomie różnica jeszcze bardziej rażąca. Warto przywołać przykład historii znakowania

strony zwalczają jedna drugą wykorzystując stare sposoby radzieckiej propagandy. Pomysł przekształcenia tej daty na „dzień pamięci i pojednania” (8 i 9 maja) spowodowałby obniżenie stopnia napięcia i wyjście z zaczerwanego koła nacjonalistycznych i radzieckich klisz ideologicznych, deklaracja wprowadzenia takiego święta pojawia się co roku, ale nie znajduje wystarczającej liczby zwolenników.

Sytuacja w kwestii religijnej jest jeszcze bardziej przygnębiająca. Kościoły ukraińskie są mocno związane z „ruskim mirom” poprzez obrządek, tradycje i wspólny kalendarz. Więc nie jest to „dobry czas” na zmiany, jak to zwykle bywa na Ukrainie, bo „ludzie się podzielią”. Tak poważne przeszkody powodują, że zaczynamy się zastanawiać nad tym, kto rzeczywiście kieruje Kościołami:

Powrót „Dziewczynki w czerwonej sukience”

Na przełomie 2013/2014 w pałacu Potockich we Lwowie prezentowano „Portret dziewczynki w czerwonej sukience” Józefa Pankiewicza. Pokaz odbył się w ramach VI edycji projektu Most Kultury, organizowanego przy współpracy Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, Centrum Informacyjno-Artystycznego 365 we Lwowie, Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki oraz Biura Wystaw Artystycznych w Kielcach i Muzeum Narodowego w Kielcach, w posiadaniu tego ostatniego znajduje się obraz. Patronat nad wydarzeniem objął marszałek województwa świętokrzyskiego Adam Jarubas. Pomysłodawcą i koordynatorem przedsięwzięcia jest konsul RP we Lwowie Andrzej Słomski.

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

„Most Kultury tworzy możliwość komunikowania się uniwersalnym językiem sztuki dwóch kręgów kulturowych: polskiego i ukraińskiego, wznosi się ponad podziałami i granicami, łączy narody, idee, ludzi i ich dzieła, umożliwia współpracę i wymianę doświadczeń” – powiedział podczas otwarcia wystawy Jarosław Drozd konsul generalny RP we Lwowie.

„Jest to powrót do naszego miasta Józji Oderfeldówniej, bohaterki tego obrazu” – mówiła Łarysa Razinkowa-Woźnicka, dyrektor Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki witając wnuka „dziewczynki” Tadeusza Szaneckiego wraz z rodziną, którzy przyjechali z Katowic.

O historii obrazu mówił dr Robert Kotowski, dyrektor Muzeum Narodowego w Kielcach: „W 1965 roku do kieleckiego muzeum, trafił jeden z najpiękniejszych obrazów, jakie dotąd zgromadzone zostały w galerii malarstwa polskiego Muzeum Narodowego w Kielcach. Perła nie tylko kieleckiej kolekcji, ale przede wszystkim polskiego symbolizmu. Obraz pędzla Józefa Pankiewicza



Organizatorzy wystawy i rodzina bohaterki utrwalonej na obrazie

dziecko, pozowała już do obrazu innemu wielkiemu artyście, Władysławowi Podkowińskiemu. Niestety zdenerwowanie i trud pozowania dla kilkuletniej dziewczynki okazał się być nie do zniesienia. Mała czterolatka w proteście przeciw nującym obowiązkom modelki obcięła sobie grzywkę. Rozgniewało to artystę, który do czasu odrośnięcia włosów przerwał pracę nad obrazem. Niestety, przedwczesna śmierć mistrza w 1895 roku nie pozwoliła dokończyć dzieła, które już tylko w takiej postaci mogło zdobić salon Oderfeldów, później

pracę nad kolejnym portretem Józji Oderfeldówniej, przedstawiającym dwunastoletnią modelkę w białej bluzce z kokardą. Niestety obraz ten nie przetrwał wrześniei nawałnicy 1939 roku i najprawdopodobniej spłonął w warszawskim mieszkaniu przy ul. Czackiego. Wśród nich, na szczęście, jak się później okazało, nie było „portretu dziewczynki”, dla którego los okazał się być łaskawy. Po śmierci Adama Oderfelda, podobnie, jak większość jego kolekcji trafił do domu Aniela Laurysiewicza, siostry Józefy, i tu ozdabiał salon do 1936

ka z obrazów Pankiewicza: „Urodziła się w Warszawie w roku 1890, jako drugie spośród piątki dzieci Janiny Jadwigi z Koniców i Adama Oderfeldów. W rodzinie obok Józji wychowywało się jej rodzeństwo Aniela, Stefan, Anna oraz Karolina. Dzieciństwo Józefy, jak i jej siostr oraz brata, upływało w dostatku. Pozycja ojca, jego pokaźne dochody wynikające z pracy adwokata, jak również trafione inwestycje, pozwalały na zapewnienie całej rodzinie komfortowych warunków życia i dobrobytu, a także zadbania o wykształcenie dzieci. Józefa Ode-

miał podjąć pracę w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Wybuch wojny udaremnił jednak te plany i rzucił rodzinę Józefy do Lwowa. W założeniu, to z pewnością tylko chwilowe schronienie we Lwowie, okazało się dla Józefy i jej męża miejscem pobytu nie tylko na czas wojny, ale na resztę życia. Wacław znalazł pomoc i pracę w Bibliotece Ossolineum, gdzie bez reszty oddał się porządkowaniu polskiego księgozbioru. Życie we Lwowie wymagało wielu wyrzeczeń i ostrożności, bowiem każdego dnia nad polską rodziną czyhało niebezpieczeństwo wywózki czy innych represji. Związana z tym była także rozłąka z córką, która za zgodą rodziców postanowiła wrócić do kraju. Józefa pragnęła przyjechać do Polski i podjęła starania zmierzające do uzyskania pozwolenia na wyjazd do kraju. Było to niezwykle trudne i długotrwałe. Dopiero w 1952 roku po raz pierwszy udało się jej przyjechać do Polski i odwiedzić córkę. Niestety, był to już schyłkowy okres życia Józefy. Ze wspomnień rodzinnych można dowiedzieć się, że podczas jednego z kolejnych pobytów w Polsce, w obliczu przeżyć jakich doznała w ostatnich latach jej serce nie wytrzymało. Zmarła nagle w pociągu w dniu 7 kwietnia 1954 roku. Pomimo, że właśnie tak zapamiętane zostały okoliczności jej śmierci nie są one do końca wyjaśnione”.

Po symbolicznym odsłonięciu obrazu wicerektor Lwowskiej Narodowej Akademii Sztuki prof. Orest Hołubeć wspominał, że Józef Pankiewicz należy do najwybitniejszych artystów w historii sztuki polskiej. Tworzył pejzaże, martwe natury, portrety, sceny rodzajowe. Ważną dziedziną jego twórczości była też grafika. Z kolei malarz i ilustrator Władysław Podkowiński uważany jest za prekursora polskiego impresjonizmu.

Wspomnieniami rodzinnymi podzielił się wnuk bohaterki obrazu Tadeusz Szanecki, który również złożył serdecznie podziękowania organizatorom pokazu „Portretu dziewczynki w czerwonej sukience” we Lwowie.

KG



z roku 1897 zatytułowany „Portret dziewczynki w czerwonej sukience”. Wybitne malowidło, przedstawiające kilkuletnią dziewczynkę o drobnej twarzy i regularnych rysach, rozpuszczonych blond włosach i jasnej karnacji. Cierpliwie wsparta lewą ręką o oparcie przesła pozuje malarzowi patrząc przed siebie i trzymając w prawej dłoni śnieżnobiałą chustkę, niczym infantka z dzieła Velazqueza. Ubrana jest w wytworną czerwoną suknię wizytową, spiętą na ramieniu kokardą. Obraz został nagrodzony II nagrodą (pierwszej nie przyznano) w konkursie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Nie był to pierwszy portret owej urodziwej dziewczynki, bowiem kilka lat wcześniej na życzenie swego ojca, jako czteroletnie

zaś dorosłej już modelki. To, czego nie udało się dokonać Podkowińskiemu, z powodzeniem zrealizował Pankiewicz uwieczniając na płótnie małą Józję. Co więcej, jej portret w czerwonej sukience nie był jedynym jej wizerunkiem, jaki wyszedł spod pędzla Pankiewicza. Dziadkowie Józji Oderfeldówniej także zapragnęli mieć podobiznę wnuczki i na ich życzenie artysta namalował replikę tego niezwykle udanego obrazu. Artyście zabrakło jednak cierpliwości do odtworzenia oryginału w pełnym kształcie. Powstał uproszczony w kompozycji portret, który miał zdobić salon dziadków Józefy. Dziś obraz ten można oglądać w Muzeum Narodowym w Krakowie. W tym samym roku Pankiewicz rozpoczął

roku, kiedy to Aniela podarowała go Józefie i jej mężowi na srebrne wesele. Józefy, najprawdopodobniej ze względu na przykre wspomnienia długich godzin pozowania, nie przepadała za tym obrazem, w związku z czym zdeponowała go w Muzeum Śląskim skąd przewieziony został na czas wojny do muzeum w Bytomiu, by w 1945 roku mógł wrócić do Hanny Szaneckiej, córki portretowanej dziewczynki. Kłopoty materialne zmusiły ją jednak do sprzedaży rodzinnej pamiątki, portretu matki. Obraz po latach za pośrednictwem osób prywatnych i antykwarium trafił ostatecznie do zbiorów Muzeum Narodowego w Kielcach”.

Dr Robert Kotowski powiedział także kim była urodziwa dziewczyn-

ka, ukończyła, podobnie, jak jej siostry, jedno z krakowskich gimnazjów i została przygotowana do podjęcia studiów prawniczych, tak, by mogła w przyszłości zająć miejsce swego ojca. Józefy po zdobyciu średniego wykształcenia „wysłana” została na prestiżowe studia prawnicze na Sorbonę, które jednak zmuszona była przerwać po śmierci ojca Adama Oderfelda w 1910 roku. W rok później Józefy poślubiła Wacława Olszewicza, a w 1920 roku na świat przyszła ich córka Anna. Praca męża skierowała losy Olszewiczów na Śląsk, do Siemianowic, gdzie zamieszkiwali do 1939 roku. W sierpniu 1939 roku Józefy z rodziną opuściła Śląsk, przenosząc się do Warszawy, gdzie jej mąż Wacław od 1 września

Matka Boża w starej kronice filmowej

Młodzi naukowcy z Ziemi Stanisławowskiej odnaleźli w warszawskich archiwach najstarszy film o Stanisławowie (obecnym Iwano-Frankiwsku). Pochodzi z koronacji cudownego obrazu Matki Bożej Łaskawej patronki Stanisławowa z kościoła ormiańskiego. Nagrano go 30 maja 1937 roku. Przed kilkoma dniami widzowie iwanofrankińskiego Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego z dużym zainteresowaniem obejrżeli archiwalny film.

SABINA RÓŻYCKA
tekst
SABINA RÓŻYCKA,
WOŁODYMYR WINTONIW
zdjęcia

W trakcie pracy nad doktoratem na temat „Codzienne życie mieszkańców woj. stanisławowskiego” Roman Czorneńki z Iwano-Frankiwka, pracownik naukowy Narodowego Muzeum Wojskowego Ukrainy odnalazł informację o tym, że Polska Agencja Telegraficzna (PAT) filmowała uroczystość koronacji cudownego obrazu stanisławowskiej Matki Bożej Łaskawej.

- Opracowywałem rozdział „życie religijne” – opowiada Roman Czorneńki. – Nie mogłem ominąć tak ważnego dla kościoła katolickiego całego województwa wydarzenia. Podczas badań materiałów archiwalnych natrafiłem na publikację księdza ormiańskiego Konstantego Żukiewicza, wydaną we Lwowie w 1938 roku. Odnalazłem tam wzmiankę o filmowaniu uroczystości przez PAT.

Temat został poruszony podczas rozmowy z doktorem Petrem Hawryłyszynem z Centrum Europy Centralno-Wschodniej Uniwersytetu Przykarpaccyckiego. Od sierpnia 2013 roku był on na stażu na Uniwersytecie Warszawskim. Pan Hawryłyszyn przypuścił, że informacja mogła trafić do kroniki filmowej „Tygodnika PAT”. Należało przejrzeć kroniki z czerwca 1937 roku, bo informacja trafiała tam z opóźnieniem. Kroniki demonstrowano w kinach przed seansem filmowym.

- Zaczęłam opracowywać zbiory Filмотeki Narodowej – mówi pan Hawryłyszyn. – We wrześniu ubiegłego roku trafiłem na poszukiwaną kronikę. To, że materiał zachował się do dziś jest wielkim szczęściem, bo w czasie II wojny światowej Warszawa została prawie całkowicie zniszczona. Zaginęło wiele przedwojennych filmów.

Do Filмотeki Narodowej zwrócił się rektor Uniwersytetu Przykarpaccyckiego prof. Igor Cependa z prośbą o stworzenie kopii dla celów naukowych. Strona polska przystała na propozycję. W chwili obecnej uczelnia iwanofrankiwska jest właścicielem praw na film na Ukrainie. W kronice przedstawiono kilka innych wydarzeń z tego okresu, ale jest wśród nich reportaż z koronacji cudownego obrazu w kościele ormiańskim. Było to wielkie święto religijne dla niewielkiego miasta wojewódzkiego. Według różnych danych wzięło w nim od 15 do 80 tys. ludzi. Przybyło 17 biskupów z ówczesnym prymasem Augustem Hlondem na czele.

Kronika nie jest długa – trwa około 5 minut. Przedstawione są tam frag-



ks. Wołodymyr Wintoniw obok kopii obrazu Matki Bożej Łaskawej w Iwano-Frankiwsku

menty z różnych wydarzeń. Materiał o koronacji trwa jedynie 38 sekund. Jest krótki, ale sam fakt, że się zachował – nadaje mu szczególnego wymiaru. Kronika ma napisy po węgiersku. Była przygotowana dla Węgrów, z którymi Polska miała dobre relacje. Prawdopodobnie była też wersja z polskimi napisami. Warto podkreślić, że jest to najstarszy film, na którym uwieczniono wydarzenia w Stanisławowie. Wcześniej za najstarszy uważano film z wejścia wojsk sowieckich do Stanisławowa w 1944 roku.

O cudownym obrazie opowiada grekokatolicki kapłan Wołodymyr Wintoniw, który przywiózł z Gdańska (tam obecnie jest oryginał cudownego obrazu Matki Bożej Łaskawej ze Stanisławowa) kopię obrazu.

- Jest to kopia obrazu Matki Bożej Częstochowskiej – mówi kapłan. – Po raz pierwszy została wspomniana w kronikach kościoła w 1742 roku. Jest tam informacja, że obraz został namalowany przez 70-letniego malarza Daniela dla sekretarza społeczności ormiańskiej. W ówczesnym Stanisławowie gmina ormiańska była liczna. Początkowo Ormianin przechowywał obraz w swoim domu. Gdy prawie oślepił, gorąco modlił się przed obrazem. Stał się cud – odzyskał wzrok i zobaczył łzy na twarzy Matki Bożej. Oddał obraz do kościoła. Łzy na obrazie stały się jeszcze bardziej widoczne. Cud został oficjalnie odnotowany przez komisję składającą się z osób świeckich i duchownych 22 sierpnia 1742 roku. Płótno, którym ocierano łzy z oblicza Matki Boskiej

również stało się kościelną relikwią. W rocznicę wydarzenia, 22 sierpnia, płótno było wystawiane, aby każdy mógł je dotknąć. Następnie wystawiano je co soboty. Obraz, który stał się relikwią dla wszystkich chrześcijańskich wyznań w mieście, służył za sprawą licznych uzdrowień i cudów.

Na znak wdzięczności za otrzymane łaski ludzie pozostawiali przy obrazie złote i srebrne wota. Kościół ogłoszono jako odpustowy dla katolików, grekokatolików i Ormian. Mięły stulecia, a do obrazu wędrowali ludzie z różnych zakątków. W 1936 roku w 23 szafkach wokół obrazu przechowywano 738 wotów. W 1937 roku obraz został ukoronowany. Koronację poprzedziła ogromna praca. Trzeba było udowodnić wiek ikony, szerzenie kultu w mieście i okolicy

oraz zaświadczyć cuda i łaski. Koronację utrwaliła na taśmie Polska Agencja Telegraficzna.

Wizerunek Matki Bożej Łaskawej, po zakończeniu II wojny światowej został przewieziony do Gdańska, przez księdza Kazimierza Filipiaka. Obecnie obraz jest w kościele św. Piotra i Pawła w Gdańsku.

Inf. red. Dominikanin Sadok Barącz w opracowaniu „Cudowne obrazy Matki Najświętszej w Polsce” wydanym w 1891 roku pisał: W kościele ormiańskim jest podobna obrazu Matki Najśw. Częstochowskiej, malowana przez starca 70-letniego dla jakiegoś pisarza Dominika, który modląc się przed tymże, z bólu ócz uleczony został. W roku 1742 dnia 22 sierpnia Dominik i inni ludzie widzieli łzy obficie z tego obrazu płynące. Wszyscy rzucili się jako do skutecznej opieki w swych potrzebach, a dnia 22 października w przytomności dziedziców miasta, szlachty okolicznej, wojska polskiego i za współudziałem duchowieństwa trojga obrządków, zaprowadzone zostało 40-godzinne nabożeństwo, które lud Introdukcją nazywa. Cuda potwierdził Jakób Augustynowicz, arcybiskup ormiański dnia 24 maja 1753 roku. Zebranych jest 33 w dziełku Jakóba Manugiewicza, proboszcza: „Godzinki o Najśw. Maryi Pannie w obrazie stanisławowskim łaskami sławnej”, wydanem w roku 1777, przedrukowanem w roku 1860.

Ze strony sanktuarium Matki Bożej Łaskawej w kościele św. Piotra i Pawła w Gdańsku: Obraz Matki Bożej jest wienią kopią wizerunku jasnogórskiego, lecz bez blizn na twarzy Bogarodzicy i pochodzi prawdopodobnie ze szkoły polskiej wieku XVII. Namalowany jest temperą na płótnie, rozpiętym na sosnowej desce. W kronikach kościoła ormiańskiego odnotowano, że został namalowany na życzenie pisarza gminy ormiańskiej w Stanisławowie, który potem modląc się przed tym obrazem, został wyleczony ze ślepoty. Wkrótce inni ludzie zaczęli doświadczać niezwykłych łask i w powszechnej opinii tych stron, stanisławowski wizerunek dorównywał jasnogórskiemu. Czciociele Matki Bożej Łaskawej mówili: „Jeżeli nie możesz odbyć pielgrzymki do Częstochowy i tam upaść na twarz przed Jasnogórską Panią, udaj się do niej w Stanisławowie, a nie zawieszysz się w swojej nadziei”. Niewyczerpana w swej dobroci śpieszyła Matka Boża Łaskawa z pomocą tym, którzy zwracali się do niej z ufnością. Przed obrazem dokonano się wiele cudów, między innymi, uzdrowienia z choroby oczu oraz febry. Do 1883 r. zanotowano 738 cudów potwierdzonych przez abpa Mikołaja Isakowicza.



Kadr z filmu o Stanisławowie z koronacji cudownego obrazu Matki Bożej Łaskawej

Czy Majdan jest wstępem do kampanii wyborczej 2015 roku?

Majdan ma za sobą trudny okres. Nowy Rok i Boże Narodzenie to czas, gdy większość uczestników wyjechała do swoich bliskich na święta. Rewolucja w tym okresie odsłoniła swoje gorsze oblicze. Koniec „wakacji” pozwala Majdanowi odzyskać dobry wizerunek za sprawą... Berkutu. Wśród pobitych przez tę służbę znalazł się Jurij Łucenko.



WOJCIECH JANKOWSKI
tekst i zdjęcia

Przyleciałem do Kijowa kilka godzin przed Nowym Rokiem. Opustoszałe lotnisko najlepiej świadczyło o tym, że rozpoczyna się okres świąteczny i życie na tydzień zamiera. Na Majdan dotarłem około 22. Tak jak na poprzednich wiecach, na placu były tłumy. Zauważyłem jednak coś, co wcześniej nie rzucało się w oczy. Zebrani na Majdanie nie specjalnie przejmowali się politykami. Bardziej byli zainteresowani składaniem so-

gólnie korespondent Kanalu 112, który chciał pokazać agresję służb porządkowych. Tymczasem na barykadzie już czekała milicja gotowa do interwencji...

Życie na Majdanie pozornie zwolniło tempo, ale pracownicy ochrony mówili, że nie mają świąt. Cały czas oczekiwali na nagły atak, poważną prowokację. Pojawiły się pogłoski o ściągnięciu z Krymu i z Ługańska jednostek Berkutu. Ochroniarze właśnie składają codzienną ofiarę, o której rzadko mówią media – 24 godziny na dobę spędzają na Majdanie. Cier-



bie życzeń. Przemowa Arsenija Jaceniuka została zupełnie zagłuszona przez fajerwerki. Oczywiście, jak zawsze, zebrani odśpiewali hymn narodowy z „lichtarykami”.

Wielu uczestników Majdanu, którzy tygodniami przebywali w stolecznym Kijowie, wyjechało do domu. Zwłaszcza mieszkańcy konserwatywnej zachodniej Ukrainy wrócili na święta. Nieobecność zwykłych protestujących uwypukliła wady Majdanu. Bojówkarze Swobody zhardzieli i bywali agresywni na barykadach. Poczucie władzy po kilku tygodniach musiało doprowadzić niektórych do demoralizacji. Z drugiej strony władza nie atakowała w święta, ale nie zaprzestała stosowania prowokacji. Jednego dnia pojawił się pijany obywatel Rosji z pistoletem. Innego dnia ktoś zerwał flagi ukraińskie z „jołki”. Na czym polegała prowokacja? Interwencją zainteresował się szcze-

pi na tym życie rodzinne. W momencie, gdy pisałem ten tekst dwie żony pracowników ochrony złożyły pozwy o rozwód. Może pozwów będzie jeszcze więcej?

Miesiąc po brutalnym zniesieniu barykady na ulicy Instytuckiej w Kijowie Berkut znów zaczął bić. Tym razem protestujących przeciw wyrokowi sześciu lat za zniszczenie pomnika Lenina. Wydarzenie to unaocznilo możliwości mobilizacyjne Majdanu. Pod sąd przyjeżdżali Ukraińcy, którzy zwolniali się przez telefon i media społecznościowe. Majdan trwa w stanie pozornego uspienia, z którego potrafi wybudzić się najdrobniejszym impulsem. Nasuwa się jednak pytanie: w jakim kierunku będzie podążać? O ile władza nie zastosuje specjalnych działań, może to być wstęp do długiej kampanii wyborczej 2015 roku.

KG

Prasa polska o Ukrainie

Opracował
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Szesnastowieczny obraz oraz dwie rzeźby z brązu wróciły do Polski dzięki działaniom MSZ, Ambasady RP na Ukrainie oraz pomocy ukraińskich służb ochrony porządku. Dzieła zostały skradzione z antykwariatów i domów aukcyjnych na terenie Krakowa w 2006 r. i wywiezione na Ukrainę. Dzisiaj podsekretarz stanu w MSZ Bogusław Winid przekazał je Prokuraturze Generalnej, która prowadzi śledztwo w sprawie kradzieży.

- Bardzo dziękujemy wszystkim służbom ukraińskim za pomoc w odzyskaniu skradzionych dzieł sztuki. Bez ich zaangażowania dzieła te nie wróciły do Polski – powiedział podczas uroczystości wiceminister Bogusław Winid. – Apelujemy również do domów aukcyjnych o starannejsze i właściwe zabezpieczanie zbiorów – podkreślił.

Odzyskane dzieła to „Zwiastowanie” – obraz szkoły nadreńskiej pochodzący z XVI w, a także dwie rzeźby z brązu: figurka chłopca trzymającego gęsi oraz grupa rzeźbiarska – dwa bażanty. Autorem pierwszej z rzeźb jest dreźniecki rzeźbiarz Richard Daniel Fabricius (1863-1923), drugiej – Francuz August Cain (1822-1894), cieszący się dużą popularnością twórca paryskich pomników i niewielkich rzeźb przedstawiających dzikie i domowe zwierzęta. Obie prace są sygnowane.

Skradzione w Krakowie dzieła sztuki wróciły do Polski. 18.12.2013

onet.pl Skandalem zakończył się przerwany miting w Kijowie. Prawie stu jego uczestników przyszło przed biuro Partii Regionów, aby zażądać wypłaty za udział. Przez kilka tygodni rządzące na Ukrainie ugrupowanie przywoziło do Kijowa pociągami i autobusami swoich zwolenników z południa i wschodu kraju. Byli to pracownicy sfery budżetowej i robotnicy z zakładów przemysłowych. Za dzień stania mieli oni otrzymać 200 hrywien, czyli 80 złotych.

Organizatorzy nie ze wszystkimi się jednak rozliczyli. Późnym wieczorem przed biuro Partii Regionów przyszło prawie sto osób, które żądały wypłaty poborów.

- Jednoczyliśmy się dla prezydenta Janukowycza, całą duszą i sercem, a tu tak z nami postępują. To świństwo – mówili korespondentowi Polskiego Radia.

Prorzadowe manifestacje zwolenników rządzącej Partii Regionów rozpoczęły się 24 listopada, a zakończyły się wczoraj. „Anty Majdan” miał być przeciwwagą dla protestów na placu Niepodległości, które mają trwać co najmniej do Nowego Roku. Przedstawiciele władz domagali się wręcz, aby telewizja pokazywała wiece przed Radą Najwyższą tak samo często, jak pokazuje antyrządowe manifestacje.

Część mediów spełniła to życzenie – widzowie oglądali zatem

codziennie roześmiany i pełen inicjatywy Majdan i przorzadowy smutny zorganizowany ogólnie protest, którego część uczestników zasłaniała twarze wstydząc się kamer, a niektórzy nie mieli pojęcia po co tam stoja.

Zwolennicy Janukowycza chcą pieniędzy za demonstracje. 23.12.1013

Podczas trwania drugiego miesiąca protestów na Ukrainie już ponad połowa obywateli tego kraju chce ustąpienia rządu – wynika z najnowszego sondażu. Według badań przeprowadzonych wspólnie przez ośrodki badania opinii publicznej Ocena i Sotsis, 50,9 procenta Ukraińców życzy sobie, żeby gabinet premiera Mykoły Azarowa podał się do dymisji. Przeciwnego zdania jest 38 procent, a 11 procent badanych jest niezdecydowanych. Także ponad połowa badanych, bo 53 procent, chciałaby, żeby ze stanowiska ustąpił szef ministerstwa spraw wewnętrznych Witalij Zacharczenko. Jego pozostania na stanowisku życzy sobie 30,8 procenta, a 15,9 jest niezdecydowanych.

Ankietowani wypowiedzieli się także na temat przedterminowych wyborów prezydenckich. Z radością powitano je 46 procent respondentów, 42 procent jest przeciw, a 12 – nie ma zdania.

Badania przeprowadzono w dniach od 7 do 17 grudnia na grupie 3200 respondentów w całej Ukrainie.

Ponad połowa Ukraińców chce ustąpienia rządu. ank 26.12.2013

Okolo 15 tysięcy osób wzięło udział w Kijowie w nacjonalistycznym marszu z okazji 105. urodzin Stepana Bandery, przywódcy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Nacjonalisci maszerowali z pochodniami, skandując „Bandera naszym bohaterem”.

- Tacy ludzie rodzą się raz na sto, albo nawet pięćset lat. Nie bacz na to, co mówią inni, są całkowicie oddani wielkiej idei – wspominała przywódcę OUN Irina Farion z organizującej marsz partii Swoboda.

Organizatorzy marszu, choć w ostatnich dniach przebywają na pro-unijnym Majdanie, tym razem podkreślali, że marsz jest wydarzeniem odrębnym od protestów przeciw Wiktorowi Janukowyczowi. Z tłumy można jednak było usłyszeć skandowane hasło „precz z banda” odnoszące się do obecnego prezydenta i jego ekipy.

Lider Swobody, Oleh Tiahnybok stał się jednym z politycznych liderów Majdanu, choć Unia Europejska podchodzi do niego z rezerwą. Gdy podczas wizyty w Kijowie zdjęcie z Tiahnybkiem zrobił sobie prezes PiS Jarosław Kaczyński, spotkał się z ostrą krytyką, m.in. ze strony księdza Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, który stwierdził, że Swoboda „depcze pamięć pomordowanych Polaków, Ormian i Żydów”. Mniej liczny marsz upamiętniający Bandere odbył się we Lwowie.

Tysiące osób skandowały „Bandera bohaterem!” na

marszu nacjonalistów w Kijowie. gaw, 01.01.2014



Protesty na Majdanie Niepodległości w Kijowie będą trwały do wyborów prezydenckich w 2015 r., a do ich pierwszej tury wszyscy kandydaci partii opozycyjnych przystąpią oddzielnie – oświadczył w niedzielę jeden z liderów ukraińskiej opozycji Arsenij Jaceniuk.

Urządzący prezydent Wiktor Janukowycz będzie ubiegał się o reelekcję w wyborach prezydenckich, które odbędą się na Ukrainie w 2015 r. Zdaniem jednego z liderów ukraińskiej opozycji, Arsenija Jaceniuka, wystawienie trzech kontrkandydatów pozwoli uniknąć machinacji zarówno w trakcie kampanii wyborczej, jak i podczas samych wyborów.

- Przyczyna jest prosta: jeden z kandydatów opozycji nie zostanie zarejestrowany, drugi zostanie usunięty z list wyborczych, dlatego też wystawianie jednego celu, który może być zniszczony, nie jest prawidłową drogą – powiedział Jaceniuk przypominając, że takie ustalenia zapadły między trzema partiami opozycyjnymi jeszcze w maju zeszłego roku.

Opozycjonista wyjaśnił, że do bezpośredniej walki o fotel prezydenta z Janukowyczem stanie w 2015 r. ten kandydat opozycji, który w pierwszej turze wyborów zdobędzie największe poparcie.

- O tym nie decydują trzy opozycyjne siły, lecz wy sami – mówił Jaceniuk w niedzielę do zgromadzonych na pl. Niepodległości w Kijowie.

Ukraińska opozycja: Protesty na Majdanie będą trwały do wyborów prezydenckich w 2015 r. kospa, 05.01.2014

Kilkanaście osób, w tym dziennikarze i były szef MSW Ukrainy, a obecnie jeden z liderów opozycji Jurij Łucenko, zostało rannych podczas starć między milicją z opozycją, do których doszło w nocy z piątku na sobotę przed jednym z sądów rejonowych w Kijowie, gdzie ogłoszono wcześniej wyrok dla „terrorystów”, planujących wysadzenie pomnika Lenina. Wyrok dotyczył tzw. terrorystów z Wasylkowa, miasteczka w okolicach Kijowa, w którym – według prokuratury – lokalni politycy opozycji zamierzali podłożyć bombę pod pomnikiem Lenina.

Byli to dwaj deputowani rady miejskiej i asystent jednego z nich, zatrzymani w sierpniu 2011 r. przez ukraińską służbę bezpieczeństwa w związku z rzekomo należącym do nich materiałem wybuchowym, który miał być użyty do zniszczenia monumentu w Wasylkowie. Według ukraińskich mediów, w momencie zatrzymania tych trzech osób pomnik Lenina w Wasylkowie był już zdemontowany. Nie zważając na to w piątek sąd rejonowy jednej z dzielnic Kijowa skazał zatrzymanych na 6 lat więzienia.

Wyrok wywołał oburzenie zgromadzonych przed sądem przeciwników władz, którzy zablokowali samo-

Rada: obserwuj plamy na Słońcu

Z dziennikarzem i pisarzem OLEKSANDREM ZINCZENKĄ rozmawia WOJCIECH JANKOWSKI.

Widzieliśmy się kilka tygodni wstecz...

Tak, siedłem wtedy w kolumnie protestujących. Była to pierwsza akcja protestacyjna.

Jakie wtedy były emocje, o czym myślałeś?

Myślałem wtedy – jak jest wspa- niale, wyszło tyle ludzi! Nikt nie spodziewał się, że wyjdzie na ulice tyle ludzi. Pierwsze emocje: „Super! Jest nas dużo i jesteśmy nie do pokonania”.

Też miałem takie samo odczucie. Dziś spotkaliśmy się na Boże Narodzenie. Minęło 6–7 tygodni i co myślisz teraz?

Myślę o tym co będzie dalej. Wydarzenie w Kijowie i na Ukrainie bardzo przypominają mi wydarzenia z okresu polskiej Solidarności. Dobrze pamiętam, czym to wszystko się skończyło. Pomiędzy 1980 a 1989 rokiem był stan wojenny. Ale myślę, że na Ukrainie nie uda się przeżyć czegoś podobnego.

Dlaczego nie uda się przeżyć?

Bo władza na Ukrainie jest legalna. Wiele osób nie akceptuje jej, ale przy tym funkcjonuje legalnie. Są to ludzie władza, którzy doszli do władzy wygrywając wybory w latach 2010 i 2013 i nie ma podstaw prawnych do jej obalenia. Są podstawy polityczne, kryzys polityczny, który wywołuje reakcję społeczeństwa. Chodzi tu nie tylko o gwałtowną zmianę kursu politycznego, jeżeli mówimy o rezygnacji z podpisania umowy stowarzyszeniowej przez Janukowycza. Był to pierwszy impuls, który wywołał przede wszystkim niezadowolenie młodzieży. Kolejny etap – to niezadowolenie z wydarzeń brutalnej próby rozpędzenia pierwszego Majdanu. A trzeci etap – sytuacja wyszła spod kontroli, bo mowa już nie tylko o zmianie kursu politycznego, nie o tym, że nie zostali ukarani winni rozpędzenia Majdanu. Nie zadowala nas poziom władzy, brak przejrzystości, korupcja. Dlatego tak wiele mówimy o tym, że Ukrainie potrzebna jest „reaktywacja”, nowa konstytucja lub, jako wyjście przejściowe, powrót do konstytucji 2004 roku. Reaktywacja władzy powinna odbyć się, abyśmy mogli uzyskać nową jakość. Przykładem negatywnym jest szef MSW Zacharczenko – jest to człowiek, który zupełnie nie słyszy społeczeństwa, człowiek wydający absolutnie idiotyczne rozkazy, co jest nie do pomysłenia w państwie europejskim.

Więcej, przejrzałem jego życiorys. Od 1980 roku pracuje wyłącznie na stanowiskach urzędniczych, nie ma żadnego legalnego biznesu, a jego posesja, którą widzieliśmy przed kilkoma dniami w czasie akcji protestu, oceniana jest na kilka milionów dolarów. Nasuwa się pytanie, skąd osoba, która posiada jedynie legalną pensję w wysokości 16 – 20 tys. hrywien, ma kilka milionów dolarów czy euro, żeby wystawić sobie



Oleksandr Zinczenko

taki pałac? Czyli w grę wchodzi korupcja, nadużycia i to strasznie oburza społeczeństwo.

Znam osoby, które taki stan boli na tyle, że gotowi są iść i palić te majątki. Nie żartuję. Rozmawiam z tymi ludźmi i mówię: „Jeżeli my teraz zaczniemy coś palić, to spłonie całe państwo. Zostaniemy na pogorzeli. To nie jest wyjście, trzeba tu szukać innych sposobów, a nie przemocy. Utrzymywać tę sytuację jest bardzo trudno. Jeżeli zaczną się gwałty, to będą to gwałty z obu stron i będzie to bardzo poważny konflikt społeczny. Obecnie balansujemy na krawędzi.

Myślisz, że jest to takie poważne, że to granica społecznego konfliktu, wojny domowej?

Raczej nie wojny domowej, ale konfliktu. Nie wierzę w wojnę domową na Ukrainie, bo nie ma części społeczeństwa, która z bronią w rękę walczyłaby z tymi, którzy mają nastroje proeuropejskie. Są po prostu przedstawiciele skorumpowanej władzy i jest wielu ludzi z nimi powiązanych. Choć jest to dość duża grupa ludzi – nie są narodem. Konflikt społeczny jest pomiędzy tą skorumpowaną grupą i resztą społeczeństwa o proeuropejskim stanowisku, która widzi przyszłość Ukrainy w tej części świata, a nie na północnym wschodzie.

Spodziewam się, że po kolejnych prowokacjach ze strony władzy Meżyhiria zostanie spalona. Pałace Zacharczenki, Psonki, prokuratora generalnego, zostaną spalane. Powinni sobie uświadomić, że jeżeli będą igrali z ogniem, to ten ogień przetrze się na ich domy. Muszą to zrozumieć.

Wróćmy do początku. Czy potem chodziłeś na Majdan?

Bywałem na Majdanie. Musiałem ukończyć wielki projekt wydawniczy – książkę o prezydencie

Juszczence, jego biografii. Termini wydawnicze były dość napięte. Lubię pracować nocami, bo wtedy nic nie odrywa mnie od pracy. Ale gdy 11 grudnia zaczął się szturm Majdanu, zrozumiałem, że muszę być tam. Zatelefonowałem mój szwagier i razem poszliśmy na Majdan. Wprawdzie spóźniliśmy się na próbę szturm przy ul. Instytuckiej, ale staliśmy na barykadzie Michajłowskiej koło siedziby związków zawodowych. Przed barykadą stała Kateryna Juszczenko i pertraktowała, a w tym czasie prezydent Juszczenko telefonował gdzie mógł i wyrażał swoje zdanie na temat wydarzeń. Kateryna Juszczenko pertraktowała z generałem, który kierował akcją. Zapewnił ją, że szturm na barykadę nie będzie.

Czy rozmawiałeś o tym z prezydentem Juszczenką?

Prezydent jako osoba publiczna, nie ukrywa swego stanowiska. Wszystkie wydarzenia strasznie mu się nie podobają, jest głęboko rozczarowany powstałą sytuacją. Przede wszystkim odrzuceniem integracji europejskiej, bo podstawy umowy stowarzyszeniowej stworzono podczas jego kadencji. Rezygnacja z tego kursu jest rzeczą, która go bardzo boli. Nie widzi alternatywy dla kierunku europejskiego. Na tydzień przed podpisaniem tej umowy był na konferencji działaczy społecznych w Wilnie. Już wtedy odczuwało się napięcie, że coś może pójść nie tak i cały wysiłek może zostać przekreślony.

Chciałem Cię zapytać: Juszczenko był bohaterem poprzedniej rewolucji, czy rozmawiałeś z nim o jego stanowisku wobec dzisiejszych wydarzeń?

Wydarzenie na Majdanie są przedmiotem jego sympatii. Bardzo ironicznie została przyjęta jego wypowiedź w mediach, że „z Majdanu nigdzie nie odchodził”. Jest to swego

rodzaju prawda, bo okna jego biura wychodzą na Majdan i jest na bieżąco wszystkich wydarzeń. Nie potrzebne mu są transmisje telewizyjne. Bardzo był oburzony akcją rozpędzenia demonstracji i nie rozumiał jak mogło dojść do tego.

Mówiłeś o nocy z 10 na 11 grudnia. Też tam byłem i emocje wtedy były olbrzymie. Czy było to poważne wydarzenie, czy specjalnie przygotowany scenariusz?

Po pierwsze to głupota. Mówimy o ministrze Zacharczenko, o sekretarzu RBN Klujewie, o prezydencie, o premierze. Wszyscy oni mają specyficzne podejście do rzeczywistych wydarzeń. Mam wątpliwość, czy w ogóle oglądają telewizję, czy słuchają radia i czytają „Ukraińska Prawda” bądź inne wydawnictwa niekontrolowane z ul. Bankowej. Z jednej strony brak im informacji, nie słyszą niezadowolonych tej części społeczeństwa, która to wyraża i nie wyobrażają sobie skali problemu. Widocznie otrzymują informację wybiórczą, przygotowaną przez ich asystentów. Nie odzwierciedla ona pełni rzeczywistości.

Jest też problem psychologiczny z odbiorem informacji. Bo skoro jesteś po jednej stronie barykady, to do informacji z drugiej strony jesteś uprzedzony. Przyjmujesz jedynie pozytywne wiadomości. Tak jak w czasie obchodów Nowego Roku MSW nie „zauważyło” pół miliona osób na Majdanie w Kijowie i podało do informacji, że najbardziej masowe akcje odbywały się w Dniepropietrowsku, gdzie było około 50 tys. osób obchodzących głównie to święto. Jeżeli tego nie zauważają, to żyją w całkiem innym świecie. To jest głównym problemem obecnej sytuacji. Minimalizują swoje ryzyko.

Natomiast wracając do emocji tej nocy: chyba nie mieli rozkazu rozpędzenia majdanu. Nie mieli wystarczających sił do takiej operacji. Mieli chyba rozkaz oczyścić przejazd

przez ul. Instytucką. Zresztą potwierdziła to Kateryna Juszczenko, której udało się przedostać przez kordon oddziałów specjalnych i porozmawiać z dowodzącym operacją. Ale na Majdanie o tym nikt nie wiedział i czekali na najgorsze. Władze, zamiast pertraktować w tej sprawie postanowiły działać siłą. Było to przyjęte przez protestujących jako kolejna próba rozpędzenia Majdanu. Wywołało to reakcję łańcuchową wśród protestujących, telefony pomiędzy mieszkańcami Kijowa, dzwony w cerkwiach i wszyscy ruszyli na wsparcie Majdanu. Tysiące ludzi pojawiło się na Majdanie w ciągu pierwszych godzin. Była to elementarna głupota ukraińskiej milicji.

Czy to prawda, że taksówkarze wozili ludzi gratis?

Tak. Kilka osób opowiadało mi tę historię.

Analizując sytuację już w Warszawie, wydawało mi się, że lepiej było atakować od strony pl. Europejskiego, ale chodziło jedynie o zwolnienie przejazdu przez ul. Instytucką.

Instytucka przecina Chreszczatyk przy jednym z boków Majdanu. Rozbiórki barykad i demontaż namiotów rozpoczęli na Chreszczatyku od strony pl. Europejskiego. Zniszczono tam namioty wojskowe i kilkanaście małych namiotów przed gmachem kijowskiej administracji. Było to ohydne widowisko. Namiot otaczało wojsko, wyprowadzali stamtąd wszystkich, a potem do środka wchodziło kilka wysportowanych osób w pomarańczowych kamizelkach i niszczyło wszystko wewnątrz. Resztę rzeczy wrzucano na samochód ciężarowy. Od strony pl. Europejskiego też odbywała się taka akcja. Barykada na Michajłowskiej była potężniejsza, bo przesłaniała dłuższy odcinek. Ją też częściowo rozebrano. Ale zamieniła ją żywa barykada z protestujących. Widzieliśmy zdjęcie, gdy przed ten kordon w pomarańczowych kaskach wyszedł kapłan i podszedł do tarcz wojsk wewnętrznych i milicji.

Przy siedzibie związków zawodowych też były próby przeniknięcia do jej wnętrza. Ale tam milicja została otoczona i musieli się wycofać, obawiając się prowokacji.

Na miejsce rozebranych barykad w ciągu 12 godzin wyrosły barykady śnieżne, które chyba do wiosny nie uda się rozebrać. Ludzie czyszcząc teren Majdanu śnieg zsypywali do worków i z tego budowano barykady. Obecnie wygląda to jak Wielki Mur Chiński. Było to fantastyczne widowisko, a zarazem śmieszne, bo władze rozebrały mniejsze konstrukcje, niż te, które powstały na ich miejsce.

Gdy przyszedłem z kolegami na Majdan, to już wszystkie akcje ucihły i była jedynie próba przeniknięcia przez barykadę od strony Michajłowskiej. Tam kordon obrońców stał do rana. Analizując swoje emocje z tej chwili zauważyłem, że nie miałem strachu, nawet podenerwowania. Miałem tam stać i już.

Jak oceniasz opozycję i jej liderów?

Oni płyną z prądem. Nie są liderami. Liderem jest wspólne „ja” Majdanu. Odczuwało się to od pierwszych protestów, od pierwszych wieców. Przyszli oni bez konkretnych planów. Gdy ze sceny padły słowa „wolność dla Julii” przez majdan przeleciał szmer – do czego to? Co wspólnego ma z tym Julia? Jest w więzieniu, ale to całkiem inna historia. Ludzie zgromadzili się tu z innego powodu. Liderzy opozycji potrzebowali około tygodnia, aby zrozumieć o co tu właściwie chodzi. Nawet nie starali się „dosiąść” tego konia. Było to dla nich taką samą niespodzianką, jak i dla władz.

Wydaje mi się, że jest to wielki problem, który powoli zaczyna się uświadamiać. Bo zarówno władza, jak i opozycja ukraińska są oderwane od ukraińskiego społeczeństwa. W opozycji też jest duża procentowo ilość bardzo bogatych ludzi, którzy mieszkają w tzw. „kondominiach deputowanych”, specjalnych domach z ochroną, w rezydencjach poza miastem i oglądają świat przez okna swych mercedesów, lexusów i innych luksusowych samochodów, a leczą się w szpitalach rządowych. Przez ten pryzmat odbierają otaczający świat. W szczególny sposób odnosi się to do Bloku Julii Tymoszenko. Są tu ludzie, którzy zapomnieli, kiedy po raz ostatni rozmawiali z wyborcami. W partii Udar czy w Swobodzie jednak więcej ludzi ma kontakt ze społeczeństwem. Jest to problem opozycji – gdy gdzieś pojawiali się, to jedynie po to, aby mówić z trybuny, a nie słuchać innych. Teraz na Majdanie jest okazja do posłuchania innych, poruszają się tu bez obawy (tak jak powinno być na co dzień). Deputowany z ochroną przestaje być deputowanym, bo musi absolutnie nie mieć zaufania do własnego wyborcy, aby odgrodzić się od nich ochroną.

Majdan daje im możliwość kontaktu z ludźmi. Gdy Turczynow po raz pierwszy wyszedł na trybunę, to plótł nonsensy, które nie były ani na miejscu, ani na czasie. Był to straszny dysonans. Problemem zarówno władzy, jak i opozycji jest nieumiejętność prowadzenia dialogu. Władza zabarykadowała się w swoich pałacach w Meżyhiriu i zatkała uszy watą, a opozycja też jest daleko od społeczeństwa.

Pamiętam, w 2010 roku podpisano umowę w Charkowie, co było bolesne dla mnie, jako mieszkańca Charkowa, przyszedłem na wiec pod gmach Rady Najwyższej. Było tam 3,5 no może 4 tys. osób, co jest nie do porównania z dzisiejszymi wiecami, Julia Tymoszenko przyjechała na ten wiec wypasionym mercedesem. Wywołało to od razu reakcję tłumy. Na takie imprezy przychodzi się pieszo. Tiahnybok przyszedł, witał się z mężczyznami, obejmował dziewczyny – taki sobie „równy chłop”. A Julia dosłownie wjechała na wiec.

Dopiero teraz uczą się rozmawiać z ludźmi, bo ludzie wyprzedzają ich w działaniach. Inicjatywa obłężenia Meżyhiria – to nie Kliczko z Jace-niukiem i Tiahnybkiem wymyśliłi, ale sami ludzie. Był to przykład samoorganizacji. Ludzie widzą, że władza nie reaguje na ich postulaty, na akcje protestu na całej Ukrainie, przychodzą więc do polityków, pod ich domy, aby wykrzyczeć swoje wymagania. Muszą pogodzić się z tym, że co tygodnia będą przyjeżdżali do nich

ludzie ze sztandarami, z plakatami, z hasłami – będą musieli nauczyć się żyć w stanie obłężenia albo odejść.

Mówiłeś, że przewidziałeś jak będą się rozwijały wydarzenia?

Był to taki żart. Jednak istnieje zależność, jakby to paradoksalnie nie zabrzmiało, pomiędzy aktywnością słońca i społeczeństwa. Udowodniono to naukowo. Gdy spojrzymy na historię Polski: to Poznań 1956, Warszawa 1968, wydarzenia solidarnościowe – wszystko to nakłada się na lata aktywności słońca. Nie ma na to rady, jest to proces obiektywny. Przed dwoma laty zainteresowałem się dlaczego pojawiło się takie zjawisko jak arabska wiosna, gdy wiele państw od Libii po Syrię ogarnęła rewolucja. Trafiłem na książkę prof.

znany historię tę najbardziej odległą. Odkrywane są nowe fakty, otwierane są archiwa i pojawiają się dodatkowe informacje, wspomnienia uczestników. Dlatego nie wykluczam prowokacji czy działań ze strony rosyjskich służb specjalnych przez swoich agentów. Dziś możemy to jedynie przypuszczać, ale nie możemy tego stwierdzać na pewno.

Po moim powrocie do Polski wiele osób pytało mnie o banderowskie flagi na Majdanie.

Rozumiem. Musimy kontynuować ten dialog polski-ukraiński, który już rozpoczął się przed dziesięcioma laty. Musimy zrozumieć pozycję każdej strony w tych trudnych sprawach i przyjąć je do wiadomości. Nie mamy prawa zmieniać pozycji partnera. Dla

radykalnie. Sukces Swobody na wyborach parlamentarnych jest tego wynikiem. Nie jest to powiązane ze wzrostem nastrojów nacjonalistycznych. Mam znajomego, który na poprzednich wyborach głosował za Partię Regionów, a na ostatnich wyborach – za Swobodę i stał się jej działaczem w Charkowie.

Jest to swego rodzaju reakcja na korupcję, na swawolę władzy. Jest też wynikiem radykalizacji. Jest to jedno z tych zagrożeń, których nie rozumie władza. Ale skoro zwolennicy władzy zaczynają przechodzić do Swobody, to musi się nad tym głęboko zastanowić.

Masz jeden taki przykład, czy jest ich więcej?

To jest przykład z moim dobrym znajomym. Z drugiej strony, gdy mó-

forach. Odpowiednia informacja dociera też i do rządu i powinien się nad tym zastanowić, bo Meżyhiria jest niedaleko.

Nie byłem podczas rewolucji pomarańczowej w Kijowie, ale gdy tu jestem teraz to po dwóch dniach zauważyłem, że jest to już inne pokolenie.

Wybory w 2004 roku odbywały się pomiędzy dwoma częściami społeczeństwa, które widziały odmienność w tym samym zjawisku. Część społeczeństwa wybierała ukraiński paternalizm Juszczenki, a część szukała paternalizmu postsowieckiego w osobie Janukowycza. Jedni i drudzy nie mieli zamiaru walczyć dalej o swoje prawa, podejmować działalność społeczną.

Obecnie sytuacja różni się zasadniczo. Zrozumiano, że dobrych „carów” nie ma, że trzeba więcej działać samodzielnie. Dlatego tak wiele inicjatyw społecznych pojawiło się w ciągu ostatnich trzech lat. Rządy Janukowycza stały się katalizatorem i stymulatorem inicjatyw społecznych.

Janukowicz nie jest dobry, ani zły, wspaniale mobilizuje społeczeństwo do zmian. W 2004 roku społeczeństwo uświadomiło sobie czego nie chce, a w 2014 roku – czego chce. Musimy zrozumieć po co Bóg dał nam Janukowycza. W tym jest jego rola historyczna.

Po tych rozmowach spodziewasz się fali agresji?

Tak. Nastroje rewolucyjne nie zgasły. Ludzie są zmęczeni pokojowymi protestami, które niczego nie przynoszą: wychodzi nas milion, a władze nas ignorują. Znaczący to, że musimy zrobić coś, żeby władza przestała nas ignorować. Pojedziemy do Meżyhiria i będziemy krzyczeć im do okien, żeby nas zauważyli. Jedyna alternatywa dla polityków – to uciec z kraju, lub nas usłyszeć.

Wracając do tematu agresji – słychać o przypadkach podpalania aut aktywistów majdanu. W Charkowie spalono samochód mojego kolegi. Innego kolegę oskarżono o propagowanie pomografii. Są to absurdalne zarzuty. Koło się zaciera. Ale agresja rodzi agresję. Konflikty rozwiązywane siłą nie doprowadzały do rozwoju społeczeństwa, jedynie pokojowe akcje są tego przykładem. Jako przykłady mamy upadek muru berlińskiego, aksamińską rewolucję w Pradze, okrągły stół w Polsce. Przykład Rumunii – to wynik dziesięcioleci konfliktów narodowościowych i społecznych.

Wielu ludzi uważa, że reżym należy obalić siłą, nie zwracają uwagi na to, że pozostanie pogorzeliśko. Należy tu przypomnieć i sytuację w Jugosławii – tam też sytuacja była bardzo złożona.

Co można zrobić w takiej sytuacji?

Na Ukrainie należy uzbroić się w cierpliwość. Powinniśmy opracować pokojowe, ale skuteczne metody, które doprowadzą do zmian. Włączając w to pokojowe pikety majątków oligarchów, urzędników, którzy wydali bezprawne rozkazy wobec narodu ukraińskiego. Taką praktykę należy kontynuować i będzie to bardziej efektywne od tańców i pieśni na Majdanie. Trzeba skończyć występy i zająć się pokojowym obłężeniem rezydencji rządzących.



Czyżewskiego, napisaną jeszcze w latach 20 XX wieku, gdzie wyprowadził on korelację pomiędzy zjawiskami przyrodniczymi i społecznymi. Przed dwoma laty opublikowałem artykuł, który w jakiś sposób kontynuował teorię prof. Czyżewskiego na podstawie analizy wydarzeń powojennych. Zbieżność wydarzeń zgodnie z tą teorią była wysoka. Wiktor Janukowycz powinien bardziej uważnie śledzić plamy na słońcu w ciągu dwóch najbliższych lat. Inaczej w państwie, gdzie nagromadziło się wiele problemów społecznych, może dojść do wybuchu nastrojów antyrządowych. Aktywność słońca jest ostatnią kroplą w nastrojach społecznych. Społeczeństwo przestaje tolerować krzywdy i prowadzi to do wybuchu. Na pierwszy rzut oka wygląda to niepoważnie i apokryficznie, jednak fakt pozostaje faktem.

Wszystkie te wydarzenia zbiegły się i to, co przewidziałem przed dwoma laty mamy dziś. Gdy skrzywdzony zostaje jeden człowiek, z którym solidaryzuje wielu, doprowadza to do akcji społecznej. Dla polskiej Solidarności taką osobą była Anna Walentynowicz, a dla Ukrainy – to ci chłopcy i dziewczęta pobici tu na Majdanie. Ta sytuacja stała się powodem do akcji masowych protestów. To była ostatnia kropla.

Czy jest tu miejsce na takie zjawiska jak manipulacja, prowokacja służb specjalnych?

O wielu rzeczach dowiemy się dopiero za kilka dziesięcioleci, nie wcześniej. Wiadomo, że najlepiej

Ukraińców UPA i ruch banderowski był ruchem o niepodległość Ukrainy i nie ograniczały się jedynie do konfliktu z Polakami w latach 1943-1944, gdy nabywał on cech ludobójstwa oraz czystek etnicznych. Z drugiej strony Polacy powinni uświadomić sobie, że gdyby nie takie momenty, to większość Polaków być może z sympatią odnosiła by się do Bandery, bo był to ruch antykomunistyczny i antyhitlerowski. Banderowcy uważali za wrogów wszystkich, oprócz Ukraińców. Nie jest to dobre, nie jest to złe, ale tak było. Dziś nie możemy zmienić przeszłości. Możemy jedynie spróbować ją zrozumieć i przyjąć to, co było. Polacy powinni też sobie uświadomić, że wielu uczestników ukraińskiej partyzantki nie brało udziału w mordowaniu polskiej ludności i nie może być odpowiedzialności zbiorowej. Jest odpowiedzialność jednostki za swe czyny. Wielu ludzi poszło do UPA już po tym strasliwym konflikcie i kontynuowali swoją walkę prawie do początku lat 60 XX wieku. Byli to młodzi chłopcy, którzy zakończyli swe życie w walce z NKWD, MGB, KGB, lub znaleźli się w obozach i tu zostali zakatowani. Trzeba zrozumieć, że dla wielu Ukraińców ci ludzie są bohaterami, bo walczyli o ukraińską niepodległość ze wszystkimi, kto jej zagrażał. Z takiej pozycji staje się bardziej zrozumiałe, skąd flagi banderowskie na Majdanie.

Następne moje pytanie dotyczy bojówek Swobody.

Problem polega na tym, że w porównaniu z rokiem 2004 społeczeństwo nastawione jest bardziej

WOJCIECH KILAR IN MEMORIAM

W swoich dziełach poszukiwał piękna i doskonałości. Zawsze podkreślał, że kompozytor to przede wszystkim rzemieślnik, czyli ktoś, kto zna dobrze zasady rządzące formą muzyczną. Szanowany jako wybitny kompozytor muzyki klasycznej, niemniej zasłużył się dla muzyki filmowej, traktowanej wcześniej nieco po macoszemu. Ponad 140 partytur Wojciecha Kilara przygotowanych do filmów polskich i zagranicznych, cenionych za giętkość warsztatu i zwięzłość tematów udowodniło, że był twórcą, który doskonale potrafił połączyć obie drogi w twórczości. Znany polski kompozytor muzyki symfonicznej, kameralnej, wokalne oraz filmowej zmarł 29 grudnia 2013 r. w Katowicach, przeżywszy 81 lat.

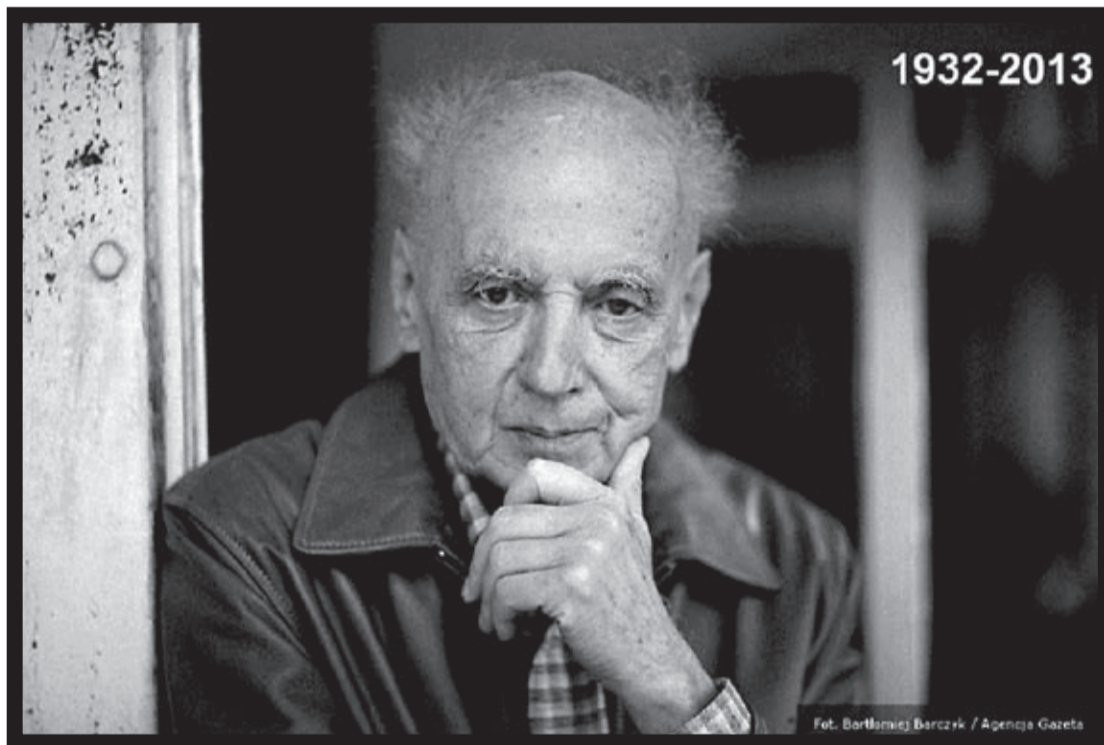
MICHAŁ PIEKARSKI

Lwów – Katowice

Wojciech Kilar urodził się we Lwowie w kamienicy przy ulicy Leona Sapiehy 89 (obecnie ulica nosi nazwę Stepana Bandery), nieopodal kościoła św. Elżbiety. Matka była aktorką, ojciec – lekarzem. W kamienicy przy Leona Sapiehy we Lwowie miało miejsce pierwsze zapamiętane przez kompozytora zafascynowanie muzyczne. Był to znany (i niezbyt wyrafinowany) utwór „Na perskim rynku” Alberta Ketelbeya grywany na fortepianie przez sąsiada. Jak wspominał po latach Wojciech Kilar: „Utwór ten wydawał mi się czymś tak niesłychanie wzniosłym, patetycznym i potężnym, jak teraz IX Symfonia Beethovena”. Zainteresowaniu muzyką i w ogóle sztuką sprzyjała także atmosfera samego domu Wojciecha Kilara, muzyczna edukacja odebrana w dzieciństwie przez jego ojca oraz odbywane w domu rozmowy o teatrze – jak zapamiętał to Wojciech Kilar: „O tyle może miałem kontakt ze światem sztuki, że moja matka była aktorką, artystką dramatyczną. Ojciec niechętnie opowiadał o swojej pracy, toteż w domu mówiło się wyłącznie o teatrze. Przysłuchiwałem się czasem tym rozmowom do późna w nocy”.

We Lwowie Wojciech Kilar zdążył odebrać początki edukacji muzycznej w Instytucie Muzycznym Malwiny Reissówny, znajdującym się przy pobliskiej ul. 29 Listopada pod numerem 70. Od roku 1938 pobierał tam lekcje gry na fortepianie. Tamte lata sam kompozytor wspominał na łamach Ruchu Muzycznego w 1988 roku: „Urodziłem się przed wojną we Lwowie, a grać zacząłem w wieku sześciu lat; chodziłem do szkoły pani Reissówny, siostry muzykologa Józefa Reissa [działającego w Krakowie], który ukuł słynne hasło *Najpiękniejsza ze wszystkich jest muzyka polska*”. Pomimo, że mały Wojciech Kilar początkowo nie był zbyt chętny do nauki muzyki, dzięki uporowi jego matki odpowiednią edukację musiał odebrać, jak sam mówił: „Matka, która była kobietą twardą, dbała o moje muzyczne wykształcenie: *graj mówiała – bo nie wiadomo z czego będziesz jadł chleb* i zmuszała mnie do grania”.

W 1944 r. dwunastoletni Wojciech Kilar i jego rodzice opuszczają rodzinny Lwów w strachu przed



kolejnym nadejściem Sowietów. Na krótki czas zatrzymał się wraz z matką w Krośnie. Po zakończeniu działań wojennych, dzięki odebranej we Lwowie podstawowej edukacji muzycznej, kontynuował naukę muzyki w Rzeszowie (1946–1947), gdzie szybko debiutował w 1947 r., w wieku 15 lat jako pianista na konkursie Młodych Talentów, wykonując swoje dwie miniatury, za które otrzymał II nagrodę. Rodzina następnie przenieśli się do Krakowa, gdzie kontynuował edukację w Państwowym Liceum Muzycznym, kształcąc się także prywatnie (w nauce harmonii) u Artura Malawskiego, znanego krakowskiego kompozytora pochodzącego z Przemyśla. Średnią edukację muzyczną ukończył ostatecznie w Liceum Muzycznym w Katowicach.

Pomimo ciągłych zmian miejsca zamieszkania (Lwów–Rzeszów–Kraków–Katowice), co też wiązało się ze zmianą szkół, Wojciech Kilar nie zaprzestał pobierania edukacji muzycznej, ostatecznie obierając studia w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach w klasie Bolesława Woytowicza, pianisty i kompozytora wykształconego w Konserwatorium Warszawskim oraz w Paryżu u Nadii Boulanger. Po ukończeniu studiów Wojciech Kilar został aspirantem profesora Woytowicza w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie, po czym jako stypendysta rządu francuskiego w

latach 1959–1960 kształcił się u nauczycielki swego profesora – Nadii Boulanger w Paryżu. Po powrocie do Polski Wojciech Kilar działał aktywnie w środowisku muzycznym, m.in. jako wiceprezes Związku Kompozytorów Polskich, członek-założyciel Towarzystwa im. Karola Szymanowskiego w Zakopanem. Prawykonanie jego utworów odbywało się wielokrotnie podczas odbywających się w Filharmonii Narodowej w Warszawie festiwalu muzyki współczesnej „Warszawska Jesień”.

„Czasem artysta tworzy rzeczy, których mu brakuje”

Twórczość Wojciecha Kilara można podzielić na trzy okresy: pierwszy – neoklasyczny (1947–1957), to lata poszukiwań inspiracji z odwołaniami do muzyki sprzed XIX w., drugi – konstruktywizmu sonorystycznego (1960–1971) czyli awangardowy, trzeci – narodowo-religijny (od 1972 r.).

W okresie pierwszym odwoływał się do twórczości Igora Strawińskiego i Béli Bartóka, m.in. w *Sonacie* na róg i fortepian, a także utworze *Oda Béla Bartók in memoriam* na skrzypce solo, instrumenty dęte blaszane i 2 zespoły perkusyjne. Okres drugi, awangardowy (choć kompozytor nie lubił słowa „awangarda”) cechuje się oparciem kompozycji na prostym pomysle, wpływem jazzu, stopniowym poszerzaniem składu grających instrumentów (w sonoryzmie najważniejszym elementem kompozycji jest zwrócenie

uwagi na samo brzmienie instrumentów i efekt z nim związany). Z okresu tego pochodzi m.in. utwór wokálně-instrumentalny (bez tekstu – z samą wokalizą) *Upstairs-Downstairs* („w górę i w dół”) na dwa chóry dziewczęce lub chłopięce i orkiestrę. W okresie trzecim powstawały kompozycje, które ująć można w dwóch nurtach: „ludowym” i religijnym. Do utworów o charakterze ludowym należy m.in. *Krzesany* na orkiestrę symfoniczną inspirowany muzyką góralską podhalańskich, co ukazuje szczególnie polski rys w twórczości Wojciecha Kilara (nie tylko zresztą w tym utworze). Zdaniem Krzysztofa Pendereckiego, który cenil najwyższemu *Krzesanego* i *Orawę* „Kilar jak nikt inny łączył muzykę ludową z klasyczną”, uważając, że „nikt nie potrafił się tak zbliżyć i przetworzyć twórczo muzyki Podhala”, stawiając pod tym względem dokonania Wojciecha Kilara wyżej nawet od twórczości Karola Szymanowskiego (www.polskieradio.pl).

Wśród utworów religijnych znajduje się m.in. *Bogurodzica* na chór mieszany i orkiestrę – utwór inspirowany polską średniowieczną pieśnią religijną, *Angelus* na sopran, chór mieszany i orkiestrę oraz msza: *Missa pro pace* (A. D. 2000) na głosy solowe, chór mieszany i orkiestrę.

Silna religijność w życiu Wojciecha Kilara rozwijała się od momentu, gdy w okresie stanu wojennego (1981–1983) odwiedzał sanktuarium na Jasnej Górze w Częstochowie.

Wówczas przypominał sobie także jak uczucia religijne rozbudzała w nim w dzieciństwie jego babcia. Miało to także wpływ na rozwój twórczości kompozytora, skierowanej odąd coraz częściej w stronę muzyki sakralnej. Jak wspominał Wojciech Kilar: „Dopiero tu, na Jasnej Górze, na nowo odkryłem ogromną radość i potrzebę bycia we wspólnocie. Zrozumiałem, że wiara jest pełna dopiero wtedy, gdy dzieli się ją z innymi, kiedy jest się wśród ludzi, którzy też wierzą i wiedzą. Teraz, im więcej ludzi w kościele, im trudniej jest mi uklęknąć w tłumie, tym większą odczuwam słodycz”. („Nasz Dziennik”, 7.01.2014) W 1984 r. na zamówienie klasztoru paulinów na Jasnej Górze powstał wspomniany utwór *Angelus*. Do sanktuarium Jasnogórskiego kompozytor przybywał corocznie w dzień swych urodzin (17 lipca), oraz od 2004 r. w rocznicę śmierci swej żony. Warto zaznaczyć, że Wojciech Kilar przez całe życie przywiązany był do tradycyjnej, pełnej sacrum przedsoborowej mszy św. (trydenckiej), której powrotu do niektórych kościołów doczekał za życia.

Wojciech Kilar jest ponadto autorem 5 symfonii, 2 koncertów fortepianowych oraz wielu utworów chóralnych (głównie religijnych). Jednym z ostatnio skomponowanych wielkich utworów był *II Koncert fortepianowy* z 2011 r.

O swojej twórczości Wojciech Kilar wypowiadał się nader skromnie: „Nie lubię słuchać swojej muzyki z wyjątkiem koncertu fortepianowego. To jest mój autportret, bo *Krzesany*, *Orawa*, *Exodus* są takie, jaki chciałbym być, jaką chciałbym mieć energię i dynamikę. A z drugiej strony chciałbym wierzyć tak mocno, jak to wyznaję w *Missa pro pace*. Czasem artysta tworzy rzeczy, których mu brakuje” („Gość Niedzielny” 2010).

Muzyka filmowa

Osobne i istotne miejsce w twórczości Wojciecha Kilara zajmuje muzyka filmowa, którą tworzył przez niemal całe życie, począwszy od 1958 r. Kochał film i fabrykę snów w Hollywood, gdzie powstawały wybitne i mniej udane dzieła, które uważał za czystą rozrywkę dostarczającą „niezobowiązującej intelektualnie przyjemności, pozwalające na zachowanie w sobie odrobiny dziecka” (Tygodnik

Powszechny 2012). Uwagę zwraca stała współpraca Wojciecha Kilara z reżyserem Krzysztofem Zanusem, której efektem jest muzyka do ponad 40 filmów, m.in.: „Struktura kryształu” (1969), „Iluminacja” (1972), „Bilans kwartalny” (1974), „Barwy ochronne” (1976), „Kontrakt” (1980), „Cwał” (1995) i „Persona non grata” (2005). Oprócz tego skomponował muzykę do wielu filmów Kazimierza Kutza, m.in. „Nikt nie woła” (1960), „Tarpuny” (1961), „Milczenie” (1963), „Ktokolwiek wie...”, „Sól ziemi czarnej” (1969), „Perła w koronie” (1971), „Paciorki jednego różańca” (1979) i „Śmierć jak kromka chleba” (1994).

Ponadto Wojciech Kilar skomponował muzykę do filmów Tadeusza Konwickiego – „Salto” (1965); Leonarda Buczkowskiego – „Marysia i Napoleon” (1966); Sylwestra Chęcińskiego – „Samy swoi” (1967); Stanisława Różewicza – „Westerplatte” (1967); Jerzego Hassa – „Lalka” (1968). Wojciech Kilar pisał także

Campion; a także amerykańskiego „We Own the Night” (tłumaczonego jako „Królowie nocy”, 2007) Jamesa Graya.

Już za życia Wojciecha Kilara uznano, że jego muzyka filmowa dzięki swym wysokim walorom artystycznym i doskonałemu zespoleniu z samym filmem „stanowi ewenement na tle współczesnej sztuki filmowej w skali światowej”. Zdaniem reżysera Jerzego Hoffmana Wojciech Kilar „kino czuł i rozumiał jak mało kto”. Potrafił bowiem zrozumieć intencje reżysera tworząc muzykę nie będącą jedynie muzycznym dodatkiem do filmu, a dopomagającą widzowi w przeżyciu obrazu i nastroju zawartego w filmie. Warto jednak zaznaczyć, że Wojciech Kilar zawsze twierdził, iż muzyka filmowa nie jest dla niego najważniejsza. Dlatego też z różnych powodów odrzucał wiele ofert. Pytany o swoje ulubione dzieło skomponowane do filmu, wymieniał muzykę do filmu Andrzeja Wajdy „Panny z Wilka”, w którym rozbrzmiewają ge-

(„Wolę nie rozdrapywać ran” – mawiał kompozytor).

We Lwowie postać i twórczość Wojciecha Kilara była w ostatnim dziesięcioleciu parokrotnie przypomniana. W katedrze łacińskiej w roku 2004 odbył się specjalny koncert muzyki Wojciecha Kilara w wykonaniu Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia pod dyrekcją Kazimierza Korda. Miał on miejsce w 60. rocznicę opuszczenia przez kompozytora rodzinnego miasta. Koncert odbył się w ramach projektu „Pociąg do muzyki Kilara”. „Pociąg” wyruszył w rodzinnym mieście. Po Lwowie koncerty w ramach tego projektu odbyły się w miastach, w których kompozytor przebywał po opuszczeniu Lwowa (Rzeszów, Kraków, Katowice), wzbogacone o koncert na przejściu granicznym w Medyce oraz o koncert finałowy na Jasnej Górze.

W roku 2012 w Filharmonii Lwowskiej odbył się koncert z okazji 80. rocznicy urodzin Wojciecha Kilara w wykonaniu polskich i ukra-

Wędrowni Psałterza Łuckiego

Podczas ubiegłorocznej wizyty na Wołyniu prezydent RP Bronisław Komorowski otrzymał w darze reprint tzw. Ewangelii Łuckiej i Psałterza Łuckiego. Repriny unikatowych XIV wiecznych manuskryptów wydała diecezja wołyńska ukraińskiej Cerkwi prawosławnej. Oryginał Ewangelii Łuckiej przechowywany jest Rosyjskiej Bibliotece Państwowej w Moskwie, natomiast Psałterz Łucki w Bibliotece Mediceo Laurenziana we Florencji. Psałterz długie dziesięciolecia był w posiadaniu polskiej rodziny Lubicz-Orłowskich.

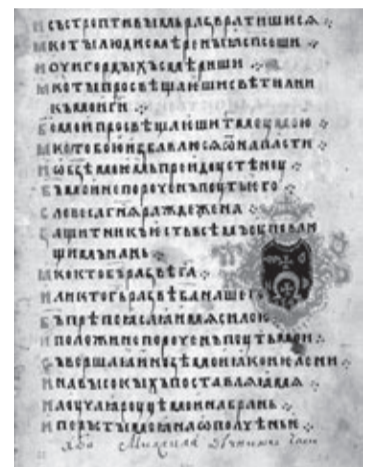
AGNIESZKA RATNA

Psałterz Łucki – to jedna z najstarszych ksiąg cerkiewnych. Oryginał został znaleziony przez duchownego diecezji wołyńskiej Onufrego Kuca w Bibliotece Mediceo Laurenziana we Florencji. Badania łuckiego historyka Petro Troniewicza wykazały, że Psałterz jest dziełem zakonnika o imieniu Iwan, proboszcza cerkwi św. Katarzyny w Łucku. Powstał w 1384 roku na zamówienie synów wielkiego księcia Lubarta Dymitra w rocznicę jego śmierci (Lubart Dymitr – książę litewski z dynastii Giedyminowiczów, jeden z najmłodszych synów wielkiego księcia litewskiego Giedymina i jego żony Jewny – red.). W posłowie do tego dzieła umieścił krótką wzmiankę o sytuacji na Wołyniu po śmierci jego obrońcy. W taki sposób rękopis stał się swego rodzaju kroniką tamtych lat. Psałterz został przekazany do świątyni Jana Ewangelisty na terenie łuckiego zamku. Modlitwy z Psałterza odczytywano codziennie za duszę Lubarta Dymitra i jego towarzyszy broni.

Ponad sześć stuleci nie było wiadomo co dzieje się z zabytkowym rękopisem. Pierwsze notatki o Psałterzu pojawiła się dopiero w 1932 roku. Rękopis został wówczas przekazany do biblioteki we Florencji. Kto dokonał tak cennego prezentu do dziś nie udało się wyjaśnić. Włoch Carlo Verdiani w 1954 roku jako pierwszy zbadał rękopis i w swych materiałach podał, że był to dar człowieka o polskim pochodzeniu. Verdiani odnalazł na kartach księgi zapisy, które potwierdzają, że w XVI-XVII wiekach manuskrypt należał do polskiej rodziny szlacheckiej Lubicz-Orłowskich

– Na marginesie karty 5 a jest wpis zrobiony czerwonym atramentem: „Ex libris Valentini Lubicz Orłowski castellani Dobrinensis” – pisze badacz. – A na karcie 22 jest herb Lubicz-Orłowski – podkowa na czerwono-czarnym polu, wewnątrz której jest krzyż, a nad nią jeszcze jeden krzyż. Na zewnętrznych stronach podkowy od lewej ku prawej inicjały: „W.O.K.D.”. Na karcie 118 b herb powtarza się z datą 1548, a na karcie 119 a na marginesie widnieje napis: „W. Orłowski. Kast”.

Carlo Verdiani w Herbarzu Polskim odnalazł herb Lubicz-Orłowski, identyczny widnieje na kartach manuskryptu. Jak twierdzi wołyński historyk



Herb Lubicz-Orłowski na jednej z kart Psałterza Łuckiego

Petro Troniewicz jedna z gałęzi tego rodu zamieszkiwała Wołyn.

– Manuskrypt mógł trafić do nich w czasach gdy prawosławna cerkiew św. Jana Ewangelisty przeszła do grekokatolików – uważa Troniewicz. – Kapłani pożyczając pieniądze od szlachty na remont cerkwi dawali jako zastaw coś cennego z wyposażenia świątyni – ikony, księgi, krzyże. Długi nie zawsze zwracano i relikwie stawały się własnością osób prywatnych. Prawdopodobnie taki los spotkał Psałterz Łucki.

Nie budzi wątpliwości, że białych plam w historii manuskryptu jest bardzo dużo.

– Reprint Psałterza został wykonany w kijowskim wydawnictwie „Horobec” – mówi archimandryta Onufry Kuc. – Został wydany w nakładzie tysiąca egzemplarzy. Księga ukazała się dzięki zgodzie przewodniczącego ukraińskiej Cerkwi prawosławnej metropolity kijowskiego i całej Ukrainy Wołodymyra przy wsparciu przewodniczącego Administracji Wołyńskiej Borysa Klimczuka i Fundacji „Rodzimy Wołyn”.

Jak stwierdził Onufry Kuc, koncepcja wydanej księgi ma zaprezentować czytelnikowi atmosferę dawnego Łucka i Wołynia. W zdobnictwie wykorzystano motywy dekoracji rękopisów XIV-XVII wieków. Dzieło ilustrują wizerunki ikon Matki Boskiej z Wołynia, świętych związanych z rodem Lubarta Dymitra, herby księcia i księstwa wołyńskiego z tego okresu, zdjęcia charakterystycznych krzyży wołyńskich oraz ilustracje cerkwi św. Jana Ewangelisty i łuckiego zamku.



Kamienica przy ulicy Leona Sapiehy 89 we Lwowie (obecnie ul. Bandery) w której Wojciech Kilar spędził pierwsze lata życia

(i nieraz też dobierał muzykę innych kompozytorów) do filmów: Marka Piwowskiego – „Rejs” (1970); Jerzego Hoffmana – „Trędowata” (1976) – ze słynnym *Walcerem*; Krzysztofa Kiesłowskiego – „Przypadek” (1981) i Romana Polańskiego – „Pianista” (2002). Do filmów Andrzeja Wajdy Kilar komponował muzykę kilkakrotnie m.in. do „Ziemi obiecanej” (1974), „Kroniki wypadków miłosnych” (1986), „Panien z Wilka” (1979), „Korczaka” i „Pana Tadeusza” (1999) – z którego *Polonez* uzyskał popularność nie mniejszą niż sam film. Z *Polonezem* łączy się też ciekawostka filmowa: kompozytorzy piszą zazwyczaj muzykę po obejrzeniu nakręconych materiałów. *Polonez* Kilara nagrano jednak już przed rozpoczęciem zdjęć, aby Andrzej Wajda mógł zapoznać się z nastrojem oprawy muzycznej.

Wojciech Kilar był także autorem muzyki do filmów powstałych za granicą – m.in. w Hollywood do filmu „Dracula” (1992) Francisa Forda Coppoli; francusko-brytyjsko-amerykańskiego filmu „Death and the Maiden” („Śmierć i dziewczyna”, 1994) Romana Polańskiego; amerykańsko-brytyjskiego „The Portrait of a Lady” („Portret damy” 1996) Jane

niałnie współgrające z filmem dobrane przez Kilara fragmenty *Koncertu skrzypcowego* Karola Szymanowskiego.

Na temat procesu twórczego Wojciech Kilar mówił w sposób następujący: „To się dzieje w głowie, ale czasem w palcach, kiedy brzdąkam na fortepianie, improwizując i nagle coś spod nich wyskakuje. Niekiedy utwór rodzi się na spacerze albo w nocy. Wtedy trzeba wstać i zapisać” („Gość Niedzielny”). W rozmowie z Leszkiem Polonym kompozytor stwierdził: „Twórczość musi wynikać z głębokiej potrzeby duchowej”. W słowach tych widoczna jest głęboka religijność Wojciecha Kilara, przejawiająca się zarówno w jego życiu jak i twórczości.

Pamięć o Wojciechu Kilarze we Lwowie

Wojciech Kilar po przymusowym opuszczeniu Lwowa do swojego rodzinnego miasta nigdy już nie powrócił. Nie miał też na to ochoty także po 1991 roku, chcąc zachować w pamięci Lwów, którego dziś już nie ma i który także wizualnie (zwłaszcza okolice domu gdzie mieszkał Kilar...) tak bardzo różni się od miasta zapamiętanego przez kompozytora

irskich muzyków („Kurier Galicyjski” nr 13/2012). W roku 2013 rozstrzygnięto konkurs Fundacji Dziedzictwo Kresowe pt. „Twórczość Wojciecha Kilara na przykładzie kina polskiego” skierowany do młodzieży polskiej, którego laureatką została Karolina Baczyńska ze Lwowa ze szkoły nr 24. Ponadto chór katedry lwowskiej im. Jana Pawła II w swoim repertuarze posiada także kilka sakralnych utworów Wojciecha Kilara. W grudniu ubiegłego roku w ramach festiwalu Jazz Bez kompozycje filmowe Wojciecha Kilara zabrzmiały za to w jazzowej interpretacji Kuby Stankiewicza podczas koncertu finałowego w Filharmonii Lwowskiej.

Obecnie we Lwowie warto pomyśleć o stosownej tablicy w języku polskim upamiętniającej dom, w którym przyszedł na świat wielki polski kompozytor.

Wojciech Kilar zmarł w Katowicach, z którymi związany był od 1948 r. Po uroczystości odprawionej mszy żałobnej w katedrze katowickiej wielki polski kompozytor został pochowany obok zmarłej przed 7 laty jego żony Barbary, na miejscowym cmentarzu przy ul. Sienkiewicza. *Requiescat in pace...*

U Polonii berlińskiej

Przewodniczący Polskiej Rady w Berlinie Ferdynand Domaradzki mieszka w niezwykłym miejscu. Przez jego posiadłość przez wiele lat przebiegała granica pomiędzy NRD i Berlinem Zachodnim. Znaczna część jego ziemi razem z domem i całą gospodarką znajdowały się we Francuskiej Strefie Okupacyjnej, zaś mniejsza – w Berlinie Wschodnim. Na jego ziemi zbudowano „mur berliński” i straż graniczna NRD założyła pole minowe.



Ferdynand Domaradzki przy pomniku muru berlińskiego

JURIJ SMIRNOW tekst i zdjęcie

Swoją posiadłość Ferdynand Domaradzki odzyskał dopiero po upadku komunizmu i zjednoczeniu Niemiec. Z kawałków dawnego muru zbudował z własnej inicjatywy niewielki pomnik ze stosowną tablicą, a na dawnym polu minowym organizuje każdego roku festyny dla Polonii berlińskiej. Miejscowość, w której

Berlinie Tadeusz Oliwiński i konsul ds. Polonii Marek Budka. Polonia berlińska podtrzymuje aktywną i owocną współpracę z województwem lubuskim i miastem Gorzów Wielkopolski – najbliższymi sąsiadami na wschodzie. Na spotkanie przyjechali również dawni koledzy z gorzowskiego oddziału „Wspólnoty Polskiej”, urzędu wojewódzkiego i urzędu prezydenta miasta Gorzowa. Nie zabrakło działaczy polonijnych z całych Niemiec,

coraz bardziej widoczni na mapie kulturalnej Berlina, pielęgnujemy język ojczysty, polskie święta narodowe, tradycje, rytuały, jak te bożonarodzeniowe, dotyczące świąt, które posiadają magiczną moc i które to tradycje upowszechniane są wszędzie tam, gdzie znajdują się Polacy. Na obczyźnie tworzymy w miarę spójną kulturowo wspólnotę polską, w myśl zasady, że razem możemy działać więcej. Mamy potencjał i mierzymy siły nie na słowa, a na czyny. Kulturowanie polskich tradycji i zwyczajów religijnych – to też nasz obowiązek rodzicielski, obywatelski, nauczycielski i religijny wobec młodego pokolenia i ich dzieci. Nie da się uciec przed bliskością czegoś, co jest magiczne i wzruszające. Od trzech lat każdego roku wraz z konsulem RP w Berlinie organizujemy spotkania wigilijne dla najbardziej aktywnych działaczy polonijnych. Chcemy przy okazji świąt spotkać się raz do roku ze sobą, by spędzić kilka godzin w przyjaznej atmosferze, pełnej serdeczności i życzliwości”.

Miłe spotkanie przebiegało w takiej właśnie atmosferze. Przybyło niemal starych znajomych, również



Spotkanie świąteczne Polonii berlińskiej

mieszka należy do Berlina, ale faktycznie pozostała niewielką wioską, gdzie kilkadziesiąt gospodarzy nadal prowadzi spokojny tryb życia, pracując na ziemi i hodując konie...

W centrum wioski jest kościół, a naprzeciwko wielka sala, w której odbywają się różne imprezy okolicznościowe. Tu właśnie odbyło się spotkanie opłatkowe Polonii berlińskiej. Zebrało się około 150 osób, w tym dużo młodzieży. Przybyli też przedstawiciele Komitetu Organizacji Polonijnych w Niemczech oraz Europejskich Wspólnot Alexander Zajac, poseł do Senatu Berlina Alex Lubawiński, konsul generalny RP w

przedstawiciele różnych pokoleń Polonii berlińskiej z Bolkiem Klimkiem na czele – najstarszym Polakiem w Berlinie. Porządku pilnowała też policja niemiecka, która od razu zauważyła kilkadziesiąt nieprawidłowo zaparkowanych samochodów przybyłych gości i od razu interweniowała w sprawie ich prawidłowego ustawienia. Przybyły też ekipa telewizji „Polonia” i lokalnej polskiej TV Metropolska – Berlin.

Zebranych pobłogosławił ksiądz z polskiej misji katolickiej, aktywnie działającej w Berlinie i całych Niemczech. Pan Domaradzki, witając zebranych, zaznaczył: „Jesteśmy

czytelników „Kuriera Galicyjskiego”. Wielu z nich to prawdziwi miłośnicy Kresów i pochodzą z naszych stron. Regularnie wybierają się w podróże sentymentalne. Rodzina Ferdynanda Domaradzkiego pochodzi z Doliny w dawnym woj. stanisławowskim. Otóż każdego roku organizuje on dla Polonii berlińskiej wycieczki na Kresy. W 2013 roku objechał całą Huculszczyznę i Zakarpacie. W spotkaniu wzięły udział nauczycielki języka polskiego, które opiekują się dziećmi polskiego pochodzenia i prowadzą lektorały z języka polskiego w szkołach niemieckich. Więcej o spotkaniu w kolejnym numerze KG.

„Bużka” dla dyplomaty

Przed Konsulatem Generalnym RP w Łucku studenci przygotowali manifestację solidarności z młodzieżą z krajów europejskich, organizującą akcje wsparcia przed placówkami dyplomatycznymi Ukrainy.



„Bużki” odbiera konsul generalny RP w Łucku Beata Brzywczy

AGNIESZKA RATNA tekst volynnews.com zdjęcia

Młodzież w stolicach europejskich wręcza dyplomatom ukraińskim apele, w których żąda ukarania winnych pobicia studentów na Majdanie w Kijowie. Do listów dołączają zasmucone „bużki”. Dziękując za okazane poparcie młodzi Ukraińcy przygotowali akcje solidarności: odbywają się w tych miastach Ukrainy, gdzie są konsulaty państw Unii Europejskiej. Łucy studenci przynieśli pod Konsulat Generalny RP uśmiechnięte „bużki”. Uczestnicy akcji przeczytali apel studentów Ukrainy do rządów państw unijnych. Nawołują w nim młodzież i naród Ukrainy do wsparcia dążeń demokratycznych, a w przypadku represji politycznych lub zastosowania przemocy w rozwiązywaniu konfliktu, do wprowadzenia sankcji przeciwko rządowi Ukrainy.

„Chcielibyśmy, aby te bużki pracownicy konsulatu zostawili sobie jako symbol naszego szacunku i wdzięczności za wsparcie, które

nam okazują – mówi działacz społeczny Zachar Tkaczuk. – Będą przypominały, że jesteśmy bratnimi narodami i wspieramy się nawzajem. To wsparcie jest nam potrzebne w trudnych chwilach”.

Dokument, podpisany przez łuckich studentów i „bużki” przekazano konsul generalnej RP w Łucku Beacie Brzywczy. Konsul zapewniła, że Polska nadal będzie wspierać Ukrainę w drodze do integracji europejskiej i jest gotowa do pośredniczenia w rozwiązywaniu trudnej sytuacji powstałej na Ukrainie. „Młodzież jest przyszłością Ukrainy, mamy nadzieję, że sytuacja będzie rozwiązana przez rząd bądź wspólnotę międzynarodową – mówi kierownik placówki dyplomatycznej. – Mamy nadzieję, że na Ukrainie nie powtórzą się takie wydarzenia. Polska wspiera Ukrainę, a polski rząd wypowiedział gotowość do pełnienia roli adwokata pomiędzy obiema stronami. Mam nadzieję, że ręka, którą podaje polska strona, zostanie przyjęta przez rząd Ukrainy”.



„Bużki” od wołyńskich studentów

Będzie ukraińska Solidarność?

Zbliżały się „łacińskie” święta. Tydzień poprzedzający piąty wiec na Majdanie Niezależności nie zapowiadał niczego nadzwyczajnego. Od wtorkowego wiecu – protestu przeciw wizycie Janukowycza w Moskwie, frekwencja na Majdanie była coraz mniejsza. W prywatnych rozmowach pojawiały się takie słowa, jak rozczarowanie, zmęczenie, zmarnowana szansa. Pomimo wszystko kolejny wiec zakończył się sukcesem. Powołano ruch społeczny Majdan.

WOJCIECH JANKOWSKI
tekst i zdjęcia

Obudziłem się w niedzielę bez większego entuzjazmu. Po kolejnym mitingu nie oczekiwałem już wiele. Można było usłyszeć na Majdanie narzekanie na zmarnowaną szansę, niewykorzystanie momentu największego poparcia społecznego. Sądziłem, że opór trwa siłą inercji. Niedziela to był mój ostatni dzień w Kijowie. Postanowiłem jechać do Warszawy pociągiem, bo choć ceny przemawiają na korzyść samolotu, to później wyjeżdżający pociąg z Kijowa, dawał szansę na zobaczenie mojego ostatniego wiecu w Kijowie.

Kolejny raz Ukraińcy nie zawiedli. Ten wiec być może będzie najważniejszym ze wszystkich, może okazać się historycznym. Wszystkie rozmowy do tego wieczoru dotyczyły ulatniającej się energii z Majdanu i tego czy powinien być wyłoniony jeden lider, a także tego dlaczego nikt nie weźmie na siebie tej odpowiedzialności. Postanowienia wiecu odsunęły takie rozmowy na bok. Powołano ruch społeczny, Polakowi chce się dodać, coś na kształt Solidarności – organizację zrzeszającą



organizację społeczne, partie polityczne i zwykłych obywateli Ukrainy. Wróciła w przemówieniach Julia Tymoszenko, o której liderzy jakby na chwilę zapomnieli.

Arsenij Jaceniuk powiedział do zebranych: *Encyklopedie świata mają nowe hasło: Majdan. To słowo oznacza strefę wolności, miejsce w sercu Ukrainy, w sercu każdego Ukraińca, nie tylko Ukraińca, Niemca i Polaka, Amerykanina, Rosjanina i Białorusina. My jesteśmy z wami z wami tu już od pięciu tygodni. Walczymy razem za sprawiedliwość, za naszą prawdę, za przyszłość.*

Rusłana zaapelowała do Ukraińców o połączenie sił: *Zwracam się do wszystkich: Ukraińcy! Wschód, centrum, południe, północ. Zwracam się do was, ktoś może pogubił się i nie wie jak odnaleźć się w całej tej sytuacji, Nie dowierzajcie propagandzie. Wierźcie sobie. Władza chce nas podzielić i prze do tego, nie zważając na konsekwencje. Nie ma kraju, który nie byłby solidarny dziś z Ukrainą. My musimy być dziś razem, jak nigdy do tej pory! Przyłączajcie się do nas!*

Tiahnybok zaapelował do Ukraińców, którzy wrócą do swoich miejsc zamieszkania, miejsc pracy i nauki by tworzyli lokalne ośrodki ruchu Majdan. Ponadto nawiązał do przesilenia zimowego, które miało miejsce w nocy z soboty na niedzielę: *Dzisiaj rozpoczyna czas, kiedy świat staje się jaśniejszym. Dzień staje się dłuższym a wy „majdańczycy” jesteście siłami światła! A oni to siły ciemności, ponieważ przychodzą w nocy nas rozganiać. Światło i dobro zwycięży na pewno! A co było w zeszłym tygodniu – prezydent pojechał uklęknąć przed moskiewskim carem-batiuszką!*

Biegając po wiecu po bagaż myślałem, że to dobrze, że zostałem te trzy godziny dłużej w Kijowie. Spokany znajomy, zapytał „I co? Powiedziałeś, że będzie mało ludzi?” Byłem skłonny z radością „odszczekać” swoje słowa.

Opozycja postanowiła wyprzedzić sytuację i wykorzystać wciąż istniejący kapitał społeczny. Dotychczasowy bilans pięciu tygodni oporu jest imponujący ale to, co widzimy zapowiada się na długą wojnę, może przerodzi się w długą kampanię wyborczą. Wszakże już za chwilę rok 2014, rok przedwyborczy. Czy ruch Majdan stanie się ukraińską Solidarnością? Zobaczmy.

RADIO WNET POLECAMY!

Słuchaj przez internet doskonałych programów warszawskiego Radia Wnet www.radiownet.pl

Program Wschodni w każdą sobotę o godz. 11:07 (czas ukr.)

Program wschodni jest radiową emanacją platformy, którą Radio Wnet przy współpracy Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie tworzy z polskimi redakcjami na terenie byłego ZSRR. Platforma pozwoli tym redakcjom współpracować i wymieniać się tworzonymi materiałami. Nasza współpraca obejmuje redakcje w następujących miastach: Równe, Lwów, Stanisławów (Iwano-Frankisk), Winnica. Jej owocem jest Program Wschodni. Ponadto będą nas



odwiedzać specjaliści od Wschodu z Polski. Program prowadzi Wojciech Jankowski.

Historia Wnet

w każdą sobotę o godz. 12:00 (czas ukraiński)

Doskonały program historyczny, w którym nie ma tematów tabu. Pod sztandarem Radia Wnet rozmawiamy o historii. Zapraszam.

Kontakt: Historia@radiownet.pl – napisał prowadzący program Piotr Dmitrowicz.



Wszystkie audycje (w tym archiwalne) są dostępne w internecie na portalu: www.radiownet.pl

NA POLSKIEJ FALI POLECAMY!

NA POLSKIEJ FALI to nowa audycja radiowa w języku polskim na falach iwano-frankowskiego Radia Weża w paśmie 107 FM, a także w internecie na stronie: www.kuriergalicyjski.com



Program jest nadawany w każdą sobotę o godzinie 21:15 Program jest też powtarzany: w niedzielę o godz. 11:30 w poniedziałek o godz. 21:15, we wtorek o godz. 21:15 Wszystkie audycje (w tym archiwalne) są dostępne w internecie na portalu www.kuriergalicyjski.com

NA POLSKIEJ FALI to wspólna inicjatywa Kuriera Galicyjskiego, warszawskiego Radia Wnet oraz iwano-frankowskiego Radia Weża. Naszych słuchaczy zapraszamy do współpracy, dzielenia się z nami swoimi uwagami i tym, co chcielibyście usłyszeć. Piszcie do nas na mail: kuriergalicyjski@wp.pl

ZAPRASZAMY!!!



Przedsiębiorcy zapraszają do współpracy

11 stycznia br. miała miejsce uroczystość poświęcenia siedziby stowarzyszenia Asocjacji Polskich Przedsiębiorców Ziemi Lwowskiej (APP) przy ul. Furmańskiej 1 we Lwowie. Niewielkie, ale przytulne biuro stowarzyszenia APP zostało poświęcone przez ks. Rafała Zborowskiego z katedry lwowskiej.

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst i zdjęcie

Uroczystość zgromadziła nieliczną grupę zaproszonych gości. Stowarzyszenie reprezentowali prezes Tatiana Bojko, wiceprezes Lucyna Botwina i dyrektor biura Wiktoria Filcewa. Konsulat Generalny RP we Lwowie reprezentował konsul Marian Orlikowski. Obecni byli też Emil Legowicz prezes TKPZL, Julia Bojko – dyrektor Centrum Oświatowego im. Kornela Makuszyńskiego ze Stryja oraz Wiktor Dorosz z Pnikuta, przedstawiciel Domu Chleba przy Religijnej Misji Caritas-Spes Archidiecezji Lwowskiej i małżeństwo przedsiębiorców Aleksander i Irena Sikora ze Stryja.

Stowarzyszenie APP powstało w maju 2012 roku, a w grudniu 2013 roku udało się znaleźć odpowiednie lokum na biuro. Lokalizacja jest dogodna, ulica Furmańska prowadzi do gmachu Opery Lwowskiej. Jest to ściśle centrum miasta z dogodnym dojazdem z każdego jego punktu. Po adaptacji i wyposażeniu lokal jest gotowy do przyjmowania chętnych. Korzystając z okresu odwiedzin kapłanów w domach, z tzw. kołędą, prezes APP Tatiana Bojko zaprosiła księdza do nowego lokalu. Po odśpiewaniu kołęd i modlitwie, ks. Rafał poświęcił lokal.

Po poświęceniu lokalu odbyło się również skromne spotkanie opłatkowe, na które dołączyli Dominika Pasternicka, prezes stowarzyszenia stypendystów „Semper Polonia”, wiceprezes Fundacji „Dajmy Nadzieję” Iwanna Andrejczuk i grono osób współpracujących ze stowarzyszeniem. Na spotkaniu prezes Tatiana Bojko przedstawiła zasady działalności, celem której ma być ułatwienie startu życiowego polskiej młodzieży, umożliwienie rozpoczęcia własnej działalności gospodarczej, podniesienie samooceny w myśl hasła „Polak potrafi!”.



Uroczystość poświęcenia lokalu stowarzyszenia Asocjacja Polskich Przedsiębiorców

Działalność APP rozwijać się będzie w kilku kierunkach, a priorytetowymi będzie działalność oświatowa, informacyjna, integracyjna i charytatywna wśród i dla społeczności polskiej.

Działalność oświatowa skierowana będzie do młodzieży i dzieci. Dla młodzieży i wszystkich chętnych prowadzone będą szkolenia z języka polskiego. Dla najmłodszych planowane jest zorganizowanie tzw. świetlic „Elementarza”, gdzie już od trzeciego roku życia dzieci z rodzin polskich, które nie uczęszczają do przedszkoli polskich raz w tygodniu będą mogły przez kilka godzin przy zabawie poznawać język polski, tradycje i kulturę polską.

Kolejnym kierunkiem działalności oświatowej będą organizowane dwa razy do roku Kiermasze Edukacyjne. Odbywać się będą przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocą. Ich celem będzie przedstawienie tradycji polskich związanych z tymi świętami. Pierwszy taki kiermasz pt. „Polska Wigilia na Kresach” odbył

się w zeszłym roku przed Bożym Narodzeniem i spotkał się z wielkim zainteresowaniem lwowiaków. Przy okazji prowadzone będą akcje charytatywne na określone cele.

Szczególnie atrakcyjną propozycją dla młodzieży będzie „inkubator przedsiębiorczości”. W siedzibie stowarzyszenia APP dla osób zainteresowanych założeniem własnego biznesu będą udostępnione miejsce pracy, dostęp do internetu i możliwość przyjmowania interesantów. Można tu będzie rozpocząć działalność przedsiębiorczą lub otrzymać zatrudnienie na okres półroczny w APP. Oprócz tego „inkubator” będzie otwarty na wszelkie propozycje ze strony młodzieży zarówno ze Lwowa i Ziemi Lwowskiej, jak i z Polski, będzie też służył nawiązywaniu kontaktów biznesowych. W ramach „inkubatora przedsiębiorczości” planowane są różnego rodzaju szkolenia i konsultacje, mające na celu aktywizację młodzieży polskiej i rozwoju przez nią własnej działalności gospodarczej.

APP planuje stworzenie punktu informacyjnego usług medycznych. Po wprowadzeniu Karty Polaka zaistniała możliwość konsultacji medycznych w Polsce. Można będzie otrzymać tu pełną informację prawną dla posiadacza Karty Polaka. Również gromadzona będzie informacja w jakiej placówce w Polsce można dokonać specjalistycznych konsultacji. Działalność ta będzie prowadzona również dla obywateli polskich, którzy coraz szerzej zainteresowani są np. leczeniem sanatoryjnym na Ukrainie. Przebieg informacji w obie strony również będzie sprzyjał rozwojowi kontaktów zawodowych, wymianie doświadczeń i poszerzeniu dostępności zabiegów i badań.

Działalność charytatywna będzie opierać się głównie na organizowaniu zbiórek funduszy przy okazji kiermaszów, ale również APP deklaruje otwartość na propozycje i chęć uczestniczenia w tego rodzaju akcjach, organizowanych przez Caritas, Konsulat Generalny RP, czy inne

organizacje i fundacje. Główną ideą będzie wspieranie potrzebujących. Nie zawsze chodzi o pieniądze. Wspieraniem może być porada, zastąpienie na kilka godzin opiekuna przy chorym dziecku czy pomoc w załatwieniu jakiś drobnych spraw. Tu też APP otwarta jest na propozycje, a ze swej strony ma już kilka pomysłów, wzorowanych na działalności swoich parterów z Krosna. Należy tu dodać, że pierwsza akcja charytatywna APP – wsparcie budowy kościoła w Morszynie trwa do końca roku 2014. Podczas kiermaszu edukacyjnego zebrano 1500 hrywien na ten cel.

Podczas dyskusji padło kilka propozycji nawiązanie współpracy ze strony konsula Mariana Orlikowskiego, a Iwanna Andrejczuk i Dominika Pasternicka opowiedziały o działalności swoich organizacji i o możliwości współpracy z APP.

Szczególnie zainteresowana współpracą jest Dominika Pasternicka. „Interesują mnie możliwości, które daje APP młodym ludziom po studiach. W obecnej chwili trudno jest znaleźć dobrą pracę. Propozycje pani Bojko w tym wypadku są bardzo interesujące. Wiele młodych ludzi zwraca się do nas z pytaniami o takie polskie organizacje czy placówki, gdzie mogliby znaleźć wsparcie lub pomoc. Mamy propozycje współpracy ze stowarzyszeniem APP. Dla mnie najbardziej interesująca jest propozycja przypomnienia dawnych polskich tradycji, strojów ludowych, tradycyjnej polskiej kuchni świątecznej. Są to bardzo bogate tradycje, ale dziś już wiele z nich się zatario, więc warto je przypomnieć”.

Dla wszystkich chętnych podajemy adres biura stowarzyszenia Asocjacji Polskich Przedsiębiorców Ziemi Lwowskiej: Lwów, ul. Furmańska 1 tel.: 063 887 33 37 Wiktoria Filcewa e-mail: asocjacja_appzl@o2.pl

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcie

„Cieszymy się, że jesteśmy tu po raz szesnasty – powiedział inicjator wizyt, honorowy prezes Stowarzyszenia „Wspólne Korzenie” Zbigniew Wojciechowski. – Pierwszy był bardzo symboliczny, podczas naszej wizyty. Ale następny był w szkole nr 10 i 24. Później w Pałacu Sztuki przy ul. Kopernika. Od trzech lat gościmy w konsulacie. Ewangelia mówi, że z wielu wartości, z wielu tych najważniejszych przykazań najważniejsze jest przykazanie miłości. Chciałem wam podziękować, nasi kochani drodzy rodacy za tę miłość do Ojczyzny, do języka, do kultury, do podtrzymywania tej tradycji.

Zbigniew Wojciechowski przedstawił obecnemu na sali Aleksandra Sendegę, wiceprezydenta miasta Lwowa w latach 1996-2002, który rozpoczął współpracę między dwoma miastami. Wymienił tych, kto

XVI OPŁATEK LUBELSKI

11 stycznia Polacy z Ziemi Lwowskiej i Tarnopolskiej zgromadzili się w gmachu Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, gdzie odbywał się tzw. „opłatek lubelski” zorganizowany przez Stowarzyszenie „Wspólne Korzenie” i urząd miasta Lublin.



Wspólnej modlitwie przewodniczyli: ks. Rafał Zborowski, ks. Leszek Surma i ks. Grzegorz Draus

przyczynił się do przygotowania stołu wigilijnego. Wśród obecnych był Marek Łużyński, który od wielu lat przygotowuje prezenty dla domu dziecka na górnym Łyczakowie. Tym razem pielgrzymi przygotowali też dary dla dzieci ze Złoczowa. Na ręce obecnych przedstawicieli władz miasta Lwowa mówca złożył życzenia dla narodu ukraińskiego, życzył dokonania dobrych wyborów. „Dobrych dla Ukrainy, dla Europy, ale także i dla Polski” – podkreślił.

Prezes TKPZL Emil Legowicz wręczył złotą odznakę za zasługi dla Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej honorowemu prezesowi Stowarzyszenia „Wspólne Korzenie” Zbigniewowi Wojciechowskiemu, zasłużonemu działaczowi Stowarzyszenia Józefowi Husarzowi oraz dwóm dziennikarzom Kuriera Galicyjskiego Konstantemu Czawagie i Jurijowi Smirnowowi.

W imieniu wyróżnionych podziękowanie złożył Zbigniew Wojcie-

Odznaczenia państwowe dla członków TKPZL

Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej (TKPZL) było pierwszą organizacją polską na Ukrainie, która powstała 25 lat temu. Działalność Towarzystwa wpisała się już na stałe w historię. Wiele ciepłych słów skierowano pod adresem Towarzystwa podczas jubileuszu, obchodzonego jesienią 2013 roku we lwowskim Teatrze Skarbkowskim.

JURIJ SMIRNOW tekst
ZBIGNIEW PAKOSZ zdjęcie

Wielu działaczy TKPZL odznaczono państwowymi odznaczeniami RP. Przewidywano wręczenie tych nagród podczas wizyty prezydenta RP Bronisława Komorowskiego we Lwowie planowanej na 3 grudnia. Z powodu wydarzeń w Kijowie ta wizyta została odwołana. Uroczyste wręczenie odznaczeń przeniesiono na 19 grudnia.

Prezes TKPZL Emil Legowicz opowiedział czytelnikom Kuriera o tym wydarzeniu. „W sali Konsulatu Generalnego RP we Lwowie konsul generalny Jarosław Drozd spotkał się na oplatku z pracownikami konsulatu, przedstawicielami władz miasta i województwa lwowskiego oraz przedstawicielami organizacji polskich. Na spotkaniu obecny był również metropolita lwowski Mieczysław Mokrzycki. Kulminacją spotkania było wręczenie odznaczeń państwowych, przyznanych zasłużonym działaczom TKPZL z okazji jubileuszu 25-lecia założenia organizacji. Była to chwila wielkiego przeżycia nie tylko dla odznaczonych, ale i dla wszystkich obecnych” – powiedział prezes TKPZL.

Z rąk konsula generalnego Jarosława Drozda odznaczenia otrzymali:

Srebrny Krzyż Zasługi – Ryszard Szafran, Danuta Rybij i Teresa Panowa.

Złoty Krzyż Zasługi – Barbara Legowicz, Zbigniew Pakosz, Stanisław Maldziński, Tatiana Bojko, Halina Wójcicka i Henryk Liryk.



Pamiątkowe zdjęcie odznaczonych

Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi otrzymali – Ewelina Hrycaj-Małańczak, Jan Tysson, Adam Aurzecki, Czesław Prędkiewicz i Marian Kładny.

Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP uhonorowano też prezesa Zarządu Głównego TKPZL Emila Legowicza.

Wśród odznaczonych są ci, którzy pracują na rzecz krzewienia polskości od pierwszych dni założenia Towarzystwa. Jednym z nich jest Jan Tysson. Aktor Teatru Polskiego

we Lwowie i członek Zarządu Głównego TKPZL. Prowadzi pracę naukową poświęconą opracowaniu spuścizny swego dziadka Jana Sas-Zubrzyckiego, znanego lwowskiego architekta, profesora Politechniki Lwowskiej. Zorganizowana staraniem Jana Tyssona wystawa poświęcona działalności zawodowej profesora Sas-Zubrzyckiego objechała już wiele polskich miast i nadal cieszy się stałym zainteresowaniem. Bezinteresownym entuzjazmem odznacza się Stanisław

Maldziński, członek Zarządu Głównego TKPZL. Opiekuje się w imieniu Towarzystwa polskimi dziećmi w przedszkolach.

TKPZL nie mogłoby działać bez wsparcia dobrze zorganizowanych oddziałów terenowych. Można by rzec, że we Lwowie znajduje się tylko „głowa” organizacji, a siła skupia się w licznych oddziałach w terenie. Taka struktura była pomyślana od samego początku założenia Towarzystwa i sprawdziła się w ciągu 25 lat działalności. Miejscowe oddzia-

ły wyłoniły swoich liderów, którzy również mają olbrzymie zasługi w organizacji polskiego życia na swoim terenie. Wśród odznaczonych odznaczeniami państwowymi RP znaleźli się tacy ludzie jak Tatiana Bojko, Halina Wójcicka, Henryk Liryk, Adam Aurzecki i inni.

Odznaczenie działaczy TKPZL świadczy o tym, że polskie władze wysoko cenią działalność organizacji polskich poza granicami Kraju, okazując wszelkie wsparcie.

KG

chowski. „Warto było tę drogę wybrać na Lwów, na Kresy, ale przede wszystkim tę drogę do ludzi bardzo życzliwych, otwartych, szczerych jakimi są nasi rodacy ale i nasi przyjaciele ze Lwowa i Ziemi Lwowskiej. To jest jeszcze wezwanie do dalszej pracy i współpracy polsko-ukraińskiej, dialogu, ale i pracy na rzecz naszych rodaków”. Dodał, że owocna praca jest prowadzona dzięki Józefowi Husarzowi ze Strzelczysk koło Mościsk, który pracuje w kancelarii prezydenta miasta Lublina.

Wspólnej modlitwie przewodniczyli ks. Leszek Surma, kapelan Stowarzyszenia „Wspólne Korzenie”, ks. Rafał Zborowski, wikariusz katedry lwowskiej i ks. Grzegorz Draus z lwowskiej parafii bł. Jana Pawła II. Imprezę uświetnił występ chóru „Echo” pod batutą Edwarda Kuca oraz dzieci z „Rodziny Rodzin” W niedzielę, 12 stycznia, delegacja z Lublina uczestniczyła we mszy św. w katedrze lwowskiej.

Zbigniew Wojciechowski opowiedział o pracy Stowarzyszenia „Wspólne korzenie”: misją Stowarzyszenia „Wspólne Korzenie” jest utrzymywanie więzi z rodakami, których los i historia wykluczyły z granic naszej ojczyzny. Dla nich rokrocznie organizujemy takie akcje jak między innymi „Polski oplatek we Lwowie” czy „Wielkanoc w Polsce”. Głównym celem polskiego oplatka we Lwowie jest podtrzymywanie więzi z rodakami, mieszkającymi we Lwowie i obwodzie lwowskim, utrzymywanie dobrosąsiedzkich stosunków polsko-ukraińskich, wzmocnienie roli Lublina w tych działaniach. W wyjazdach uczestniczą mieszkańcy, władze samorządowe, radni, parlamentarzyści, dziennikarze z Lublina, konsulowie RP na Ukrainie, lwowiacy i przedstawiciele władz ukraińskich. Corocznie delegacja odwiedza dom dziecka na Łyczakowie przekazując darowane przez lubelskie firmy upominki, żywność.

Spotkania mają charakter cykliczny, odbywają się od 2001 roku. Pomagamy zarówno osobom indywidualnym, jak i polskim parafiom np. w Żółtkwi, Lwowie, Kijowie. Stale współpracujemy z polskim konsulem we Lwowie, organizacjami oraz stowarzyszeniami działającymi na Ukrainie, Białorusi, Rosji.

Z inicjatywy Stowarzyszenia została podjęta renowacja pomnika Adama Mickiewicza we Lwowie. Dbamy o miejsca pamięci w Charkowie, Katyniu, Starobielsku czy Miednoje. Bardzo istotnym punktem naszych działań statutowych jest promowanie dobrosąsiedzkich stosunków z naszymi wschodnimi sąsiadami, szczególnie z Ukrainą. Wśród osiągnięć możemy wymienić chociażby organizowanie Polsko-Ukraińskiego Festiwalu Kultury, pomoc przy budowie pomnika „Krzyż kozacki”, konwoje z pomocą medyczną dla ofiar katastrofy lotniczej we Lwowie.

Pomoc dla pani Zofii

Zwracamy się z prośbą do Czytelników Kuriera Galicyjskiego o pomoc dla pani Zofii Romanowicz z Gródka Jagiellońskiego.

Pani Zofia jest po ciężkim złamaniu kości udowej. W wyniku złamania musiała poddać się operacji, której koszt wyniósł ponad 3600 zł. Dziś, ta niezasobna rencistka potrzebuje pomocy, by spłacić dług, a także potrzebne są środki na dalsze leczenie i rehabilitację. Jeśli ktoś chciałby wesprzeć panią Zofię, prosimy o wpłaty na konto fundacji: BGŻ SA 23 2030 0045 1110 0000 0222 0700 – z dopiskiem – „Zofia Romanowicz”.

Monika Michalak
Fundacja dr. Mosinga, Zielona Góra

Korzystaj z usług polskich przewodników ze Lwowa!

Fachowe oprowadzanie po Lwowie,
pilotowanie grup turystycznych
po Kresach w języku polskim

tel.: 0-0380679447843, 0-380677477329, 0-380676750662,
0-380504304511, 0-380504307007, 0-380509494445, 0-380987175971

JAK CIĘ ARESZTUJĄ, TO CIĘ CHOĆIAŻ NIE ZABIJĄ

Tetiana Czornowół – znana ukraińska dziennikarka została brutalnie pobita w nocy 25 grudnia 2013 roku. Prześladowcy na początku próbowali staranować jej samochód, a gdy z niego próbowała uciec, złapali ją i bili zadając ciosy w twarz. Urazy mogły doprowadzić do zgonu. Od kilku tygodni Tetiana przebywa w szpitalu i chociaż czuje się lepiej, mówi, że szybko się męczy, jest senna, łatwiej się denerwuje, nie może pracować przy komputerze. Według opinii lekarza, będzie musiała pozostać w szpitalu jeszcze kilka dni, a później czeka ją 4–5 tygodni rehabilitacji. Czekają ją też konieczność rozpoznania sprawców pobicia – ukraińska milicja zatrzymała podejrzanych.

Kogo podejrzewa o zlecenie napadu i czym „zasłużyła” sobie na targnięcie się na jej życie, a także o przyszłości Majdanu z TETIANĄ CZORNOWOŁ dziennikarką, czy raczej aktywistką (jak mówi o sobie sama) Majdanu, rozmawiał PAWEŁ BOBÓŁOWICZ z Radia Wnet:

Tetiano, czy prezydent Wiktor Janukowycz jest Twoim osobistym wrogiem? A może to Ty jesteś jego wrogiem?

Walczę z nim długo i konsekwentnie. To pewne, że jest dla mnie osobistym wrogiem. Ja dla niego też. Od dawna jestem na jego „czarnej liście”.

Na czym polega Twoja walka? Co takiego zrobiłaś, że czujesz się osobistym wrogiem prezydenta państwa? Czy to sprawa prezydenckiej rezydencji w Meżhyriju i tego jak tam weszłaś w 2012 roku?

Tak, ta sprawa była dla niego paskudna i dotyczyła jego bezpieczeństwa. Janukowycz ma paranoję na punkcie bezpieczeństwa. Za każdym razem gdy coś się dzieje na Majdanie odgradza się dwoma kordonami Berkutu, ludzie nie mogą podejść, dziennikarze nie mogą się zbliżyć. Początki mojej pracy dziennikarskiej przypadły jeszcze na prezydenturę Kuczmy, później aktywnie działałam za czasów Juszczenki. Nigdy nie mieliśmy tak niedostępnego dla dziennikarzy prezydenta. Kuczma był o wiele bardziej dostępny, a o Juszczence to w ogóle nie ma co mówić. Ja niszczyłam i niszczyć wiarę Janukowycza, że jest on w pełni bezpieczny. To jest dostateczny powód by stać się jego wrogiem

Jak się dostałaś na teren prezydenckiej rezydencji wtedy, w 2012 roku?

Obok ogrodzenia rezydencji jest budynek. Ogrodzenie ma pięć, może sześć metrów. Tyle samo co ten budynek, a między nimi są tylko 2 metry odległości. Najpierw po piorunochronie weszłam na dach budynku, przerzuciłam deskę, którą przyniosłam ze sobą z domu i przeszedłam po niej jak po mostku na ogrodzenie. Po linie zsunęłam się na teren posiadłości. Wokół jest pełno różnych urządzeń technicznych do monitoringu, ale



Paweł Bobołowicz

akurat w tym czasie budowano obok stację benzynową. Ochrona w związku z tym zapewne myślała, że robią tam coś budowlanego. Robotnicy widząc mnie zdziwili się, ale pewnie pomyśleli, że tak ma być, a ja sobie stamtąd zeszedłam w dół i dalej, dalej.

I co tam zobaczyłaś?

Sama akcja miała bardziej charakter polityczny niż dziennikarski. Chciałam pokazać Ukrainie, która w tym czasie była obojętna, bez wiary, zastraszona, że żaden parkan, mur nie ochroni człowieka, który niszczy kraj – w tym właśnie czasie Janukowycz forsował przepisy prawne niszczące język ukraiński. Jak już znalazłam się w środku, zrozumiałam, że mogę coś zrobić dla dziennikarstwa. W tym czasie jeszcze nie było zdjęć prezydenckiego jachtu – pływającej sali bankietowej – więc poszłam tam, zrobiłam fotografie. Nie dałam rady podejść do samego jachtu, ale szłam górą nad jarami, a ochrona była na dole. Nie chodzą z głowami do góry, więc widziałam ich pierwsza i w razie potrzeby kładłam się na ziemi. Jak zeszedłam do jachtu, to ochroniarz „wyrósł” przede mną i w ostatniej chwili schowałam się za choinkę. Gdy robiłam zdjęcia jachtu to byłam w polu widzenia pięciu ochroniarzy. Możesz sobie to wy-

obrazić? To przecież znaczy, że tych ochroniarzy było tam pełno, mimo, że ludzie jeszcze wtedy nie wychodzili na takie akcje protestu i w ogóle społeczeństwo było jeszcze bardzo obojętne.

Ochrona pewnie jednak nie przewidywała, że ktoś może dokonać takiego czynu...

Bardzo żałuję, że nie poszłam dalej, bo tam jest jeszcze jedno wewnętrzne ogrodzenie z dodatkowymi budkami ochroniarzy, odgradzające faktyczne miejsce zamieszkania prezydenta. Chodziłam po terytorium części gospodarczej i tam gdzie mieszczą się jego rozrywki: pole golfowe, jacht, lotnisko dla śmigłowca, budynek dla gości, szklarnie, jego strusia. W środku jest jeszcze jedna strefa, w której mieszka Janukowycz. Jest dodatkowo ogrodzona i otoczona budkami ochrony. Próbowałam tam przejść, ale zobaczyłam, że nie ma na to szans. Musiałabym przejść na widoku trzech, czterech takich budek. Ciężko byłoby spowodować, żeby wszyscy czterej ochroniarze naraz się odwrócili... W tym czasie miałam wyłączony telefon, żeby nie można było mnie zlokalizować. Dziennikarz, który wiedział gdzie pojechałam, zaczął się o mnie bać,

myśląc, że już przepadałam – byłam tam trzy godziny! Zaczął dzwonić po mediach i pojawiła się informacja w telewizjach, na portalach, że Tetiana jest w Meżhyriju. Zaczęto mnie szukać. W tym czasie usłyszałam, że za murem biegają ochroniarze z psami – do nich na pewno dotarły te informacje i szukali mnie na zewnątrz. Na myśl im nawet nie przyszło, że mogę być w środku. Wtedy postanowiłam się poddać. Z psami raczej nie ma żartów, nie do końca rozpoznają kto jest dziennikarzem... To rzeczywiście stało się ryzykowne, ale jak się poddać? Przede wszystkim schowałam te fotografie, które już zrobiłam, a zaczęłam robić nowe i już zupełnie otwarcie szłam przy murze i robiłam zdjęcia. Mimo tego dalej nikt mnie nie widział i minęłam wszystkie punkty ochrony. Jeszcze wtedy miałam szansę wejść na teren tej wewnętrznej strefy, ale niepotrzebnie dalej fotografowałam i w końcu ochrona mnie zatrzymała.

Jak wyglądało zatrzymanie?

Przede wszystkim próbowali sprawdzić co fotografowałam, zabrać zdjęcia. Zrobiłam awanturę, nie oddawałam telefonu, którym robiłam zdjęcia. To nie było takie łatwe, wywiązała się walka. Zabrali mi w końcu

telefon i kartę, to ich zadowolilo. Wykonali swoją pracę: Janukowycz boi się fotografii, to narusza jego bezpieczeństwo, bezpieczeństwo jego rezydencji. Zresztą to nie jedyna jego rezydencja, którą się zajmowałam. Ma ich wiele, część państwowych, część prywatnych. Przede wszystkim jednak trzeba stwierdzić, że te jego dzisiejsze rezydencje są inne niż te wcześniejsze. Popadł w jakiś maksymalizm, uwielbienie rozkoszy. To co miał wcześniej już nie odpowiada jego potrzebom. Na przykład na Krymie, na przykład Aya, buduje kolejny, potężny pałac.

To ta rezydencja, której plany wykradłaś?

One są opublikowane na portalu Ukraińskiej Prawdy. Był z tego większy skandal, terroryzowano budowlanców, żeby dowiedzieć w jaki sposób trafiły do mnie te plany. Wyobrażam sobie w jakim stanie był Wiktor Fedorowicz...

Czy sprawa z Twoim wejściem do rezydencji w Meżhyriju miała jakieś dalsze konsekwencje prawne?

Myślę, że to co się stało teraz – to są konsekwencje. Wtedy bali się popełniać przestępstwa. To był okres kampanii wyborczej. Mogło to spowodować wzrost popularności

opozycji. Nie było mowy o jakiejś poważnej odpowiedzialności, dlatego nie wszczęto śledztwa. Nie walczyłam z Wiktoorem Fedorowiczem, ale jako dziennikarz, próbowałam przygotowywać „bomby informacyjne”. Zajmuję się sprawami, wobec jakich społeczeństwo nie może być obojętne. Takim tematem są polowania Janukowycza. Prezydent ma potężny majątek specjalnie na polowania pod Sucholuczem, niedaleko od Meżyhiria. Teren o powierzchni 33 000 ha. Ludzie nie mają nawet pojęcia co on tam ma, a jest to wyspecjalizowana ubojnia zwierząt. Cały las podzielono na kwadraty o boku jednego kilometra, czasami dwóch kilometrów, przedzielono je drogami. Co 50 – 100 metrów stoją ambony dla myśliwych. W ciągu ostatnich lat zbudowano tam 500 km dróg i postanowiono co najmniej 1000 myśliwskich ambon! I to wszystko ze środków budżetowych! Publikowałam na ten temat, nikt nie zwracał uwagi, ale jak groźny jest to temat wiedział Wiktor Fedorowicz. Przecież to pokazuje jego istotę, istotę kogoś, kto przelewa krew. Nie są to polowania, ale masowe zabijanie zwierząt. Są tam takie ambony przed którymi ustawia się paśniki. Jak przyjeżdża Wiktor Fedorowicz zaganiają mu tam zwierzęta, a on je po prostu rozstrzeluje. Nie jest to psychika normalnego człowieka. Jak dołożymy do tego władzę, to otrzymujemy strasznego przywódcę. Próbowałam wielokrotnie zwrócić na to uwagę. Drukowano moje teksty, materiał wyemitował 5 Kanał, ale to wszystko nie przynosiło większego efektu informacyjnego. W końcu postanowiłam spalić jedną z ambon. Pomyślałam, że to musi spowodować śledztwo, to musi zwrócić uwagę i będzie to temat pokazywany w telewizji, bo 5 Kanał to jednak za mało. Z niewielką grupą osób udało nam się spalić ambonę. Najciekawszy jednak jest fakt, że nikt nie rozpoczął śledztwa. Ale dla Wiktor Fedorowicza na pewno był to pierwszy sygnał zagrożenia dla jego majątku. Nie mogę podać więcej szczegółów, ale teraz są też przesładowane i inne osoby związane z tą akcją. Śledztwa jednak nie ma.

Dlaczego tak ciężko jest dowiedzieć się gdzie mieszka prezydent, jaki ma majątek? Po Twoich akcjach Janukowycz zaprosił do siebie dziennikarzy...

To zaproszenie – to cyniczne kłamstwo. Zresztą to nie pierwsze tego typu zaproszenie Janukowycza do swojego domu. Pierwszy raz zaprosił dziennikarzy w 2006 roku. Powstały takie reportaże, że tylko przykładać je do serca. Janukowycz pokazywał stary budynek z sowieckich czasów, z popękkanymi ścianami, mówił, że trzeba go remontować, ale szkoda mu na to wydawać państwowe pieniądze, bo są one bardziej potrzebne na edukację i wiele innych spraw w państwie. Dlatego będzie mieszkać w tych popękanych ścianach. Później w tych postsowieckich wnętrzach podał herbatę i dziennikarze rozeszli się. Byłam w tym miejscu miesiąc później po tym „zaproszeniu”. Nie było tam już nawet śladu po tym budynku. Był tylko równy plac. Po wizycie dziennikarzy budynek został rozebrany i zrównany z ziemią. To straszny cynizm, zresztą on już wtedy tam nie mieszkał. Zbudowano mu

dom, do którego zaprosił dziennikarzy za drugim razem. Ładne kolumny, niewielki, ale ładny, z miedzianym dachem, z basenem, fontanną, altanką, bardzo zgrabna architektura. Tylko że, jak tam zaprosił dziennikarzy, to też już tam nie mieszkał. To było tymczasowe mieszkanie na czas budowy nowej rezydencji – wielkiego drewnianego domu.

Atak na Ciebie mógł być związany z kolejnymi Twoimi akcjami? W dniu, kiedy Cię pobito, odnalazłaś miejsce zamieszkania ministra spraw wewnętrznych Witalija Zacharczenki...

Zacharczenko tego by nie zaplanował. To po prostu człowiek „rodziny” (tak określa się układ wokół prezydenta Janukowycza – red.). Zacharczenko otrzymał posadę dzięki Janukowyczowi i będzie mu za to wdzięczny do końca życia. On niczego nie robi bez pozwolenia Wiktor Fedorowicza.

Ale w tym feralnym dniu byłaś pod domem Zacharczenki?

Nie tylko pod domem Zacharczenki, ale też pod domem prokuratora generalnego Wiktor Pszonki. Właściwie to pod trzema domami Pszonki. W tym czasie opublikowałam informacje o domu Zacharczenki, o domach Pszonki jeszcze nawet nie do końca wszystko wiedziałam. Miejscom bowiem wskazywali mi tam trzy domy, które nazywali „domami Pszonki”. Wydaje mi się, że w jednym mieszka prokurator Pszonka, w drugim jego syn, a trzeci na razie jest w budowie.

Nie możemy nawet oficjalnie się dowiedzieć gdzie mieszkają najważniejsze osoby w naszym państwie... Janukowycz nigdy nie przyznał się, że mieszka w Meżyhiriu.

Rozmawiałaś kiedyś bezpośrednio z prezydentem Janukowyczem? Jak oficjalnie się do Ciebie odnosił?

Na ostatniej konferencji prasowej nawet była z tego powodu awantura. Kiedy na konferencję wszedł Wiktor Fedorowicz jego ochrona po prostu mnie otoczyła. Nie mogłam przez to podejść do mikrofonu i pytania musiałam zadawać krzyżem. W 2007 roku udało mi się go zapytać po raz pierwszy czy mieszka w Meżyhiriu. Odpowiedział, że tam nie mieszka, a w przeznaczony dla niego państwowej rezydencji w Puszczy Wodycy, w tej samej okolicy gdzie mieszka Wiktor Medweczuk. Oczywiście skłamał, bo właśnie wtedy odbywała się prywatyzacja majątku, zburzono stare zabudowania i budowano nowe.

Pierwszy raz rozmawialiśmy chyba 15 grudnia, powiedziałaś mi wtedy, że już czujesz się bardziej aktywistką niż dziennikarką i że się nie boisz, a kilka dni później miało miejsce to strasne wydarzenie...

Wszystko jedno, dalej się nie boję!

A co będziesz dalej robić? Będziesz prowadzić swoje poszukiwania, śledztwa?

To co się ze mną stało może być wynikiem kalkulacji analityków Wiktor Fedorowicza: ponieważ już nie jestem dziennikarką, jeśli coś mi się stanie, nie będzie to miało wielkiego oddźwięku. Bito już przecież działa-

czy, deputowanych. Uznano, że to będzie normalne. Bo jednak status dziennikarza chroni u nas najbardziej. Lider opozycji ma mniejszą możliwość ochrony niż dziennikarz. To co zrobili okazało się jednak bardzo źle i dla mnie, i dla nich. Dla mnie, bo już miałam sprecyzowane plany pracy z AutoMajdanem (zmotoryzowani uczestnicy Majdanu, prowadzący akcję z wykorzystaniem samochodów – red.). Mieliśmy już zaplanowany każdy dzień, na razie nie mogę tam działać, ale oczywiście wrócę do tej działalności.

Mówisz, że Ty się nie boisz, ale jak przyjmuje to Twoja rodzina? Jesteś córką, mamą i żoną...

Oczywiście, że się denerwuję, ale od dawna zajmuję się ryzykownymi sprawami. Mama – kobiety może są bardziej emocjonalne – mówiła: „Tania, nie mogę się doczekać, aż cię aresztują. Jak cię aresztują, to cię chociaż nie zabiją”. Śmiałam się i myślałam sobie „a to mama!”.

Sądysz, że ci, którzy dokonali tej napaści na Ciebie, zostaną ukarani?

Przede wszystkim trzeba zrozumieć, że to tylko wykonawcy. Głównym zleceniodawcą jest Wiktor Janukowycz. Nie wiem jak on to zlecił, czy coś powiedział, czy napisał, ale wiem, że byłam na jego „czarnej liście”. Oprócz niego byli jeszcze ludzie, którzy wydawali rozkazy. Czyli: był zleceniodawca, organizatorzy i wykonawcy. Ci chłopcy to żołnierze. Oczywiście chciałabym ukarania zleceniodawców.

Wierzysz dalej w Majdan? Czy protest może przynieść realne zmiany w Ukrainie?

Już przyniósł! Majdan to wielka zmiana w Ukrainie. Ostatnie trzy lata to straszna sytuacja: totalne bezprawie, niesprawiedliwość: ekonomiczna, polityczna, narodowa. Często wynikały problemy dotyczące funkcjonowania kraju, a nikt nie reagował. A dziś wyszły setki tysięcy ludzi na Majdan. Majdan to miliony ludzi gotowych do walki za swoją ojczyznę

A może za miesiąc nie będzie już milionów, lecz tylko setki osób?

Ludzie wyjdą jak będzie taka potrzeba. Jeśli tylko Janukowycz zrobi jakiś krok, zagrażający naszemu krajowi – ludzie wyjdą. Wyjdą! I wyjdzie ich jeszcze więcej.

Co ma osiągnąć Majdan?

Nie można czekać z wyborami aż do roku 2015, trzeba to zrobić jak najszybciej. Żle, że nie zablokowano Meżyhiria. Janukowycz po prostu nie wie, co się naprawdę dzieje. On tego nie wyczuł. Wstaje sobie rano, idzie do sauny, potem na swoje pole golfowe, potem spotyka się z tymi którzy go odwiedzają. Nie czuje tego co się dzieje w kraju. I nie czuje problemu. Powinniśmy go tam nie wpuścić. Niech idzie przemocować do swoich znajomych, niech zamieszka na przykład u Klujewa, czy innych przyjaciół. Wtedy odczułby nasz nacisk.

Będziesz to robić jak wrócisz na Majdan?

Trzeba było wcześniej tak zrobić, ale nadal ma to sens.

Powiedz jeszcze, wrócisz do dziennikarstwa?

Czuje się działaczką, ale dziennikarstwo to mój zawód.

Spotkanie opłatkowe TKPZL

29 grudnia 2013 roku odbyło się spotkanie opłatkowe w Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej (TKPZL). Podsumowanie roku, wspólne kołędowanie i długie pogawędki połączyły uczestników spotkania.



JURIJ SMIRNOW
tekst i zdjęcia

Opłatek odbył się w stołówce Politechniki Lwowskiej, ale mamy nadzieję, że kolejny odbędzie się już w Domu Polskim. Zebrało się ponad 150 osób. Byli to w znacznej większości ludzie starsi, pamiętający czasy założenia towarzystwa. Wielu z nich brało udział w jego pracach aktywny udział. Kontakty towarzyskie w gronie starych znajomych i przyjaciół mają dla nich wielkie znaczenie emocjonalne.

Wśród gości byli konsulowie Marian Orlikowski z rodziną i Longina Putka. Przy świątecznych stołach zasiedli Jan Franczuk, prezes Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami wojskowymi, Ewelina Malanicz, prezes Uniwersytetu III Wieku, przedstawiciele Stowarzyszenia Rodzina Rodzin, członkowie Zarządu Głównego TKPZL. Wszystkich serdecznie powitał prezes Emil Legowicz i krótko podsumował wyda-

zenia 2013 roku, złożył wszystkim serdeczne życzenia świąteczne. Obecny na spotkaniu ojciec Władysław Lizun, proboszcz parafii św. Antoniego pobłogosławił zebranych, podzielił się opłatkami i wyraził nadzieję, że nowy 2014 rok będzie rokiem pokoju w sercach zebranych i w życiu Towarzystwa.

Wiązanek kołęd i pieśni polskich wykonały połączone chóry „Echo” i „Lutnia”. Piękne melodie znalazły oddźwięk w sercach zebranych i dodały spotkaniu uroczystego nastroju, stworzyły cudowną atmosferę święta. Zebrani długo dzielili się opłatkami, składali sobie nawzajem życzenia – było gwarnie, ale też bardzo serdecznie, miło i swojsko. Biesiada przy stołach i zabawa trwały kilka godzin. Gości podrywała do tańca kapela „Lwowska Fala” z Edwardem Sosulskim na czele. Nawet najstarsi z obecnych tańczyli w takt lwowskich melodii i śpiewali ulubione piosenki. Nie zabrakło też polskich tańców ludowych.



Kapela „Lwowska Fala”

Na zawsze pozostanie w naszej pamięci

Nie jest łatwo pisać wspomnienia o takim człowieku, jakim był konsul Tomasz Marek Leoniuk. Była to naprawdę godna postać polskiej dyplomacji. Polak, patriota nasz wielki przyjaciel, o którym zawsze będziemy pamiętać. Jako najmłodszy w owym czasie dyplomata Rzeczypospolitej Polskiej, z wykształcenia historyk, doskonale orientował się w dziejach stosunków polsko-ukraińskich, rozumiał specyfikę nowo powstałego państwa ukraińskiego. Poza tym cały czas doskonalił swoją wiedzę o tym kraju, docierając do najdalszych jego zakątków.

EMILIA CHMIELOWA

Znaliśmy się od początku jego pobytu na Ukrainie, dlatego naszą współpracę traktuję z perspektywy lat jako ciągłą, od Kijowa do Lwowa. Był człowiekiem z pasją i powołaniem, wszak należy pamiętać, że na placówkę do Kijowa – w perspektywie stosunkowo niedawnej katastrofy w Czarnobylu – było, delikatnie mówiąc, niezbyt wielu chętnych. Nasze pierwsze spotkanie miało miejsce dawno, był to chyba przełom lat 1991 i 1992, gdy pracował jeszcze w Kijowie, najpierw w Konsulacie Generalnym, potem, po podniesieniu rangi przedstawicielstwa – w Ambasadzie RP. W ramach swoich pełnomocnictw konsul Leoniuk zajmował się wówczas także terenem Moldawii. Od tamtego spotkania rozpoczęła się nasza wieloletnia współpraca.

Tomasz Marek Leoniuk był właściwie „ojcem chrzestnym” Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, która miała stać się alternatywą dla Związku Polaków na Ukrainie, niewywiązującego się z misji integracji organizacji i środowiska polskiego w całym kraju. Pierwszym wyzwaniem była rejestracja naszej struktury. W tym niełatwym zadaniu odczuliśmy wsparcie przyjacielskiego ramienia konsula Leoniuka. Nie była to sprawa prosta, można już dzisiaj powiedzieć, że wynajdywano różne przeszkody, a część aktywu Związku Polaków na Ukrainie nie kryła się z działaniami, które miały zablokować nasze oficjalne funkcjonowanie. Nam chodziło przede wszystkim o godną i niezależną reprezentację środowiska polskiego, silną w skali całej Ukrainy.

Spotkanie założycielskie Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie odbyło się 25 stycznia 1992 roku, w polskiej szkole nr 10 we Lwowie; wybrano mnie wówczas na stanowisko prezesa. Moim zadaniem było dopełnienie wszelkich formalności związanych z rejestracją. Po zebraniu miejscowym udaliśmy się do Kijowa, wspólnie z ówczesnym kierownikiem Agencji Konsularnej we Lwowie, konsulem Henrykiem Litwinem, obecnie ambasadorem RP w Kijowie. Na miejscu przyjął nas konsul T. Leoniuk, który całym sobą był za utworzeniem federacji. Nasze szczęście polegało również na tym, że Henryk Litwin i Tomasz Marek Leoniuk byli przyjaciółmi, znali się jeszcze z czasów studenckich. Było więc dwóch przyjaciół w dwóch polskich placówkach, wówczas jedynych na Ukrainie. Po złożeniu dokumentów w odpowiednich urzędach (gdzie zauważono, że mamy doskonale ułożony statut), rozpoczęło się oczekiwanie. Po drodze było jeszcze trochę uzupełniania dokumentów.



Konsul Tomasz Marek Leoniuk na I Festiwalu Kultury Polskiej na Ukrainie w 1995 roku. Archiwum FOPnU

Pamiętam, jak w finale całej sprawy, 24 lipca 1992 roku, po wizycie w urzędzie ukraińskim, zjawiłam się z teczką dokumentów w Konsulacie w Kijowie. Na pytanie zawarte w spojrzeniu konsula Leoniuka odpowiedziałam: „Panie konsulu. Nic z tego”. Konsulowi wyrwał okrzyk zawodu: „Jak to?” W odpowiedzi wręczyłam mu dokument: „Zarejestrowane!” Trudno opisać wybuch radości, jaki opanował nie tylko nas dwoje, ale wszystkich obecnych. Nie zwlekając, konsul zakomenderował: „Pani Aniu, szkło na szampana!” Zwrócił się w ten sposób do pracownicy konsulatu, wspaniałej osoby, pani Anny Górskiej, która dzieliła z nami tę radosną chwilę. Od razu przesłano odpowiednią depezę do PAP oraz miejscowej agencji informacyjnej. Nawiasem mówiąc, Tomasz Marek Leoniuk był człowiekiem o dużym poczuciu humoru, co niejednokrotnie chyba ratowało jego wrażliwą psychikę w tamtych trudnych czasach.

Wspominając jego postać, trzeba podkreślić, że był człowiekiem bardzo skromnym i odpowiedzialnym. Kadencja konsula jest krótka, Tomasz Leoniuk starał się przez ten czas zrobić maksymalnie dużo, co powinno być mottem każdego dyplomaty. Tutaj zastał nieco inną sytuację, niż na centralnej i wschodniej Ukrainie. Została ona wyklarowana przez jego poprzedników, w tym zaprzyjaźnionego konsula Henryka Litwina. Oczywiście i tutaj nie wszystko było łatwe, zresztą w tej części świa-

Tomasz Marek Leoniuk urodził się 7 października 1963 roku w Łodzi. W 1976 wraz z rodzicami przeprowadził się do Warszawy, gdzie ukończył szkołę podstawową oraz Liceum Ogólnokształcące im. Antoniego Dobieszewskiego, a następnie studia magisterskie na Wydziale Historycznym UW (1983–1988). W czasie studiów udzielał się społecznie. Brał udział w burzeniu Muru Berlińskiego. Był organizatorem studenckiej służby porządkowej podczas pielgrzymek do Polski papieża Jana Pawła II. Gromadził materiały do hasel encyklopedii PWN (odsunięty od tych prac za tzw. nieprawomyślność). Po ukończeniu studiów rozpoczął pracę zawodową w Muzeum Historycznym m.st. Warszawy, w dziale Powstania Warszawskiego. W roku 1989 został zatrudniony w Urzędzie Rady Ministrów, a następnie, w Departamencie Konsularnym MSZ. W roku 1991 został mianowany wicekonsulem RP w Kijowie, z zakresem obowiązków na Ukrainę i Moldawię. Następnie, już jako konsul generalny, pracował w Kijowie, potem we Lwowie. Po krótkiej przerwie objął kolejno placówki konsularne w Taszkencie i w Almaty. Kadencji na tej placówce nie ukończył. Zmarł 21 kwietnia 2002 roku, w czasie prywatnego pobytu we Lwowie, w wieku 38 lat.

kreślał romantyczną, niegalicyjską specyfikę Żytomierszczyzny. Miejscowy wójt wspierał panie w działalności estradowej poprzez transport po bliższej i dalszej okolicy, który im zapewniał. Słowo transport brzmi trywialnie. Był to duży samochód z budką dla pasażerów, do której panie wsiadały, a że budka była licha i niezbyt ciepła, panie rozgrzewały się w drodze nieco mocniejszymi kropelkami. Potem, na estradzie, były nie do przebicia. Doskonale pamiętam ich występ na scenie opery lwowskiej, podczas I Festiwalu Kultury Polskiej

Leoniukowi. Nieubłagany czas zdekompletował pierwotny skład zespołu, ale żyjący członkowie do dzisiaj wspominają konsula, który poświęcił im serce i duszę. Wspominając wschodnią Ukrainę muszę dodać, że jako patriota i osoba o wykształceniu historycznym interesował się i jednocześnie ogromnie przeżywał tragedię oficerów polskich zamordowanych w 1940 roku Charkowie i zakopanych w dołach pobliskiego lasu Piatychatky.

Dużo uwagi poświęcał kwestiom oświaty polskiej na Ukrainie, choć w



Rok 1995. Studniówka w szkole nr 10 we Lwowie. Konsul Tomasz Marek Leoniuk (pierwszy od prawej). Archiwum prywatne Grażyny Basarabowicz

ta nie jest wesoło nigdzie. Pamiętam jednak, że konsul Leoniuk cieszył się z pobytu we Lwowie i mówił, że jest mu tu bardzo dobrze.

Pomimo sentymentu do naszego miasta, chyba jego prawdziwą pasją i ukraińską miłością pozostała Żytomierszczyzna, dokąd wracał we wspomnieniach nawet stąd. Często opowiadał o swoim ulubionym zespole polskim „Białe Gołębki” z okolic Nowogrodu Wołyńskiego, ze wsi Susły. Były to starsze panie, obdarzone niewiarygodną werwą, energią i humorem. Pamiętam jak ubrał te kobiety, tzn. pomógł skompletować im stroje artystyczne, kupił buty... Konsul pod-

na Ukrainie w 1996 roku...

Nie tylko babcie z Susłów, ale również wiele innych zespołów ze środowisk polskich z Ukrainy zawdzięcza wiele konsulowi Leoniukowi. Dużo jeździliśmy po centralnej i wschodniej Ukrainie, a później także po obszarze lwowskiego okręgu konsularnego. Wszędzie, gdzie się pojawiał, był lubiany. Nigdzie nie obnosił się z tym, że jest konsulem. Kiedy pracował jeszcze w ambasadzie, w 1993 roku organizował wizytę Lecha Wałęsy w Kijowie i Winnicy. Prezydenta na lotnisku witał zespół „Poleskie Sokoly”, który swoje szlify zawdzięcza także Tomaszowi

tamtym okresie mieliśmy tylko dwie nasze szkoły we Lwowie, które były doskonałym punktem zaczepienia dla dalszego rozwoju szkolnictwa polskiego na Ukrainie. Na tamten czas konsul Leoniuk zrobił doskonałą inwentaryzację oświaty polskiej w całym kraju. W tym miejscu również anegdota, którą powtarzał bardzo często. Opowiadał o niesamowitej Wandzie Wodzianowskiej, która pochodziła z wioski Czemerzys Barskiej w centralno ukraińskim obwodzie winnickim. Pani Wanda była katecheticzką i nauczycielką języka polskiego. Rowerem objeżdżała swoje wioski na Podolu, w których uczyła,

kiedy była obstawiana przez „aniołów stróżów”. Ci, których uczyła, z pewnością do dziś dnia o niej pamiętają.

Mówiąc o oświacie, warto cofnąć się we wspomnieniach do roku 1993, kiedy to zaczęliśmy tworzyć podwaliny Zjednoczenia Nauczycieli Polskich na Ukrainie, które tak się wtedy co prawda jeszcze nie nazywało. Pamiętam pierwszy zjazd w Chmielnickim, wszyscy zdawali sobie sprawę z powagi chwili i ogromnej potrzeby powołania takiej organizacji, byli więc na tyle poważni, że nie rozbawił ich nawet wstęp prowadzącej, która życzyła wszystkim „owocowych” obrad.

W roku 1996, ponownie w Chmielnickim, odbył się pierwszy zjazd już zarejestrowanej organizacji. Konsul

Tadeusz Hoppe z Odessy, ks. Władysław Wanags z Gródka na Podolu, ks. Bronisław Bernacki z miasta Bar i oczywiście niezapomniany duszpasterz Podola ks. Wojciech Darzycki, czyli ojciec Martynian i wielu, wielu innych. Pamiętam, jak z okazji pięćdziesięciolecia święceń kapłańskich ks. Darzyckiego wspólnie z konsulem Leoniukiem ułożyliśmy list o następującej treści: „W dniu Twego złotego Jubileusza pracy kapłańskiej, która przypadła głównie na lata okupacji hitlerowskiej i antyreligijnej władzy radzieckiej, a którą przeżyłeś na Ukrainie oraz na dogłębnym (jak mawiasz) studiach prawa sowieckiego w kopalniach na Koluymie, przyjm najserdeczniejsze życzenia wszelkich



Relacja z pierwszej konferencji prasowej konsula Tomasza Marka Leoniuka. Gazeta „Wysoki Zamek” z 15 czerwca 1995 roku. Archiwum prywatne Jana Tyssona

Leoniuk cieszył się jak dziecko z tych niewątpliwych sukcesów, my cieszyliśmy się wraz z nim. Na czas jego pobytu na Ukrainie przypada okres budowania zrębów oświaty polskiej w tym kraju. Zawsze podkreślał, że musimy stworzyć twardą bazę do dalszego rozwoju szkolnictwa.

Tomasz Marek Leoniuk miał doskonałe kontakty z Ukraińcami, znał wspaniale język ukraiński (co wówczas było rzadkością) i był bardzo dobrym historykiem. Łączył obydwa narody w duchu prawdy, miał wielu przyjaciół spośród Ukraińców, a przyjaźnie te przetrwały próbę czasu i odległości. Miał również dobre relacje ze Związkiem Ukraińców w Polsce. Oboje sądziliśmy, że Polacy na Ukrainie i Ukraińcy w Polsce nie mogą istnieć jak dwie wyizolowane wyspy. Z tym wątkiem wiąże się wspomnienie, które na zawsze pozostanie w mojej pamięci. To był bodajże rok 1995, w Polsce zrodziła się inicjatywa delegalizacji Związku Ukraińców w Polsce, było specjalne posiedzenie w Przemyślu z udziałem stosunków między Polską a Ukrainą, a stawką jest nasza wspólna przyszłość. Konsul bardzo przeżywał to wydarzenie, był człowiekiem szczególnie wyczulonym na kwestie polsko-ukraińskie. Ubolewał również nad tym, że wspaniała inicjatywa Polsko-Ukraińskiego Festiwalu Młodzieży, która miała służyć wzajemnemu poznaniu się, skończyła się na jednej edycji; potem zabrakło środków.

Nasz konsul był człowiekiem bardzo religijnym. Swoją dzień rozpoczął od powitania „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Zbudował sobie doskonale stosunki z różnymi wyznaniem, z prawosławiem czy Kościołem greckokatolickim. Jednak więzy najszczerzej przyjaźni łączyły go z legendarnymi rzymskokatolickimi duszpasterzami na Ukrainie, których starał się odwiedzać. Wśród tych niezłomnych księży byli m.in.: ówczesny ks. bp Jan Olszański, ks.

łask Bożych, zdrowia i powodzenia w pracy duszpasterskiej”. Losy tego wybitnego kapłana opisano w książce „Ciemista droga”, w której autor Leon Karłowicz przytacza fragmenty wspomnianego listu.

Z inicjatywy konsula wysokie odznaczenie państwowe w ambasadzie RP w Kijowie odebrał ks. Tadeusz Hoppe z Odessy. Na wiadomość o jego przyznaniu, przekazaną przez konsula Leoniuka, duszpasterz zareagował słowami: „Jam niegodzien, niegodzien”. Tomasz Marek Leoniuk darzył tych wyjątkowych duchownych niezwykłą miłością i szacunkiem, zresztą z wzajemnością.

Rozmawialiśmy z konsulem Leoniukiem na różne tematy, był człowiekiem bardzo otwartym. Nigdy też nie wywyższał się z powodu swojego statusu. Kochał prawdę, mówił prawdę i innych do prawdy obligował. Będąc bardzo wrażliwym, był jednocześnie, kiedy trzeba, stanowczy. Doskonale nawiązywał kontakty z naszymi ludźmi, którzy różnią się od rodaków w kraju swoją większą otwartością i wylewnością.

Mam przed oczami jego postać, charakterystyczne spojrzenie znad okularów...

Nasze pożegnanie odbyło się w Konsulacie. Przyjechały delegacje środowisk z całego terenu. Wszyscy go bardzo kochali. Wyjechał ze Lwowa, pracował w MSZ w Warszawie, gdzie nieraz go odwiedzaliśmy, potem w Kazachstanie. W roku 2002 odwiedził nasze miasto prywatnie... Nikt nie mógł uwierzyć w wieść, która rozeszła się po mieście – konsul Tomasz Marek Leoniuk zmarł w swoim ukochanym Lwowie.

W krótkim czasie po Jego śmierci Winnickie Obwodowe Dobroczynne Stowarzyszenie Polaków „Dom Polski” przybrało imię Tomasza Marka Leoniuka.

Panie Konsulu, będziemy o Panu zawsze pamiętać.

KRZYSZTOF WOJCIECHOWSKI

W czasach mego dzieciństwa drewniany dom w podzamajskiej wsi tętnił życiem, ale z czasem wszyscy się rozjechali: na studia, do pracy. Prawie opustoszał. Mama zmarła, ojciec został sam, tylko babcia – z żywotnością charakterystyczną dla pogranicznych Rusinów wciąż stała „na posterunku”. Co prawda nie piekła już chleba, ani bułeczek, jak dawniej, nie miała na to siły, ale z domu na krok się nie ruszała, to był jej azyl, oaza spokoju.

Babcia. Była stara, od kiedy tylko pamiętam. Kiedy byłem małeńki, już była niemłoda kobietą, kiedy byłem młodzieńcem – wciąż była taka sama. Przez tych dwadzieścia kilka lat prawie wcale się nie zmieniła, a w każdym razie niewiele jak na tak długi okres czasu. Zawsze miała siwe włosy, zapadłe policzki, była mała i skulona.

Nie miała lekkiego życia. Wystarczy już tylko to, że urodziła się na wsi. Przeżyła dwie wojny, choć może tej pierwszej nie pamiętała. Potem śmierć pierwszego dziecka. Była prawosławną. A być prawosławną

po wojnie i to na terenach, gdzie docierały echa „akcji Wisła”, wśród napływowych, skądinąd również bardzo pokrzywdzonych Polaków zza Bugu, z Wołynia, nie było łatwo. Cerkwie prawosławne w latach 40. migiem zamieniono na kościoły katolickie, nie licząc się z tym, że znaczna część ludności jest prawosławna, choć w tej chwili zastraszona. Idąc za „koniecznością dziejową”, większość prawosławnych, jak mawiano, „przechrzcili się” na katolicyzm. Niestety, niezbyt kogokolwiek obchodziło to, że trzeba zmienić ich serca, a nie świątynie i nazwy, zmienić miłością, a nie drwiącym, ciągnącym się niczym cień za człowiekiem, pogardliwym określeniem „przechrzta”. Często zastanawiałem się czy serce babci też się przechrzcilo. Co czuła patrząc na świątynie, które w czasach swego dzieciństwa, pierwszym spojrzeniem oglądała jako cerkwie, zdobne cebulastymi, pozłacanymi wieżami, zwieńczone krzyżem z ukośną poprzeczką? Co czuła pamiętając liturgię prawosławną, długą, w innym języku, wonną kadzidłem i cerkiewnymi śpiewami, mając tą świadomość, że ten świat już odszedł? Nie wiem, może nic, a może bolesne ukłucie w sercu. Czy te przechowywane przez nią w kufrze przedwojenne prawosławne ikony, to tylko tak na pamiątkę, czy dla łączności choćby symbolicznej i duchowej. Nie wiem i pewnie już się nie dowiem.

Ostatnie lata swojego życia spędziła w swoim pokoju, z rzadka tylko wychodząc na podwórze. Często zastanawiałem się jak ona tak może, ja chyba bym nie wysiedział na jednym miejscu tyle czasu. Choć z biegiem lat i ja zaczynam preferować „osiadły” tryb życia. Zawsze kiedy na nią patrzyłem, czułem radość przemieszana ze smutkiem. Z jednej strony cieszyłem się, że jest, że jest tu ze mną i że jeszcze mam babcię, z drugiej widząc tę starą kobietę, smuciłem się, bo jej czas nieuchronnie się zbliżał. Łzy stawały mi w oczach, kiedy widziałem jej łzy,

Babcia



elipsa.at

gdy wracałem z dalekiego dla niej Lublina. Cieszyła się wtedy bardzo i mówiła mi: „kocham Cię Krzysiu”. Takie proste, a takie, że dawało w gardle. I te jej pytania: „kiedy przyjedziesz?”, „...ale przyjedziesz?”, z obawą, smutkiem i prośbą w głosie, jakby bała się, że kiedy przyjadę następnym razem to już się nie zobaczymy.

Pewnego czerwcowego poranka odeszła. Kiedy przyjechałem, już nie zastałem jej żywej. Leżała w trumnie ubrana na czarno. Była jakaś taka małeńka, jakby się skurczyła. Ukłąłem.

Siedziałem przy niej długo. Patrzyłem na siwe rzadkie włosy, na jej twarz. Śmierć jej prawie nie zmieniła, była tylko jakby mniejsza. Czy myślała o mnie przed śmiercią, co czuła kiedy odchodziła? Wtedy chyba tak naprawdę dotarło do mnie, ile dla mnie znaczyła ta osoba, leżąca teraz w dębowej trumnie. Znowu coś zaczęło mnie dławić, chciałem płakać, ale jakoś nie mogłem, to raczej taki żal targający wewnątrz człowieka, taki, którego czasem nie widać na zewnątrz, ale wewnątrz robi straszne spustoszenie... ale też i oczyszczenie. Zrozumiałem jak mało dobry byłem dla niej, przecież to ona mnie wychowała. Jakim byłem niewdzięcznikiem. Patrząc na nią, rozumiałem, jak niewiele człowiek znaczy, co z niego zostanie, ale jednocześnie jak wiele może zrobić dobrego dla innych, dla siebie. I tak naprawdę warty

jest tyle ile dobrego po sobie zostawi. Ilu ludzi pomoże. Poczulem się strasznie nędzny, byle jaki. Miałem wrażenie jakby babcia patrzyła na mnie szklanymi oczami spod niedomkniętych powiek.

Wieczorem przyszli ludzie. Sąsiedzi, znajomi, głównie stare, pomarszczone staruszki, przyszły do „koleżanki” potowarzyszyć jej w tych ostatnich godzinach, na tym ziemskim świecie. Młodych jest niewiele, młodzi nie myślą o śmierci, wydaje im się, że jest ona daleko. To dobre dla starych. Popłynęły słowa modlitwy różańcowej za duszę zmarłej Olgi. „Wieczne odpoczywanie...”.

Wyprowadzenie zwłok. Ksiądz, kropidło, woda święcona. Strzeżmy się rutyny. Msza święta, wyprowadzenie na cmentarz, na ten kawałek ziemi, który jest przepustką dla ciała do nieba... albo do piekła. I spoczęła obok swego męża. Chwila zadumy nad grobem. Pogrzeb odbył się.

Mam nadzieję, że będę na tyle dobry w tym życiu, żeby móc spotkać się z babcią i z innymi moimi bliskimi w niebie. Nie katolickim, ani nie prawosławnym, po prostu w Bożym niebie. Bo jeśli nie, to „daremma byłaby wiara nasza...”.

Chodzę czasem do babci. Przynoszę jej płomień znicza. Nie lubię martwych kwiatów. To jak czczenie umarłych umarłymi. Lubię pomyśleć – co też ona teraz robi, kiedy nic już ją nie boli. Jest tam szczęśliwa. Niebo musi istnieć.

POLSKI REPREZENTACYJNY ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA ZIEMI LWOWSKIEJ „WESELI LWOWIACY”

Zaprasza młodzież od 12 lat i wżwyż do nauki polskich tańców narodowych, regionalnych i lwowskich. Próby zespołu odbywają się w szkole nr 10 w środy i piątki od godz. 19:30 do 21:00.

Zgłoszenia przyjmujemy podczas prób lub pod nr tel.:

261 54 87 lub 0505087433.

Serdecznie zapraszamy!

Kierownik zespołu Edward Sosulski

Odnaczenia państwowe dla drohobyrczan

19 grudnia drohobyccy działacze społeczni otrzymali wysokie odznaczenia państwowe. Adam Aurzecki, prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej oddział w Drohobyczu, nagrodzony został Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi RP, a Igor Łogin dyrektor drohobyckiej szkoły nr 15 honorową odznaką Zasłużony dla Kultury Polskiej.

LEONID GOLBERG
tekst i zdjęcia

Odnaczenia zostały przyznane za wieloletnią działalność społeczną osób odznaczonych. Szkoła średnia nr 15 jest jedną z pierwszych w mieście gdzie rozpoczęto nauczanie języka polskiego, od wielu lat szkoła buduje dobre stosunki z polskimi partnerami. Adam Aurzecki od wielu lat prowadzi najliczniejszemu drohobyckiemu stowarzyszeniu Polaków (dziś w Drohobyczu działają trzy stowarzyszenia skupiające miejscowych Polaków) i pracuje na rzecz rozwoju kultury polskiej i pogłębienia polsko-ukraińskich kontaktów.

- Zostałem zaproszony do Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, na spotkanie liderów polskich organizacji z województw lwowskiego, iwano-frankiwskiego, tarnopolskiego, czerniowieckiego i zakarpacieckiego. Jest to teren lwowskiego okręgu konsularnego. Na spotkanie zostały też zaproszone osoby, które w bieżącym roku zasłużyły się swoją działalnością na rzecz rozwoju polskiej kultury oraz dla rozwoju stosunków dobrośąsiedzkich z Polską. Byłem



Igor Łogin

ła, gdy użyczyłem siedziby, w której przez wiele lat Towarzystwo prowadziło swoją działalność. W naszej szkole odbywały się również próby dziecięcego zespołu „Odrodzenie”, pierwszym kierownikiem i inicjatorem stworzenia zespołu był nasz legendarny rodak Alfred Schreyer. Szkoła nawiązała stosunki partnerskie ze szkołą nr 10 w Legnicy, której dyrektorem jest Danuta Czajkowska. Do dziś utrzymujemy te kontakty, mamy wymianę nauczycieli i grup uczniowskich. Od 20 lat dzieci w klasach początkowych



przyjemnie zdziwiony, że zostałem zaproszony na tę uroczystość. Zdziwiłem się jeszcze bardziej, gdy dowiedziałem się, że zostałem nagrodzony wysokim polskim odznaczeniem. Nagrodzono 20 osób. Odznakę Zasłużony dla Kultury Polskiej nadało mi ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP. Uważam, że nie jest to jedynie moja zasługa, ale całej naszej szkoły – mówi Igor Łogin.

Przed dwadzieścia laty w Drohobyczu powstał lokalny oddział Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Jednym z pierwszych jego prezesów była nauczycielka klas początkowych z naszej szkoły, deputowana do rady miasta Maria Galas (dziś jest prezesem Towarzystwa „Odrodzenie”). Wspominam te

mają nauczanie języka polskiego. Po tym jak Ministerstwo Oświaty Ukrainy zezwoliło na wybór drugiego języka, w naszej szkole od piątej klasy język polski nauczany jest oficjalnie. Na Ukrainie język polski jest na piątym miejscu wśród najbardziej popularnych języków, a u nas jest na drugim. Brakuje nam literatury, między innymi – elementarzy, podręczników do klasy piątej, gdzie dziś 22 uczniów studiuje mowę Mickiewicza i Sienkiewicza.

Bardzo się cieszę, że mój dobry przyjaciel – prezes TKPZL Adam Aurzecki otrzymał nagrodę prezydenta RP – Krzyż Kawalerski, a jego działalność kulturalno-oświatowa znalazła uznanie.

KG

Na Skale Przegorzalskiej

Kraków przede wszystkim kojarzony jest z Wawelem, Rynkiem, Sukienicami czy kościołem Mariackim. Będąc w Krakowie, nieświadomie pomijamy wiele ciekawych miejsc, które znajdują się w malowniczym grodzie Kraka. Zaledwie kilka kilometrów od centrum Krakowa, na pięknym skalistym wzgórzu w Przegorzalach (obszar Krakowa wchodzący w skład dzielnicy Zwierzyniec), na uboczu Lasu Wolskiego wznosi się niewielki zamek, który został wybudowany w czasie drugiej wojny światowej przez Niemców z przeznaczeniem na hotel wojskowy III Rzeszy.

ANDRZEJ PIETRUSZKA

Jest to niezwykle zabytek dwudziestowiecznej architektury niemieckiej w Krakowie. Na wzgórzu również znajduje się willa Baszta, zwana niegdyś Belwederem, która była rezydencją Adolfa Szyszko-Bohusza w latach II Rzeczypospolitej.

Historia owego miejsca na którym znajduje się zamek zaczyna się w 1916 roku, kiedy to architekt Adolf Szyszko-Bohusz kupił posiadłość na wzgórzu przegorzalskim, należąca



Zamek

że goście chętnie zwiedzali Basztę. W księdze pamiątkowej rodziny Szyszko-Bohuszów można odnaleźć m.in. wpis prezydenta RP Ignacego Mościckiego. Przy wjeździe na górę wybudowano stróżówkę, która została telefonicznie połączona z willą.

Podczas niemieckiej okupacji ziem polskich w czasie drugiej wojny światowej w 1939 roku, Szyszko-Bohusz został zmuszony do opuszczenia Baszty. Zaproponowano mu dzierżawę tego miejsca lub zamianę na inne grunty, ale właściciel stanowczo odmówił, za co został aresztowany, natomiast willę zajął Otto Van Wächter, który zarządzał dystryktem krakowskim Generalnego Gubernatorstwa. W 1942 roku przez Niemców została podjęta decyzja o budowie zamku obok willi. Był to gmach zaprojektowany prawdopodobnie przez samego Szyszko-Bohusza i wzorowany na jednym z zamków alpejskich z okresu romantyzmu. Istnieją dwa projekty zamku: na pierwszym zamku jest niższy, co zapewnia willi rolę dominującą, drugi odpowiada współczesnemu wyglądowi. Oprócz polskiego architekta, było jeszcze dwóch austriackich architektów: Richard Pfoib i Hans Petermair. Obiekt miał służyć jako hotel dla pilotów Luftwaffe walczących na froncie wschodnim. W 1942 roku ówczesny właściciel zamku Wächter wyjechał

do Lwowa: 1 lutego 1942 roku mianowano go gubernatorem dystryktu galicyjskiego, a budowla oficjalnie nie należała do nikogo. 19 listopada 1943 roku Hans Frank podarował zamek Himmlerowi. W planach była również budowa kolejki linowej, lecz zmiana sytuacji na froncie wschodnim uniemożliwiła jej powstanie. W 1945 roku do Krakowa wkroczyły oddziały Armii Czerwonej i na zamku umieszczono szpital, a rodzina Szyszko-Bohuszów bezskutecznie zabiegała o zwrot majątku.

Od 1952 roku w zamku funkcjonował Instytut Badawczy Leśnictwa podlegający Ministerstwu Leśnictwa. W 1973 podjęto decyzję o umieszczeniu tam Instytutu Badań Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 2010 roku usiłowano wnieść zamek do rejestru zabytków, ale bezskutecznie. Obecnie zamek jest siedzibą Instytutu Europeistyki UJ i Centrum Badań Holocaustu. Zamek ma przepiękny taras, z którego rozciąga się wspaniały widok na Wisłę, południowo-zachodnią część Krakowa, klasztor kamedułów oraz na Beskidy z Babią Górą. Przy dobrych warunkach atmosferycznych z tarasu możemy zobaczyć Tatry. Obok zamku jest malowniczy Las Wolski z bogatą florą i fauną.

Zamek na wzgórzu przegorzalskim niewątpliwie należy do ciekawych miejsc związanych z historią Krakowa.



Willa Baszta

wcześniej do zakonu kamedułów. Po upływie kilkunastu lat powstała tam prywatna willa – swoim wyglądem nawiązywała do stylu średniowiecznej baszty. Podobno została wybudowana na wzór rotundy świętych Feliksa i Adaukta (rotunda znajdująca się na wzgórzu wawelskim w Krakowie). Budowę ukończono w 1933 roku. Przy wejściu Szyszko-Bohusz zaplanował umieszczenie dwóch kartuszy z herbami. Pierwszy to Korab, a drugi Odyniec – rodowy herb architekta. Nieopodal wybudowano basen i starannie zaprojektowano ogród (pozostałości tego ogrodu można oglądać w szczytkowym staniu). Usytuowanie miejsca sprawiło,



Z lotu ptaka

Maria тка

Maria Oleksyn z miejscowości Bortniki w woj. iwanofrankiowskim słynie jako ceniona tkaczka odradzająca zapomniane lokalne wzory. 84 letnia rzemieślniczka o polskim pochodzeniu (panieńskie nazwisko Białkowska) chętnie przekazuje swoją wiedzę wszystkim zainteresowanym.



Maria Oleksyn

**SABINA RÓŻYCKA tekst
zdjęcie z archiwum
MARI OLEKSYN**

Pani Maria nie ma czasu na rozmyślanie o chorobach i rozważania o starości: dużo pracuje, dba o wielką rodzinę, przekazuje etnografom setki starych pieśni i obrzędów. Choć wydaje się to dziwne w epoce internetu wciąż są jeszcze chętni do uczestniczenia w prawdziwych wiejskich wieczornicach. Nie są to przedstawienia teatralne na scenie wiejskiego klubu czy domu kultury, ale spotkania w wiejskiej chacie.

Maria była oczekiwany dzieckiem swych rodziców. Trójka starszego rodzeństwa zmarła. Ojciec Marii, Ławro, był cenionym w okolicy sadownikiem, a matka, Melania – tkala, haftowała, szyła odzież. Swoje umiejętności Melania przekazała córce. Polska rodzina wśród miejscowej ludności nie wyróżniała się niczym szczególnym. Maria od dziecka miała po kilka sukienek i par obuwia. W owych czasach na

wsi, gdzie mieszkali było to nie lada luksusem.

– W 1941 ojciec poszedł na wojnę i już nie wrócił. Zostałam z mamą – wspomina kobieta. – Były to ciężkie czasy, ale nasze umiejętności pomogły nam przeżyć. W 21 roku życia Maria wyszła za mąż za prostego chłopaka, woźnicę. Urodziło im się dwoje dzieci. Obecnie Maria Oleksyn ma sześcioro wnucząt i dziesięcioro prawnuków. Nauczyła tkąć wszystkie kobiety w rodzinie.

Artystka ma swoją rodzinną relikwię – stare dębowe krosno tkackie. Ile ma lat i skąd wzięło się nie wie nikt, ale krosno służy do dziś. Jest szerokie na 90 cm, a wysokie na 170 cm. – Praca na takim warsztacie wymaga siły i cierpliwości – mówi pani Maria. – Najpierw należy się pomodlić, bo cóż znaczymy bez boskiego wsparcia? Następnie należy założyć osnowę – lnianą lub wełnianą. Nici powinny być tylko naturalne.

Proces „nawijania” może trwać dzień lub dwa, wydłuża się, gdy nitka ma supelki. Przy nawijaniu nitki naj-

lepiej jest mieć kogoś do pomocy, bo nieznaczny błąd może zepsuć całą robotę i cały wyrób. Nitka będzie się zsuwać i nie da się nic utkać. Osnowę trzeba nawijać gęsto, jeśli się chce wykonać dobre płótno.

Na starym krosnie Maria Oleksyn utkała mnóstwo rzeczy: chodniki, płótna, zapaski, a nawet obrazy. – Płótno we wzory można tkąć cały tydzień – dodaje wnuczka artystki Łesia Żuryn. – A nad bardziej złożonym wzorem można truć się nawet miesiąc.

– W dawnych czasach ten, kto miał krosno, żył jak cesarz. Tkactwo było bardzo dochodowym rzemiosłem, żaden tkacz nie był biedakiem. Przecież odzież i płótno potrzebne są każdemu – dodaje pani Maria. – Krosno przekazywano z pokolenia na pokolenie, jak relikwię. Dla dziewczyny płótno było podstawą wiana.

W czasach sowieckich tkając różne rzeczy, Maria dorabiała do skromnej pensji, bo zarobki w kolchozie były marne. Taką pracę kwalifikowano jako wykroczenie, bo stanowiła dodatkowy zarobek i... spekulację. Za to można było nawet trafić na milicję. Nie pozwalano jej tkąć, choć chciała po prostu wyżywić rodzinę. Maria twierdziła więc, że тка jej stara matka-emerytka, która dożyła 101 lat. Pani Maria musiała pracować w kolchozie, po całej Ukrainie woziła na sprzedaż zebrany len. W pracach domowych pani Maria wyróżnia się też jako dobra gospodyni, często przygotowuje dla rodziny różne smakołyki. – Najlepiej udają się jej kolacze – mówi wnuczka Łesia.

W długie zimowe wieczory do jej gościnnego domu schodzą się kobiety, aby nauczyć się tkąć, odrysować stare wzory na hafty, nauczyć się haftu koralikami, a część gości przychodzi ze swoją robótką po prostu do towarzystwa. Kobiety i dziewczyny opowiadają, plotkują i śpiewają. Są to prawdziwe wieczornice. Przypominają Marii młodość, bo w domu jej matki też zbierały się dziewczyny. Maria Oleksyn mówi, że w tak wielkiej rodzinie utkała sobie długie i szczęśliwe życie.

List do redakcji W oczekiwaniu na św. Mikołaja



*Siedzę cichuteńko,
Patrzę na okienko.
Chyba już go widzę!
Chyba już go słyszę!*

Śpiewając tę piosenkę dzieci z grupy „Dzwoneczki” czekały na św. Mikołaja. Świąteczne ubranka, rozmarzone buzie...

Przez cały rok starały się być grzeczne. Robiły dobre uczynki, pomagały dorosłym, opiekowały się młodszym rodzeństwem i... czekały na zimę, bo każde dziecko wie o dobrym św. Mikołaju:

*Ciemną nocą gwiazdka świeci,
O prezentach marzą dzieci,
We śnie widzą jak z paczkami,
Mikołaj błądzi drogami.*

Przedsiębiorcy z grupy „Dzwoneczki” wyraziły swe marzenia w rysunkach. Każdy narysował to, o czym marzy. Dzieci złożyły rysunki do dużej koperty i odesłały do św. Mikołaja.

I już Mikołaj u progu przedszkola, już słyhać dzwoneczki jego sań. Dzieciom radośnie biją serduszka i z uśmiechem i serdecznymi słowami

piosenek i wierszy witają zacnego gościa. Mikołaj opowiada o swojej podróży, wypytuje dzieci o ich dobre uczynki i wspólnie z nimi śpiewa piosenkę „Każdy świętym może być”. W takim wesołym i świątecznym nastroju obdarza dzieci wymarzonymi prezentami, a dzieci składają Mikołajowi podziękowania:

*Bóg zapłać za Twe dary.
Twoja dobroć jest bez miary.*

Obiecują kochanemu starszuchowi, że zostanie w ich pamięci i w ich małych serduszkach. Żegnając świętego do następnego roku, dzieci zaśpiewały ulubioną piosenkę „Zaświeciła gwiazdka złota”.

Honorowym gościem w grupie „Dzwoneczki” był w tym roku konsul Marian Orlikowski, który w charakterze dobrego anioła dostarczył hojne mikołajkowe prezenty od Konsulatu Generalnego RP we Lwowie.

**Wychowawczynie grupy
„Dzwoneczki”
HALINA HRYHORCZUK,
OLGA KOWALSKA**

Lwowska restauracja „Kupoł” zaprasza

Położona w samym sercu Lwowa, przy **ul. Czajkowskiego 37**. Wyśmienita polska kuchnia, ciepła rodzinna atmosfera, nastrojowe wnętrza i muzyka. Menu także po polsku.

„Kupoł” to kameralna restauracja położona w sąsiedztwie Lwowskiej Filharmonii oraz dawnego Zakładu Narodowego im. Ossolińskich oferuje szeroki wybór tradycyjnych galicyjskich dań, bogaty wachlarz trunków, wyśmienite desery oraz legendarną lwowską kawę.

„Kupoł” to miejsce, w którym goście zawsze mogą liczyć na przyjazną atmosferę i wyjątkowe przyjęcie. We



wnętrzach, w których zatrzymał się czas belle époque i przy dźwiękach nastrojowej muzyki poczują Państwo klimat wspaniałych, minionych lat – świata przedwojennej Polski.

Wszystko to stwarza wymarzone warunki do organizacji przyjęć,

bankietów, spotkań biznesowych, integracyjnych i rodzinnych, romantycznych rendez-vous, wystawnych kolacji oraz innych uroczystości. Także u nas kupisz zawsze aktualny „Kurier Galicyjski”.

Warto odwiedzić nas o każdej porze dnia i roku!

Stąd wszędzie jest blisko, a całe miasto znajduje się na wyciągnięcie ręki. Jesteś we Lwowie – wstąp do „Kupołu”.

**Nasz telefon:
+380 32 261-44-54
mail: kupollviv@ukr.net**

Ruszyła telewizja Kuriera Galicyjskiego



Drodzy Przyjaciele, z myślą o Was, uruchomiliśmy wyjątkowy projekt – „Kurier Galicyjski TV”. **Nowe spojrzenie na zwyczajne wydarzenia.**

Są to krótkie filmy, które pokazują najciekawsze wydarzenia ze Lwowa i całej zachodniej Ukrainy. Zawsze obiektywne, zawsze prawdziwe, zawsze na czasie. Niebawem zaprezentujemy też cykl reportaży „Nieznana Galicja”. A także wiele innych ciekawych tematów.

Subskrybujcie nasz kanał:

Kurier Galicyjski na YouTube

(www.youtube.com/user/KurierGalicyjski)

i pierwsi dowiadujcie się o nowych filmach.

Bądźcie z nami i nie przegapcie kolejnych odcinków „Kurier Galicyjski TV”. **Do zobaczenia na: www.kuriergalicyjski.com**

Z Łucka na Syberię (część II)

Niedługo po zakończeniu roku szkolnego, przed świtem 26 maja 1941 roku, pod nasz dom na Zamkowej podjechał samochód ciężarowy. Przy drzwiach i oknach stanęli żołnierze z karabinami. Mama, siostra i ja spaliśmy mocno. Obudził nas łomot do drzwi. Do mieszkania weszli dwaj enkawudziści. Kazali nam ubierać się i zabierać ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy. Powiedzieli, że wywożą nas do innej „obłasti” do pracy, nie wiadomo gdzie. Ja stałem oniemiały. Mama nie wiedziała, co brać. Wszystko leciało jej z rąk. Tylko starsza siostra pakowała ubrania do worków i walizek. Załadowano nas na ciężarówkę...

TADEUSZ MARCINKOWSKI

Mama mocno wierzyła, że kiedyś opuścimy miejsce zesłania. Ponieważ chodziłem do rosyjskiej szkoły i byłem tam jedynym Polakiem, dbała, bym nie stracił narodowej tożsamości. W domu rozmawialiśmy tylko po polsku, głośno czytaliśmy polskie książki, które udało nam się zabrać na zesłanie – wkrótce znalazłem je na pamięć. Rano i wieczorem odmawialiśmy modlitwę w języku polskim. Ze wzruszeniem wspominam naszą syberyjską Wigilię. Jakże mama starała się, by była to choć namiastka cudownego polskiego święta. U swego kierownika, z pochodzenia Żyda, wystarala się o trochę większy przydział jedzenia. Ponieważ w okolicach Okoniesznikowa nie było drzew iglastych, a w lasach dominowały olchy i brzozy, wyrąbała śliczną brzożkę, która zastępowała nam choinkę. Ubraliśmy ją w ozdoby zrobione wspólnie z mamą z papieru. Nie było żadnych prezentów, ale razem śpiewaliśmy kolędy.

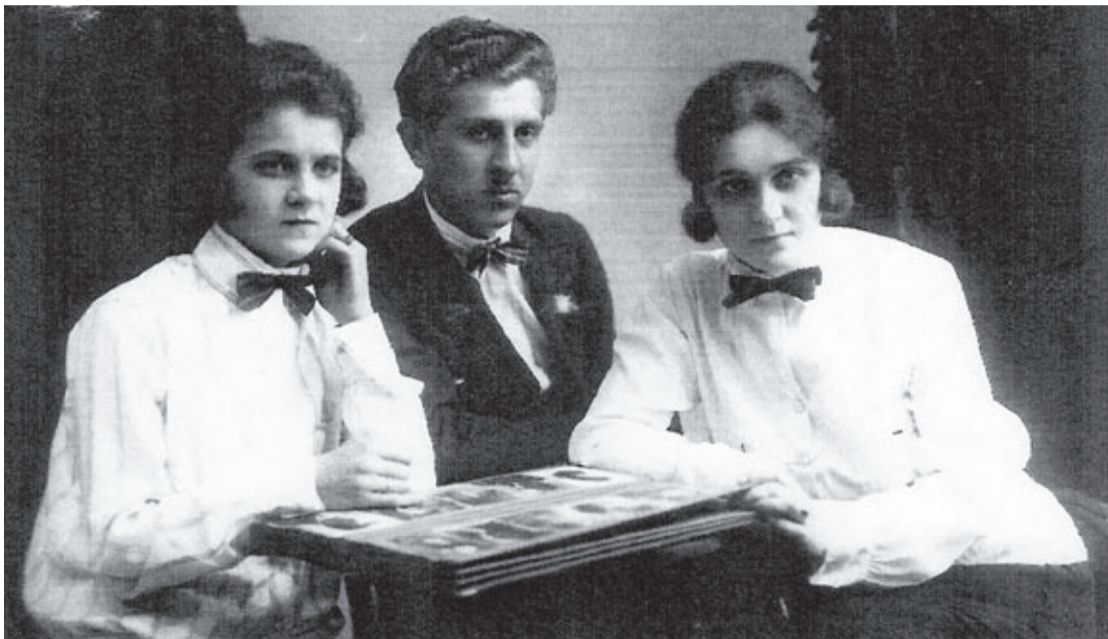
Syberyjska codzienność nie była łatwa. Mama była niesamowicie dzielna. Wiem, jak było jej ciężko. Musiała meldować się w Okoniesznikowskim Rejonowym Wydziale NKWD, gdzie była przesłuchiwana. W marcu 1943 roku wezwano ją do przedstawienia dokumentów potwierdzających posiadanie przez nią obywatelstwa polskiego. Bardzo się wtedy denerwowała. Gdyby nie udowodniła polskości, automatycznie zostalibyśmy obywatelami ZSRR i może już nigdy nie moglibyśmy wrócić do rodzinnego Łucka. Jak wiele w tym momencie zależało od jej sprytu, opanowania i umiejętności przekonania osób prowadzących przesłuchanie. Walczyła przecież nie tylko o siebie, ale i o przyszłość swoich dzieci. Mimo tak ciężkich przeżyć mama robiła wszystko, bym – jeśli to w ogóle możliwe – jak najmniej odczuwał okrucieństwo naszego położenia.

Ważną sprawą na zesłaniu była kwestia jedzenia. Gdy przyjechalśmy do Okoniesznikowa, mieliśmy jeszcze trochę zapasów, jednak szybko się skończyły. Kupowało się tylko na kartki, a przydziały były minimalne. W pierwszym okresie wojny można było jeszcze cokolwiek dostać w sklepie, natomiast później prawie niczego nie było. Jeden kilogram chleba na miesiąc. Z pracy siostra otrzymywała przydział ziemniaków, ale starczyło ich zaledwie do stycznia. Zbierało się lebiody, z której mama robiła papkę. Były także buraki, które zastępowały wszystko. Gdy mama przyniosła przydziałową mąkę, kleiła na przykład pierożki nadziewane burakami. Po pobyciu na Syberii przez długi czas nie mogłem nawet spojrzeć na te buraki, ale dobrze, że były chociaż one. Mama piekła też placki z lebio-

dą lub paskudnym czarnym ziarnem. W lecie był kolchozowy słonecznik, ale za jego kradzież wsadzano do więzienia. Za to w lesie zbierało się duże, soczyste poziomki, a jesienią grzyby. Ja swój jadłospis uzupełniałem jajkami, które podkradałem ptakom z gniazd. Piłem je na surowo. Najgorzej było w zimie i na wiosnę. Wtedy naprawdę nie było co jeść. Dlatego też jako święto zapamiętałem pewne paczki.

Po zawarciu porozumienia Sikorski – Stalin ruszyła pomoc dla Polaków. Siostra pojechała do Omska i przywoziła takie dary. Czegóż tam nie było! I czekolada, i chałwa, i suszone owoce, i mleko w proszku, i kaszanka. Po raz pierwszy od 1939 roku mogłem najeść się słodczy. Moja łapczywość była tak wielka, że próbując otworzyć nożyczkami puszkę z mlekiem, przybiłem sobie rękę do blatu stołu. W 1944 roku, gdy magazyny po delegaturze przejął Związek Patriotów Polskich, siostra prócz żywności przywoziła i przebarwiony na ciemnozielony kolor mundur amerykański dla mnie, do tego były jaskrawożółte sznurowane buty wojskowe. Gdy tuż przed wyjazdem do Polski wystąpiłem w tym stroju, wzbudziłem niemałą sensację, zwłaszcza butami.

Jak już wspominałem – paczki były świętem w syberyjskiej rzeczywistości. Tymczasem żeby uzyskać dodatkowe jedzenie, mama zaczęła wróżyć z kart. Kładła kabałę. Przychodziły do niej wyłącznie kobiety. Ich mężowie byli na froncie, a po tym jak dwukrotnie udało się przewidzieć, że żony dostaną od nich wiadomość, sława mamy rozniosła się po okolicy. Spragnione wieści kobiety przynosiły raz kostkę mleka dla mnie, to znów chleb, placek czy jajka. Jedna z klientek, która wychowywała małą córeczką, bardzo wdzięczna mamie za dobrą wiadomość, zaproponowała, byśmy zamieszkali u niej. Warunki w naszej ziemiance były okropne. Trzeba było cały czas palić w piecu, by ogrzać choć trochę chłodne pomieszczenie. Mama musiała pożyczyc konia z „Pticepromu” i z siostrą jeździły do lasu rąbać drzewo. Raz Łodzka wbiła sobie siekiere w nogę i co gorsza zniszczyła walonki. Nic dziwnego, że chętnie skorzystaliśmy z zaproszenia i w ten sposób zamieszkaliśmy w domku z drewnianych bali, który znajdował się niemal na końcu wsi, tuż przy lesie, na ulicy Kalinina 86. Był tu ogródek i świadcząca o zamożności „bania”, a nawet normalny stół. Nasza gospodyni starała się nam pomagać. Raz niespodziewanie wbiegła do domu krzycząc, aby mama natychmiast chwyciła nóż. Przerażona mama zupełnie nie wiedziała, co się dzieje. Okazało się, że w kolchozie koń złamał nogę. Krojono go żywcem. Kiedy



Nad albumem z rodzinnymi fotografiami Jan Marcinkowski z siostrami Jadwigą i Heleną, fot. z archiwum Andrzeja Porębskiego

mama dotarła na miejsce, zostały tylko skromne resztki, dzięki którym zupa z lebiody smakowała jednak znacznie lepiej.

Przypadkowo siostra poznała kolejną, życzliwą nam, Polakom, Rosjanę. Pani prokuratorowa Sablina zdawała się rozumieć sytuację zesłańców, znajdujących się na obcej ziemi, wśród obcych ludzi. Była osobą bardzo miłą, wrażliwą na nieszczęście innych. W miarę swoich możliwości starała się nam pomagać. Chodziłem do niej z siostrą. Często odwiedzała mnie różnymi frykasami. Były cukierki, chleb ze smalcem, suszone owoce. Szczególnie dobrze pamiętam córeczkę Sablinów – Żenię, która chodziła dwie klasy wyżej ode mnie. Traktowała mnie z matczyną opiekuńczością, a ja patrzyłem w nią jak w tęczę. Rodzina Sablinów mieszkała w Okoniesznikowie nieopodal szkoły, a po wojnie przeprowadziła się do Kijowa, gdzie prokurator otrzymał pracę. Moja siostra korespondowała z żoną prokuratora Sablina już po przyjeździe na Ziemię Odzyskaną.

Powrót do Łucka

Po wkroczeniu wojsk sowieckich do zajętego przez Niemców Łucka, w 1944 roku mama spróbowała wysłać z Okoniesznikowa list do rodziny. Jakaż to była radość, gdy otrzymała odpowiedź. Tak zaczęła się nasza korespondencja z najbliższymi. Mama odwiedziła też w Andriewce doktora Wojnicza. Poinformował on, iż istnieje możliwość powrotu do Łucka, trzeba tylko zdobyć „wyzow”. W jego wypadku podjęto już starania o otrzymanie tego dokumentu. Czym prędzej mama napisała do cioci w Łucku i właśnie ona za złoty pierścionek oraz przedwojenną suknię balową wystarała się o taki „wyzow” od sowieckiej urzędniczki z Oblspalkomu. We wrześniu 1944 roku

dostaliśmy ten dokument w liście. Zaraz rozpoczęliśmy przygotowania do wyjazdu. Przede wszystkim musieliśmy otrzymać zezwolenie z miejscowego NKWD oraz uzyskać zwolnienia z zakładów, w których pracowały mama i starsza siostra. W okresie wojny nie wolno było tak przenosić się z miejsca na miejsce. Na szczęście udało się wszystko pomyślnie załatwić. Trzeba też było pomyśleć o zabezpieczeniu jedzenia na tak długą podróż. Tu pomogli szefowie z zakładów pracy. Mama dostała sto jajek i przydział chleba, z którego zrobiła suchary, a Łodzka mąkę na placki. Poza tym siostra jeszcze raz pojechała do Omska i w ekspozyturze Związku Patriotów Polskich otrzymała kilka konserw oraz trochę smalcu. Tak zaopatrzeni czekaliśmy na możliwość wyjazdu. Do najbliższej stacji kolejowej w Kałaczyńsku zawiózł nas samochód, który z Okoniesznikowa odbierał transport kur i jaj dla fabryki. Okazało się, że tego dnia nie ma już pociągu. Przenocowaliśmy u znajomej szefa „Pticepromu”. Dopiero po dwóch dniach udało nam się załadować do przepelnionego pociągu, zmierzającego w kierunku Omska.

Gdy dotarliśmy do celu, siostra prosto z dworca udała się do ekspozytury Związku Patriotów Polskich, aby dowiedzieć się jak dalej odbyć podróż, prosić o radę i o pomoc pieniężną. Poinformowano ją, że w najbliższym czasie dla polskich zesłańców zostanie zorganizowany pociąg z Omska na Ukrainę. Związek Patriotów Polskich, chcąc ulżyć deportowanym Polakom, zawarł porozumienie z rządem Związku Radzieckiego. Dotyczyło ono zasiedlenia zniszczonych przez działania wojenne terenów Ukrainy. Zesłańców zbierano z całego omskiego obwodu. Formowanie transportu trwało długo, gdyż kolchozy i zakła-

dy przemysłowe niechętnie pozbywały się tak cennej w okresie wojny siły roboczej. Z trudem uzyskiwano zwolnienia. Polacy gromadzili się w Omsku w przeznaczonym na ten cel internacie, gdzie skierowano również nas. Na miejscu przydzielono nam trzypiętrowe łóżko, ja spałem najwyżej. W ciągu tych dwóch tygodni powoli zjadaliśmy zapasy. Dobrze, że na obiad otrzymywaliśmy skromne posiłki. W oczekiwaniu na wyjazd zwiędzialiśmy Omsk. Stara część miasta miała ulice i chodniki wyłożone drewnem. Byliśmy w porcie nad Irtyszem. Siostra zabrała mnie nawet do kina na amerykański film „Pieśń o Rosji”, który opowiadał o zmaganiach Związku Radzieckiego z Niemcami. Tuż przed wyjazdem mama znów dostała trochę pieniędzy, więc poszliśmy na rynek, by kupić mrożoną dynię. Między 10 a 20 października zakończono gromadzenie przesiedleńców. Z nami był pewien kłopot, gdyż nie byliśmy ujęci w wykazie, ponieważ wracaliśmy do Łucka „na wyzow”. Załadowano już wszystkie wagony, a my jeszcze czekaliśmy na stacji. Nikt nie chciał nas przyjąć. Mama przerażona biegła od wagonu do wagonu i błagała, by ktoś zechciał ją wpuścić wraz z dziećmi. Wszystkie były przepelnione. Sytuacja była dramatyczna. Nie mieliśmy jedzenia, nie mieliśmy pieniędzy, by czekać na kolejny transport. Odgwizdano już odjazd pociągu, gdy zlitowano się nad samotną kobietą z dziećmi.

Wagony były bardzo zniszczone (prawdopodobnie lepsze przeznaczone dla wojska), w czasie podróży ściany odsuwały się od siebie, a wówczas prycze waliły się na ziemię. Całe szczęście, że nikomu nic poważnego się nie stało. Droga była i tak znośna, dopóki mieliśmy co jeść. Na mijanych stacjach próbaliśmy kupić mrożoną dynię. Na

większych dworcach, na przykład w Pietropawłowsku, można było w stolówkach dla przejeżdżających dostać nawet chleb. W trakcie wędrówki największe wrażenie zrobił na mnie Ural. Góry wyglądały przepięknie. Cały czas siedziałem przy drzwiach i podziwiałem groźny, majestatyczny widok. Podróż była uciążliwa i długa, gdyż często po dwa, trzy dni staliśmy na stacjach. Trzeba było przepuszczać transporty wojskowe z żołnierzami, ze sprzętem; setki wagonów z ludźmi, armatami, czołgami. Natomiast z powrotem szły pociągi z zakratowanymi oknami, konwojowane przez wojsko. Jeńcy niemieccy, włoscy, węgierscy byli w o wiele gorszej od nas sytuacji. Błagali o wodę czy kawałek chleba. Jeszcze przed przekroczeniem Uralsu zarządzono nam dezynfekcję – odzyskanie. Wszystkich zaprowadzono do łaźni parowej. Należało zdjąć całą odzież, którą poddano dezynfekcji. Byłem bardzo nieszczęśliwy, gdy po kąpielu okazało się, iż moja śliczna czapka z baranka, którą mama z takim trudem zdobyła przed wyjazdem z Okoniesznikowa, skurczyła się po dezynfekcji i zrobiła niewiarygodnie mała. Płaszczki, kupiony jeszcze u żydowskiego kupca, i amerykański mundurek przetrwały ten proces bez uszczerbku. Przeprawa przez Ural była dla mnie niezapomnianym przeżyciem. Jako mały chłopiec byłem z rodzicami w Karpatach, ale tak potężnych gór jeszcze nie widziałem. Pociąg przemierzał kręte doliny, a ja z zapartym tchem podziwiałem ogrom i groźne piękno skalistych szczytów. W Swierdłowsku znów staliśmy kilka dni, przepuszczając transporty z zapatrzeniem dla frontu – większość zakładów Związku Radzieckiego została bowiem przeniesiona za Ural. W Swierdłowsku przeżyłem też groźną przygodę. Ponieważ czekaliśmy już dość długo, wybrałem się na rynek obok stacji, by kupić coś do jedzenia. Po powrocie zamarłem z przerażenia – mój pociąg z mamą i siostrą zniknął. Odjechali beze mnie! Zostałem zupełnie sam w obcym miejscu. Pobiegłem do kolejarzy. Uspokoiłi mnie i pomogli. Wsadzili mnie do następnego pociągu towarowego i w tym samym dniu dogoniłem mój transport. Mama była przerażona. Nakrzyzczała na mnie, a później nie chciała mnie więcej puszczać samego na stacjach. Pamiętam, jak przekraczaliśmy Wołgę. Była w tym miejscu bardzo szeroka. Wkraczaliśmy na tereny, na których niedawno toczyły się walki. W okolicy Kurska wzdłuż torów stały rozbite czołgi i auta. Charków cały w ruinie, dalej Połtawa. W Kremieńczugu transport zatrzymano i rozformowano. Ponieważ nie byliśmy przypisani do transportu jako ci, którzy mają osiedlić się na sowieckiej Ukrainie, ale mieliśmy „wyzow” do Łucka, musieliśmy wyładować nasz skromny dobytek z wagonu. Wysadzono nas na stacji towarowej po lewej stronie rzeki, natomiast stacja dla pociągów pasażerskich znajdowała się na drugim brzegu, 5 km dalej. Mama postanowiła, że wraz z siostrą wezmą walizki, ja natomiast zostanę z resztą bagażu. Byłem sam. Naokoło grzy. Żadnego domu. Siadłem między torami i czekałem na nie. Na szczęście nikt mnie nie zaczepiał, ale mama wróciła smutna. Okradli nas. Gdy mama i siostra szły na stację, nagle pojawili się dwaj mężczyźni. Najpierw zaproponowali pomoc w niesieniu bagażu, a

po odmowie wyrwali mamie worek z ręki i uciekli w grzy. Nie oblowili się specjalnie. Łupem złodziei stały się garnki, miski, sztućce oraz moje książki i zeszyty tudzież jedyne dwa zdjęcia, które miałem zrobione na Syberii. Natomiast dla mnie strata była niepowetowana. Zginęły moje skarby: zeszyty ze zdobywanymi z takim trudem obrazkami oraz ulubiona książka „Orli Szpon”. Zmartwiony szedłem z mamą na dworzec. W jego wnętrzu nie było już miejsca. Był mroźny, grudniowy wieczór. W parku koło dworca paliły się latarnie. Zapamiętałem pewne zdarzenie. Trzech milicjantów prowadziło wysokiej rangi oficera, obwieszzonego orderami. Był pijany. Wykrzykiwał obraźliwe hasła typu: „Śmierć Stalinowi!” Milicjanci bili go po twarzy. Ludzie patrzyli na to z przerażeniem. Każdy odstępował, cofał się, nikt nie

raz drugi nas okradziono. W miarę podróży nasz bagaż malał w zastraszającym tempie.

W Kijowie zatrzymaliśmy się na czyściutkim, odnowionym dworcu głównym. Ja pilnowałem bagażu, a mama z siostrą poszły w stronę kas biletowych. Wróciły szybko, gdyż dowiedziały się o działającej tu ekspozyturze Związku Patriotów Polskich. Była to pomyślna wiadomość. Nie mieliśmy już pieniędzy. Nie było nie tylko za co wrócić do Łucka, ale nawet kupić jedzenia. Poszedłem z siostrą do tego biura. Dostaliśmy 200 rubli. Mnie obdarowano też cukierkami. Kupiliśmy bilety. Już szarzało, kiedy 22 grudnia wyjeżdżaliśmy z Kijowa. Pociąg jechał szybko, bez nieplanowanych postojów. Przyjechaliśmy do Kiwerca późnym wieczorem. Tam poczekaliśmy pół godziny na pociąg do Łucka. O godzinie je-

nie na jego ślad. Niestety zamieszczane w prasie apele nie dały żadnych rezultatów. Zwracałem się też z prośbą o pomoc do różnych instytucji w kraju oraz w Związku Radzieckim, a później w Federacji Rosyjskiej. Wysyłałem listy w sprawie ojca na Ukrainę. Zewsząd nadchodziły odpowiedzi odmowne.

Tak było do 1994 roku. Po przekazaniu przez władze Ukrainy prokuratorowi Stefanowi Śnieżko tzw. wykazów Cwietuchina, okazało się, że mój ojciec Jan Marcinkowski figuruje na „liście śmierci”, czyli liście do rozstrzelania nr 43/3 poz. 4. Prawdopodobnie został rozstrzelany w Kijowie i pochowany w zbiorowej mogile w Bykowni.

Wiedziałem, iż mój ojciec nie żyje, chciałem jednak dokładniej poznać jego losy po aresztowaniu. Za radą pani Olgi Sałacińskiej z

wziąłem udział w uroczystości otwarcia i poświęcenia czwartego cmentarza katyńskiego – Polskiego Cmentarza Wojennego w Kijowie-Bykowni.

Podróż do Kijowa była dla mnie wielkim przeżyciem. Wraz z Małgosią szczęśliwie dotarliśmy do Warszawy, gdzie spotkałem się z moim serdecznym przyjacielem Januszem Wasylkowskim, założycielem Instytutu Lwowskiego i redaktorem naczelnym „Rocznika Lwowskiego”. Córka podziwiała jego przebogata, poświęconą Kresom Wschodnim, kolekcję książek i obrazów. Przy dyskusji miło upłynął nam czas do odjazdu pociągu. Na dworcu Warszawa Wschodnia, skąd wyruszał specjalny pociąg do Kijowa, uczestników podróży powitał Sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Kunert w asyście innych pracowników Rady oraz wojska. Przekazano nam plaketki z napisem „Gość Honorowy” oraz harmonogram uroczystości. W trakcie wsiadania do wagonów oraz długiej, dwudziestoosmiodzinnej podróży byliśmy otoczeni troskliwą opieką wojska i obsługi pociągu. Wieczorem, w przeddzień uroczystości, odwiedził nas biskup polowy Wojska Polskiego Józef Guzdek oraz sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Kunert. Opowiedziałem tak ważnym gościom o moim ojcu, pokazałem zabrane w podróż zdjęcia i dokumenty. Biskup obdarował mnie książką, która jest dla mnie obecnie cenną pamiątką. Nad ranem 21 września specjalny pociąg dotarł do Kijowa. Na dworcu czekały już autokary, które przewiozły uczestników uroczystości do Bykowni.

Tablice epitafijne na Polskim Cmentarzu Wojennym w Kijowie-Bykowni ciągną się długą wstęgą wokół Ściany Pamięci z nazwiskami 3 435 osób, wymienionych na „ukraińskiej liście katyńskiej”. Po wzruszającej uroczystości z udziałem prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego i prezydenta Ukrainy Wiktora Janukowycza wśród ułożonych alfabetycznie tablic epitafijnych odnalazłem nazwisko ojca. Skromny napis: „Jan Marcinkowski ur. 6.05.1899 Natolin, sekretarz Sądu Okręgowego w Łucku”. Na moment wróciła scena naszego ostatniego pożegnania. Pamiętam dobrze, z jaką czułością ojciec pochylał się nad moim łóżeczkiem. Pamiętam ciepło jego oddechu, gdy po raz ostatni całował mnie w czoło. Ojciec miał wtedy 40 lat. Był postawnym, wysokim, silnym mężczyzną. Tak bardzo byłem z niego dumny. Tak mocno go kochałem. Kiedy w trakcie uroczystości otwarcia Polskiego Cmentarza Wojennego w Kijowie-Bykowni słuchałem wzruszającej homilii Biskupa Józefa Guzdeka, przemówienia Andrzeja Kunerta i słów Izabeli Sariusz-Skapskiej, prezes Federacji Rodzin Katyńskich, iż same napaływały do oczu. Zdawało się, że wśród sosen ze strugami czerwonego jak krew bluszczu widzę smukłą postać ojca. Widzę go takim jak wtedy – w drzwiach naszego domu na ulicy Zamkowej w Łucku. Czy to nie smutne, że trzeba było niemal całego ludzkiego życia, by prawda o straszliwej zbrodni ujrziała światło dzienne?

Wiosną 1940 roku zamordowano bliskiego mi człowieka, ale ja nigdy nie zapominałem lekcji, których mi udzielał – tych jego lekcji miłości do Ojczyzny, także mojej małej kresowej ojczyzny – Wołynia.



Ulica Jagiellońska w Łucku, pocztówka ze zbiorów Tadeusza Marcinkowskiego

komentował, panowała głucha cisza. W nocy siostra stała w długiej kolejce, by kupić bilety do Kijowa. Nad ranem wsiedliśmy do pociągu, który ruszył w nieco dziwnym dla naszej wędrówki kierunku, bo na północny wschód. Zatrzymaliśmy się na małej stacji. Dworzec był spalony. Na peronie stał tylko baraczek z kasami. Dalej nasz pociąg nie jechał. Choć mieliśmy dobre bilety, daremnie próbowaliśmy wsiąść do innego, zmierzającego w stronę Kijowa pociągu. Wszystkie odjeżdżały tak przepelnione, że nie było mowy o zabieraniu nowych pasażerów. Trzy dni i trzy noce siedzieliśmy na mrozie, ogrzewając się wrzątkiem, który można było dostać w baraku przy kasie. Trzeciego dnia wieczorem znaleźliśmy miejsce w wagonie, szczęśliwi, że każdy kilometr zbliża nas do domu. Zmęczeni i zmarnięci ulokowaliśmy się na środkowej półce i wkrótce usnęliśmy. Jednak spaliliśmy czujnie, gdyż w trakcie podróży nasłuchaliśmy się zatrważających opowieści o wyrzucaniu pasażerów z wagonów, o mordach i o rabunkach w tych okolicach. Pociąg powoli toczył się po szynach, zatrzymywał się, przepuszczał inne, wolno przemierzał most na Dnieprze. W nocy ogniska odbijały się w wodzie. Znów zasnęliśmy. Rano okazało się, że nas okradli. Złodzieje zajęli miejsce pod nami. Przez szczeble w prycy rozciągnęli walizkę i wyciągnęli jej zawartość. W pewnym momencie na ziemię wypadła figurka Matki Boskiej. Siostra obudziła się. Słyszała, jak ją okradają, ale przerażona opowieściami o zabójstwach, bała się poruszyć. Prócz płaszcza kupionego jeszcze w Łucku, który jak mój przetrwał cały pobyt na Syberii, straciła wszystkie rzeczy, z ulubioną suknią balową włącznie. Już po

denastej w nocy po latach zesłania powróciliśmy do ukochanego miasta. Łuck był pogrążony w ciemności. Piechotą szliśmy do domu wśród rozbitych ulic. Gdy poznaliśmy znajome strony, radość była ogromna. Przeszliśmy przez most Bazyliański i zeszliśmy do domu przy zamku Lubarta. Nasi krewni jeszcze nie spali. Płacz, całowanie, uściski. Szczęśliwie wróciliśmy między swoich.

Zaraz zaczęliśmy też pytać o ojca. Mieliśmy nadzieję, że do bliskich dotarła może jakaś informacja na jego temat. Wydawało się niemal nieprawdopodobne, że nikt go już nie widział od chwili aresztowania. A jednak cisza...

W poszukiwaniu śladów ojca

Minęło wiele lat od momentu, gdy na skutek repatriacji w sierpniu 1945 roku opuściłem mój ukochany Łuck. Wraz z mamą i siostrą zamieszkaliśmy na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych w Zielonej Górze. Cały czas czekaliśmy na jakąś wiadomość o ojcu. Na próżno. Po okresie przemian w 1989 roku zacząłem kontynuować podjęte przez mamę po wojnie poszukiwania. W III Rzeczypospolitej nareszcie można było mówić i pisać o sprawach objętych wcześniej klauzulą milczenia. Rozpocząłem zatem żmudną drogę do wyjaśniania prawdy o zaginięciu ojca.

W 1991 roku w 32 numerze pisma „Sybiracy. Tygodnik skrzywdzonych przez totalitaryzm” w rubryce „Poszukiwani” redakcja zamieściła moją krótką notatkę o ojcu. Podobną informację wysłałem też do „Słowa Powszechnego” do rubryki „Zginęli na Wschodzie”. Miałem nadzieję, że może odezwie się ktoś, kto widział ojca po aresztowaniu, że pojawi się jakaś informacja, która naprowadzi

Zielonej Góry napisałem do pani Inny Fieduszczyk, przewodniczącej Lwowskiego Obwodowego Towarzystwa „Poszuk”. Jej adres otrzymałem w Ośrodku „Karta” w Warszawie. W maju 1998 roku przyszła odpowiedź. Pani Inna wyjaśniała, iż składający się z trzech części spis numer 43 zawierał nazwiska osób przetrzymywanych w łuckim więzieniu. Więźniów w dniu 30 kwietnia załadowano do wagonów i przewieziono do stacji w Zdołbunowie. Tu ślad się urywa. Co było dalej, dokładnie nie wiadomo. Jedno jest pewne – nie wywieziono ich z Ukrainy, ponieważ tak napisano w postanowieniu i oficerów z pierwszej części tego postanowienia, którzy byli internowani w Starobielsku, wywieziono na rozstrzelanie kilkadziesiąt kilometrów do najbliższego lasu pod Charkowem. Z listu dowiedziałem się, że ten transport więźniów zmierzał w głąb Ukrainy, ale nie przekroczył jej granic. W 1999 roku otrzymałem jeszcze informację z Moskwy od Komisji Polskiej Stowarzyszenia „Memorial”, która pisała „Wiadomo, że osoby figurujące w „wykazie Cwietuchina”, według wszelkich oznak zostały rozstrzelane wiosną 1940 roku, w tym również Pański Ojciec”. Z poświęconych „ukraińskiej liście katyńskiej” publikacji wiedziałem, iż więźniowie zostali zamordowani prawdopodobnie w Kijowie i pochowani w Bykowni.

Przez całe dorosłe życie szukałem śladów ojca i dopiero teraz, gdy jestem już starszym, schorowanym człowiekiem, znam miejsce, gdzie został pochowany. Dopiero po 72 latach mogłem godnie pożegnać się z moim ojcem Janem Marcinkowskim, oddać mu cześć i zapalić znicz na jego grobie. 21 września 2012 roku wraz z córką Małgorzatą Ziemską

Մեր Տունը. Święta w tradycji ormiańskiej

Ormianie mogą poszczycić się wspaniałą i długą tradycją. Kultura narodu ormiańskiego powstawała w ciągu wielu tysiącleci. Z pokolenia na pokolenie Ormianie przekazywali zwyczaje i tradycje, które nadawały sens ich życiu, określały ich miejsce na świecie.

MACIEJ BOHOSIEWICZ

Znany angielski pisarz Gilbert Keith Chesterton powiedział, że tradycja to jedyny rodzaj demokracji, w której głos mają także umarli. Warto więc posłuchać o zwyczajach, które niejednokrotnie mogą wydawać się dziwne albo trącające zabobonem. Nie chodzi jednak o to, byśmy te zwyczaje bezmyślnie kopiowali. Dla kolejnych pokoleń Ormian wierzących w Chrystusa, najważniejsze stały się tradycje przeniknięte światłem Ewangelii. O nich opowiem w poniższym tekście. Są to tradycje i zwyczaje naszych ormiańskich ojców. Opowiem o tym jak przeżywali święta Bożego Narodzenia oraz inne uroczystości, przedstawiając kilka zwyczajów, zaczynając od najstarszych, a skończywszy na współczesnych, przypominając także te zwyczaje, które kultywowane były w diasporze.

Zacznijmy więc od tradycji noworocznych. Pierwszy dzień roku zwany Amanor (po ormiańsku „am” to dawny wyraz o znaczeniu „rok”, a „nor” znaczy „nowy”) był również określanym terminem Nawasard (zapożyczenie ze staroirańskiego wyrazu „nawa-sarda”, czyli „nowy rok”), który oznaczał także pierwszy miesiąc roku (być może wrzesień). W tym samym znaczeniu, co Amanor, używano też zapożyczonego z greki wyrazu wymawianego obecnie w języku wschodnioormiańskim „kaghand” (z głoską „gh” taką jak polskie „ch” w wyrazie „klechda”). Grecką podstawą był tu wyraz „kalandai” zapożyczony z łacińskiego „calendae”. Tak w starożytnym Rzymie nazywano pierwszy dzień każdego miesiąca. Od łacińskiego wyrazu „calendae” pochodzi również polski kalendarz, a także kolęda.

Nie jest jasne, kiedy starożytni Ormianie (Armeńczycy) obchodzili początek nowego roku: czy na wiosnę, czy pod koniec lata, gdy zbierano plony i zaczynał się nowy „sezon”. Jak podaje *Hajkakan, hamarot hanragitaran* (Związała encyklopedia ormiańska, tom I, Erywań 1990, str.148): „Amanor czyli „nowy rok” był obchodzony w sierpniu. Jak informuje średniowieczny uczonec ormiański Gregor Magistros, w starożytności w obchodach dnia Nowego Roku uczestniczyli królowie, książęta, arystokracja. W czasie świętowania składane były różnym bóstwom rozliczne ofiary: złoto, srebro, ale również pokarmy. Starożytni Ormianie uświetniali ten dzień śpiewami i tańcami, przybijającymi kształt wielkich widowisk. W



tym dniu odbywały się również zawody sportowe. W starożytnej Armenii każdy dzień miesiąca posiadał swoją nazwę. Nazwy te pochodziły od nazw gór, świątyń oraz bóstw. Niektóre z nich noszą nawet jako imiona współcześni Ormianie, np. Aram, Margar, Hrant, Astchik, Anahit, Wahagn, Ani. Podobnie, każda godzina dnia miała swoją nazwę.

Amanor, czyli Nowy Rok, świętowano bardzo hucznie. Ludzie wówczas zgromadzeni przynosili ze sobą w darze pierwsze plody tego roku, co wskazuje na obchodzenie tego święta pod koniec lata. Bóstwo patronujące

Nowemu Rokowi błogosławiło i chroniło plony. Nosiło ono imię Wanatur, co oznacza: gościnny.

„Historia Armenii” Agatangeghosa (IV wiek) wspomina, że św. Grzegorz Oświeciciel święto Amanor wiązał z kultem św. Jana Chrzciciela (po ormiańsku: Karapet) i św. Atanazego. Świętowanie Nowego Roku według starej tradycji, o której wspomina dzieło Agatangeghosa, miało miejsce w miesiącu Nawasard (wrzesień). O tym wspomina (jednakże krytycznie) na łamach miesięcznika Ararat (w numerze z 1897 roku) lingwista Karapet Kostanian. Píše on: „są powody,

by uważać, iż według starej tradycji świętowano dzień Amanor na wiosnę, podobnie, jak to miało miejsce w Persji”.

W Iranie, pomimo zmian religijnych i upływu czasu, obrzędowość Nowego Roku do dziś nie uległa zmianie. Hipoteza mówiąca, że wrzesień miałby zaczynać rok, jest zaś mało wiarygodna. W roku liturgicznym Kościoła ormiańskiego również można znaleźć elementy przemawiające za wiosenną datą obchodzenia Nowego Roku. Świadczą o tym zresztą także pogańskie pieśni, podkreślające związek noworocznego świętowania

z czasem wiosny. Biorąc pod uwagę powyższe fakty, możemy powiedzieć, iż Nowy Rok w obrzędowości wczesnochrześcijańskiej nie odgrywał wielkiej roli. Bez względu na to, czy przypadał na wiosnę, czy na późne lato, nie był obchodzony tak hucznie jak w pogaństwie. Nie było w tym dniu specjalnych obchodów liturgicznych poza mszą świętą.

Od wspomnianej wyżej nazwy Nowego Roku, Kaghand, pochodzi zachodnio-ormiański wyraz gaghantczek, oznaczający noworoczny podarunek. Oprócz materialnych darów od dawna istniał zwyczaj składania dobrych życzeń. Odpowiednik polskiego sylwestrowego wieczoru miał u Ormian swoją specyficzną tradycję kulinarną. Radosne świętowanie okraszane było owocami i specjalnymi daniami.

W obecnych czasach większość Ormian obchodzi Nowy Rok (1 stycznia) w swoich domach, gdyż uważają, że jest to święto typowo rodzinne. Część spotyka się także w różnych lokalach.

Żebyśmy mieli jakieś wyobrażenie o tych tradycjach, przytoczę teraz opisy noworocznych zwyczajów z książki ks. Wahana Ter-Minasjana „Angir Dyprutjun”. Wydaje mi się, że są bardzo interesujące. Píše on, że ludzie stawiali na stołach siedem waz owoców oraz siedem różnych ciast. Ojciec rodziny przynosił do domu gałązki oliwki, z których robiono „drzewko noworoczne”. Po posiłku trzy razy rzucał na dach garści orzechów, mówiąc przy tym „Bądź dobrym, Nowy Roku!” Potem wszyscy częstowali się tymi orzechami, bo ich zjedzenie następnego dnia byłoby uważane za złą wróżbę. Pośrodku stołu stał chleb, w który wetknięte były gałązki drzewa oliwnego. Przystrajano je owocami i orzechami, na znak obfitości plonów w nadchodzącym roku. Przed każdym domownikiem stało na stole jabłko, które można było spożyć dopiero następnego dnia. W jednym, losowo wybranym, był ukryty pieniążek. Jeśli ktoś go odkrył, to miał być znak błogosławieństwa. Rano dziadek albo ojciec wybierał się do księdza, by pobłogosławił noworoczne drzewko. Przywożąc je do domu, wrywał każdemu włoszek z głowy i przywiązywał je do drzewka. Wchodząc do domu, należało przestąpić próg prawą nogą.

Zwyczaj nawiązujący do jabłek z niespodzianką można teraz spotkać w zwyczajach diaspori oraz Armenii.

Zamiast jablek mamy tam jednak specjalne ciasto, baghardz (wymowa zachodnioormiańska: pagharcz). Babcia ma przywilej pokrojenia go i rozdania obecnym według starszeństwa. Jeden kawałek zostaje dla niespodziewanego gościa, inny dla sąsiada, a jeszcze inny – dla psa. Ludowe wierzenia mówią, że na babci spoczywa odpowiedzialność za to, by dzieląc ciasto nie trafić nożem na pieniądze. Jeśli tak by się stało, to wielu wierzy, że jest to zły znak.

Nasi etnografowie poczynili wiele starań, by spisać zwyczaje noworoczne z różnych wiosek, bardziej lub mniej podobne do siebie. Ciekawostką jest to, że wszędzie spotykamy siedem rodzajów owoców oraz siedem rodzajów mieszanki różnych bakalii. Podobny zwyczaj można spotkać pośród Ormian zamieszkujących Iran, Turcję, Liban oraz Syrię. W Iranie nowy rok (pierwszy dzień wiosny), który nazywa się po persku Nou-ruz (dosłownie „nowy dzień”), do dziś ma bardzo podobne obchody. Również występuje siedem rodzajów owoców, ale tylko tych, których nazwa zaczyna się od litery „sin”. Dawna ormiańska tradycja związana z pomarańczami do dziś zachowała się wśród ormiańskich mnichów jerozolimskiego klasztoru. W dzień Nowego Roku, gdy składane są życzenia patriarsze, każdy składający dostaje od niego pomarańczę.

Młode dziewczęta też miały swój zwyczaj. Barwiły jajka na czerwono i zostawiały na kamieniach pieca. Jeśli rano jajko nie było czarne, lecz pozostało czerwone, to jego właścicielka miała wkrótce znaleźć szczęście. Oczywiście chodziło o przyszłego męża. Oraz inny zwyczaj: pod dachem zawieszano kolorowe, wełniane skarpety. Dzieci czekały na prezenty, czyli na gaghant-czek, o którym wcześniej wspominałem.

Ormiańskie obchody pierwszego dnia nowego roku słyną też ze świątecznego drzewka. Jest to zwyczaj już chrześcijański. Ormianie katolicy, razem z całym Kościołem katolickim, wyrażają w ten sposób radość z obchodów Bożego Narodzenia. U Ormian z Kościoła Apostolskiego choinka ozdabia dom w Nowy Rok. Kolejnym zwyczajem jest kaghand-pap – „noworoczny dziadek”, lub też dzmer-pap, czyli „zimowy dziadek”. Nie wiadomo, z jaką starożytną tradycją były związane te postacie. Miały one jednak zabawiać dzieci w czasie świętowania. Odgrywały rolę klaunów podczas ważniejszych świąt i uroczystości.

Najbardziej lubianą tradycją był jednak wśród dzieci zwyczaj św. Sahaka Partewa. W ten dzień zbierała się cała rodzina. Dziadek, wchodząc do domu, miał na głowie kaptur, a w rękę laskę pasterską. Ubrany był w owczą skórę. Dzieci witały go wiwatami i krzykiem, a potem następowała zabawa. Przypomina to trochę obchodzone w Europie Mikołajki.

Innym wyrazem radości, związanym z Bożym Narodzeniem, było pozdrawianie się słowem „awedis”, co można przetłumaczyć jako „dobre wieści, dobra nowina”. Młodzież, podobnie jak polscy kolednicy, obchodziła z tymi słowami domy, dostając w zamian za wizytę różne prezenty. Towarzyszyły temu radosne śpiewy, nakłaniające gospodarzy do hojno-

ści. Ludowa wieść głosiła, że anioł spisywał tych, którzy dawali oraz tych, którzy nie chcieli się dzielić. Echa tej tradycji możemy nawet znaleźć w starożytnym eposie o bogu Tirze.

Ormianie są bardzo gościnnym narodem. Trzydniowe obchody Nowego Roku wiążą się w wieloma wizytami. Tradycja każe odwiedzić wówczas rodzinę, sąsiadów i znajomych, a każda wizyta musi być odwzajemniona rewizytą. Jest tu przestrzegana pewna hierarchia – najpierw młodszy idą do starszych, a potem przyjmują ich u siebie w domu. Wizyty nie są długie i nie wypada ich przeciągać. Należy bowiem odwiedzić możliwie dużo przyjaciół i krewnych, a potem – samemu przyjmując tych, którzy przychodzą do nas.

W ormiańskim Kościele tylko dwa razy w ciągu roku odprowadzane są wieczorne msze święte – w Boże Narodzenie i na Wielkanoc. Ormianie z Kościoła katolickiego obchodzą Boże Narodzenie 25 grudnia, a 6 stycznia – Objawienie Pańskie (Trzech Króli). Ormianie Kościoła Apostolskiego świętują obie uroczystości razem, 6 stycznia. Chcę podkreślić zdecydowanie, że nie jest to różnica dogmatyczna. Oba Kościoły świętują tę samą tajemnicę Chrystusa, lecz pod różnymi datami.

Wieczór wigilijny nazywa się w tradycji ormiańskiej Czragalujs, co tłumaczy się na język polski jako „zapalenie lamp, świec”. Związane jest to z tym, że w ten wieczór w świątyniach zapalano wszystkie lampy oliwne i świece. Z kościoła rozlega się w ów wieczór śpiew hymnów – szarabanów, sławiących „wielką i przedziwną Tajemnicę”. Po niesporach, składających się z psalmów i hymnów, zaczyna się czytanie z Pisma Świętego. Potem rozpoczyna się msza. Po niej następują obrzędy Wigilii. Na wieczerze Czragalujs każdy region Armenii czy diaspory ma przygotowane charakterystyczne zwyczaje. W ten wieczór na kolację je się rybę, warzywa, potrawę z jajek, a napojem jest wino. Po tym domowym świętowaniu ludzie odwiedzają swoich bliskich, zwiastując im radość z narodzin Zbawiciela.

Zarówno w Kościele apostołskim, jak i katolickim, w poranek 6 stycznia odprawia się w kościołach świąteczną liturgię, którą kończy obrzęd poświęcenia wody. Warto pamiętać, że w Kościele apostołskim tego dnia obchodzi się razem z pamiątką Chrztu Pańskiego także Boże Narodzenie. Do wody, poświęconej przez modlitewny śpiew celebransa, dolewa się kropkę Krzyżma Świętego. Następuje także zanurzenie w niej krzyża, co symbolizuje chrzest Jezusa w Jordanie. Potem wierni zabierają tę wodę z sobą do domów, wierząc, że może przez nią działać Bóg, uzdrawiając i błogosławiąc swój lud.

U Ormian zamieszkujących Iran zachowała się następująca tradycja: przed wizytą kapłana, podczas której błogosławi on dom (czyli przed tzw. koledą), ojciec rodziny zabiera z kościoła pobłogosławiony chleb, rozdziela wśród obecnych, a ci wrzucają go do kieliszków z winem. Potem, składając sobie wzajemnie życzenia, wypijają zawartość. Następnie zaś udają się w gościnę do krewnych i przyjaciół.

Szopka Lwowska w Mościskach

Rok 2014 polski Teatr Ludowy ze Lwowa rozpoczął w Mościskach. 5 stycznia zespół wystąpił z „Szopką Lwowską” w kościele parafialnym p.w. Narodzenia św. Jana Chrzciciela. Jest to przedstawienie, które odgrywane jest już od ponad 20 lat w okresie świątecznym.



KRZYSZTOF SZYMAŃSKI tekst i zdjęcie

Premiera „Szopki” odbyła się w 1992 roku. Jest to program słowno-muzyczny, w którym wykorzystano zapomniane koledy lwowskie, wiersze lwowskich poetów o tematyce bożenarodzeniowej i skecze lwowskich autorów – Mariana Hemara, Wiktora Budzyńskiego, Witolda Szoligini. „Szopka” przenosi widza do lwowskich domów z okresu międzywojennego. Odgrywana we Lwowie czy w Strju, w Trembowli, Malechowie czy Jazłowcu budzi zazwyczaj

wzruszenie – stare lwowskie koledy i nastroj lwowskich ulic, rywalizujących ze sobą „partii” koledników zawsze przyjmowany jest z nostalgią i leką w oku.

Tym razem w wypełnionym po brzegi kościele parafialnym w Mościskach wdzięczna publiczność podchwytowała śpiewane koledy, dzieci radośnie były brawo rywalizującym kolednikom i starały się dotknąć po przedstawieniu lalek Trzech Króli.

Walorem spektaklu są jego dekoracje, przygotowane jeszcze przez znakomitego scenografa Walerego Bortiakowa. Pomyślane w taki spo-

sób, że złożone mogą być przewiezione nawet w bagażniku samochodu osobowego, a po rozłożeniu tworzą wspaniałą panoramę wież lwowskich kościołów, prawie dwumetrowej wysokości. To właśnie na tym tle rozgrywa się cała akcja przedstawienia.

Pobyt w Mościskach uwieczniono na pamiątkowych zdjęciach m.in. z członkami teatralnego zespołu „AS” (dokonania artystyczne zespołu znane są również we Lwowie) i proboszczem Władysławem Derunowym. Artyści teatru lwowskiego mają nadzieję na ponowne spotkanie z mościską publicznością.

Polsko-Ukraińskie Centrum w Dolinie

W Dolinie, w obwodzie iwanofrankińskim, powstanie Polsko-Ukraińskie Centrum.

SABINA RÓŻYCKA

Informację o rozpoczętych przygotowaniach przekazał Kurierowi Galicyjskiemu mer miasta Wołodymyr Harazd. „Z mojej inicjatywy i na życzenie deputowanych Rady Miasta i działaczy społecznych podjęto decyzję o stworzeniu Polsko-Ukraińskiego Centrum – mówi mer Harazd. – Centrum będzie działało na rzecz mieszkańców polskiego pochodzenia, zajmie się organizacją kursów językowych, usług turystycznych i nawiązaniem kontaktów pomiędzy polskimi i ukraińskimi przedsiębiorcami”.

Przygotowując plan pracy centrum, urzędnicy zorganizowali dwa wyjazdy do polsko-ukraińskich centrów po wymianę doświadczeń i dla zapoznania się z ich działalnością.

Odbyły się trzy spotkania, w czasie których określano koncepcję działalności przyszłej placówki. Opracowano specjalną ankietę, która pozwoli określić jak mieszkańcy Doliny wyobrażają sobie działalność przyszłego Centrum. Biznesmeni mogli opowiedzieć jaki rodzaj współpracy z potencjalnymi partnerami interesuje ich najbardziej. Wyniki ankiety staną się podstawą badań rynkowych, będą pomocne w poszukiwaniu potencjalnych partnerów i kompletowaniu niezbędnej informacji. Dolina ma trzy miasta partnerskie w Polsce: Niemodlin, Nową Sarzynę i Grodzisk Wielkopolski. Współpraca między miastami obejmuje wymianę delegacji samorządowców, młodzieży, uczniów, sportowców i artystów.



Zapraszamy chętnych do śpiewania w polskim chórze mieszanym „ECHO”

Próby oraz spotkania towarzyskie – w poniedziałki oraz czwartki o godz. 18:30, pod kierownictwem profesjonalnych animatorów i pedagogów muzyki.

Jeśli masz lat 30+, 40+, 50+ itd. i możesz poświęcić czas dwa razy w tygodniu na próby (2 godz.), to nauczysz się pięknego repertuaru z chóralistyki polskiej (i nie tylko). Jeśli jesteś młody i dysponujesz zapalem do nauki, to skuteczne nowoczesne pliki dźwiękowe pomogą szybko przyswoić sobie partie głosowe.

Tel.: 0665306908
Edward Kuc

Skorzystaj z ZAPROSZENIA!

DR BOLESŁAW ZIELIŃSKI – pierwszy prezydent miasta Łucka na Wołyniu (Część II)

Pierwszy prezydent Łucka był jedną z ciekawszych, ale i – zważywszy na sposób opuszczenia przez niego stanowiska prezydenta – bardziej kontrowersyjnych postaci wołyńskiej sceny politycznej okresu dwudziestolecia międzywojennego. Nie sposób pominąć milczeniem jego mądrych inicjatyw, dzięki którym rozkwitło życie kulturalne na Wołyniu oraz zachowała się pamięć o mieście i ludziach, o ich radości z odzyskania wolnej Polski oraz staraniach, by Łuck był godny miana stolicy jednego z największych województw Drugiej Rzeczypospolitej – województwa wołyńskiego.

MAŁGORZATA ZIEMSKA
tekst
archiwum autorki ilustracje

W albumie „Łuck w obrazach” zdjęcia zostały zgrupowane w sześciu rozdziałach poprzedzonych wstępem autorstwa Bolesława Zielińskiego. Część „Ci, którym najwyższa piecza nad Wołyniem była i jest powierzona” zawiera fotografie kolejnych wojewodów wołyńskich oraz zdjęcie Urzędu Wojewódzkiego. Rozdział „Spuścizna czasów przedrozbiorowych” przedstawia widoki najważniejszych obiektów zabytkowych w Łucku, często opatrzone krótkim komentarzem dotyczącym historii wiekowych pamiątek. Część „Budowle i urzędnicy z czasów niewoli” stała się okazją do zaprezentowania, w jaki sposób Magistrat zagospodarował gmachy, w których mieściły się różne rosyjskie instytucje bądź stacjonowało wojsko. Najobszerniejszą dokumentację zdjęciową zawiera rozdział „Wyniki prac inwestycyjnych Magistratu m. Łucka w latach 1924/25”. Rozpoczyna go piękna fotografia zbiorowa pracowników łuckiego Magistratu, nad którą widnieją podobizny kolejnych burmistrzów miasta oraz zdjęcie inicjatora publikacji – prezydenta Bolesława Zielińskiego. Dzięki zgromadzonym materiałom widać, jak wypiękniało, jak zmieniło się miasto, mimo że od momentu odzyskania niepodległości upłynął stosunkowo krótki okres czasu. Wśród wielu ciekawych ujęć znajdują się między innymi rzadkie zdjęcia pokazujące każde z czterech popiersi zdobiących most Bazyliański. W części „Projektowane i zaczęte budowy w mieście Łucku” na podstawie zdjęć z placów budowy oraz gotowych projektów gmachów wyjaśniono, jakie ważne inwestycje Magistrat zamierza zrealizować w przyszłości. Kończące album hasło „Ogólne” to fotograficzna relacja z obchodzonych w mieście świąt narodowych lub wizyt znanych osobistości polskiej sceny politycznej. Wydany staraniem Bolesława Zielińskiego album, prócz nielicznych publikacji z okresu dwudziestolecia międzywojennego dotyczących miasta, opatrzonej zdjęciami artykułów w prasie lokalnej i krajowej, pamiątkowych widokówek oraz ocalałych z wojennej pożogi zdjęć z rodzinnych albumów, pozwala wskrzesić obraz miasta, które przez blisko dwadzieścia lat pełniło funkcję politycznego, administracyjnego i kulturalnego centrum Wołynia.

Prezydent Bolesław Zieliński z iście „amerykańskim rozmachem” planował nowe inwestycje. Pragnął wykupić i powiększyć elektrownię, wybudować wodociąg i kanalizację, uregulować Styr w obrębie miasta, aby nie zalewał wybrzeży i nie tworzył bagien. Zamierzał zdrenować, osuszyć i oddać na cele budowlane



Pracownicy magistratu miasta Łucka w latach 1924/25. Pośrodku prezydent miasta dr Bolesław Zieliński. W drugim rzędzie, druga od prawej w białym kapelusiku babcia autorki Olimpia Martynska

przyrzeczne łąki. Projektował powstanie nowych ulic, parków i boisk sportowych. Za jego prezydentury rozpoczęto budowę Szkoły Handlowej i domków urzędniczych. Miał wiele cennych pomysłów, z których część została zrealizowana przez jego następców. Pełną dynamizmu działalność przerwały wydarzenia związane z przewrotem majowym. Nie tylko na Wołyniu nastąpiły radykalne zmiany w administracji państwowej. Za poświadczanie nieprawdy został odsunięty ze stanowiska wojewoda wołyński Aleksander Dębski oraz wicewojewoda Andrzej Potocki. Odeszli ludzie piastujący ważne funkcje w Urzędzie Wojewódzkim, oświacie, wojsku i policji. Za nadużycia finansowe i skandaliczny stan kasy miejskiej przestał być też prezydentem Bolesław Zieliński. Pisarz opuścił Wołyń i zamieszkał w Rzęsie Polskiej pod Lwowem. Odsunął się od polityki, ale nie porzucił pracy literackiej. Był też jednym z redaktorów „Kuriera Lwowskiego” (1928–1930). Mimo publikowanych w prasie krytycznych słów pod jego adresem mieszkańcy Łucka zapamiętali go jako człowieka, który dla miasta zrobił wiele dobrego.

Jest jeszcze inny aspekt działalności prezydenta Łucka, dzięki któremu zdobył serca i uznanie wielu wołyńców. Dr Bolesław Zieliński był pisarzem. Co najmniej kilka pokoleń młodych łuczczan, mieszkańców Lwowa, ale i innych kresowych miast wychowało się na jego powieściach „Orli Szpon” i „Wodna Lilia”, pisanych z myślą o młodzieży. Tematyką indiańską Bolesław Zieliński zainteresował się w trakcie swego pobytu w Ameryce Północnej. Pracując jako oficer rekrutacyjny Armii Polskiej w Nowym Yorku, spotkał jednego z potomków polskiego rodu Ze-

brzydowskich, który od kilku wieków mieszkał w Ameryce i wprawdzie dla uproszczenia zmienił nazwisko na Zebrycki, ale dumnie przyznawał się do polskich korzeni. To właśnie on zwrócił uwagę pisarza na niezmiernie ciekawą historię rodzinną, która znajdowała również potwierdzenie w dokumentach przechowywanych w nowojorskiej bibliotece Carnegiego. Przeglądając wskazane materiały, pisarz dowiedział się, że „w siedemnastym stuleciu, w kilkanaście lat po protoplastach Yankesów, przybyli do Ameryki Zebrycki i Liski. O Liskim (niezawodnie Łaskim) słuch zaginął, natomiast rodzina Zebryckich żyje dotychczas w mieście Jersey, leżącym naprzeciwko Nowego Yorku, po drugiej stronie rzeki Hudson. Jest ono jeszcze właścicielką znacznej ilości gruntów, na których stoi trzyćwierćmilionowe miasto, odziedziczonych w prostej linii po owym Zebryckim z Polski i jego małżonce Indiance”. Tak rozpoczęła się fascynacja pisarza kulturą i tradycjami Indian amerykańskich. Studiując w nowojorskich bibliotekach różnorodne dokumenty, z coraz większą sympatią i zainteresowaniem myślał o pierwotnych mieszkańcach Ameryki Północnej. By poznać lepiej zwyczaje Indian, odwiedził kilka rezerwatów. Był pod wrażeniem szlachetności, skromności i gościnności mieszkańców indiańskich osad. Niewątpliwie wpływ na jego poglądy wywarła też postawa Jacka Wheelbarrowa, Indianina z plemienia Siuksów, który zgłosił się do punktu rekrutacyjnego w Nowym Yorku, by zapisać się do polskiego wojska. Pisarz osobiście wciągnął go na listę ochotników i wypytał o pobudki takiej decyzji. Czerwonoskóry młodzieniec wyjaśnił, że bardziej od amerykańskich generałów

ceni Polaka Tadeusza Kościuszkę, który cały swój majątek uzyskany w uznaniu zasług w walce o niepodległość Stanów Zjednoczonych zapisał na wyswobodzenie niewolników murzyńskich. Polski generał, który nie myślał o sobie, ale o najbardziej uciśnionych, którego było stać na taką szlachetność, dla stanowił ideał człowieka dla młodego Indianina. Jack odpłynął z jednym z pierwszych batalionów na francuski front i poległ w pierwszej bitwie na polach Szampanii. Mało kto chyba wie, że w wydarzeniach związanych z naszą historią brał udział Indianin, który oddał życie za wolną Polskę. Pisarz jednak dobrze zapamiętał tego niezwykłego człowieka o „skrzących się, czarnych jak węgiel oczach i twarzy wykutej jak z kamienia, a jednak delikatnej i szlachetnej”. Czuł, że ma do spłacenia dług wdzięczności wobec synów „niszczonego z premedytacją plemienia indiańskiego”. W swoich powieściach pragnął przedstawić bohaterską walkę czerwonoskórych z bezzitosnym, doskonale uzbrojonym najeźdźcą. Zamierzał walczyć z ukazywanym w książkach i filmach stereotypem Indianina jako żadnego krwi dzikus, bez litości mordującego niewinnych białych osadników. Po Henryku Sienkiewiczze był drugim polskim pisarzem, który w swej twórczości podjął tematykę indiańską, i pierwszym, który uczynił Indian bohaterami powieści.

Dedykowana synowi Bolesławowi książka „Orli Szpon” opowiada o pierwszym Polaku wśród Indian amerykańskich. Akcja powieści toczy się w XVII wieku. Jej bohaterem jest Marek Zebrzydowski, młody kresowy szlachcic obdarzony przez autora nie tylko szlachetną choć porywczą naturą, ale i ciekawą, barwną biografią, w

której została zapisana jakaś cząstka historii mieszkańców dawnych ziem naddnieprzańskich. Marek, gdy miał 16 lat, został schwytany przez Tatarów i zawieziony na Krym, gdzie na targu niewolników sprzedano go handlarzowi czarnomorskiemu. Ciężko pracował przykuty do wiosła na galerze. W końcu jednak zdołał uciec z niewoli tatarskiej. Ukrywając się przed pościgiem, wędrował pieszo przez Macedonię, Bułgarię i Węgry. Wreszcie powrócił szczęśliwie do rodziny. W czasie wojny trzydziestoletniej zaciągnął się do słynnej chorągwi Lisowczyków. Walczył dzielnie, ale też pod wpływem towarzyszy z chorągwi zmienił wiarę. Został kalwinem. Ze zdumieniem, a później narastającą niechęcią przyjęto w domu tę decyzję. Dowiedziawszy się zatem od dawnych swych przyjaciół, iż dysydenci angielscy szukają schronienia za oceanem, postanowił pójść za ich przykładem. Za jeden guz szmaragdowy od kontusza stał się pasażerem małego żaglowca zmierzającego do Ameryki. W czasie burzy statek rozbił się u brzegów kontynentu amerykańskiego, a młodzieniec zginąłby niechybnie w paszczy rekina, gdyby na pomoc nie podeszła mu Wodna Lilia, córka wodza Delawarów, obserwująca całe zdarzenie. Wraz z ojcem Lotnym Jeleniem postanowiła zabrać uratowanego młodzieńca do osady indiańskiej. W drodze Marek miał okazję odwzajemnić się Indiance, ocalając jej życie przed atakiem korsarzy. Za okazaną dzielność został przyjęty do plemienia Delawarów. Poprowadził ich do zwycięskiej walki z korsarzami, ale przez swą szlachetność popełnił błąd – darował życie hersztowi rozbójników, który oskarżył go przed holenderskim gubernatorem. Marek jako ten, który sprzymierzył się z czerwonoskórymi w ataku na białych ludzi, został aresztowany i wkrótce miał zostać stracony. Uwolnili go indiańscy przyjaciele. Musiał teraz uciekać, ale wciąż tropił go herszt korsarzy, który wezwał na pomoc wrogie plemię Huronów. Wędrując wraz z Wodną Lilią ku ziemiom zaprzyjaźnionych Mohikanów, Marek trafił do kościółka angielskiego misjonarza. Tu właśnie odnalazł dawną wiarę ojców. Walczył dzielnie u boku Mohikanów i od Króla Filipa, wodza wszystkich sprzymierzonych nad Atlantykiem Indian, w uznaniu za swą odwagę i siłę otrzymał imię Orli Szpon. Brał też udział w obronie i odbudowie kościółka. Postrzelony przez herszta korsarzy omal nie zginął. W chorobie najczulszą opiekunką była mu Wodna Lilia. Misjonarz widząc, iż młodych połączyła gorąca miłość, po powrocie dzielnego Polaka do zdrowia przyjął oboje do kościoła katolickiego i udzielił im ślubu. Po śmierci Lotnego Jelenia Polak – Marek Zebrzydowski został wodzem

Humor żydowski

Żebrak Luzer, odziany w świąteczną bekieszę, przybył do Krynicy i zatrzymał się w żydowskim pensjonacie. Gdy po tygodniu przedłożono mu rachunek, okazało się, że gość nie ma złamanego szeląga przy duszy. Sprawa znalazła się w komisariacie policji, gdzie Luzera oskarżono o szalbierstwo. Przewodnik zadaje mu pytanie:

- Jeśli nie mieliście pieniędzy, to dlaczego wybraliście takie drogie uzdrowisko i taki drogi pensjonat?
Na to Żyd:
- Panie inspektorze! Dla mego zdrowia nic mi nie jest za drogą!

Według wierzeń żydowskich w przedostatnie święto Kuczek otwiera się nocą niebo, a Bóg wysłuchuje wszystkich swoich pobożnych petentów. Toteż nad rzeką zebrala się spora gromada Żydów. Zadarłszy głowy wypowiadają swoje życzenia: jeden chciałby wzbogacić się, drugi wydać córkę za męża, trzeci zostać ojcem potomka płci męskiej. Na uboczności – z podniesioną głową – stoi żebrak i coś tam szepcze.

- A ty czego sobie życzysz? – pyta prezes kahału.
- Chciałbym, żeby Stwórca powołał przed Swoją tron wszystkich moich konkurentów i żebym tylko ja jeden chodził w tym mieście po prośbie.

Przed wojną Żyd pochodzący z prowincji zgłasza się do lwowskiego Funduszu Bezrobocia i prosi o zasiłek.

- Kim jesteście z zawodu? – pyta urzędnik.
- Ja poluję na dzikie zwierzęta.
- A gdzie mieszkacie?
- W Bóbrce.
- Przecież tam nie ma dzikich zwierząt!
- Właśnie dlatego jestem bezrobotny.

Żyd galicyjski zjawia się u wiedeńskiego hurtownika.

- Chciałbym nabyć u pana kilka tuzinów jedwabnych pończoch.
Hurtownik przypatruje mu się uważnie.

- Hm... Odnoszę wrażenie, że miesiąc temu prosił mnie pan o jałmużnę...

- No i co z tego? U nas w Galicji najpierw się żebrze, a potem robi interesy. Wy zaś, wiedeńczycy, najpierw robicie interesy, a potem schodzicie na dziady.

Zaproszony na obiad ubogi krewny na próżno boryka się z kostkami chudego kurczaka.

- Sara – odzywa się pan domu do małżonki.
- Namów twego kuzyna, żeby jadł!

Na to krewniak:
- Trzeba było raczej namówić kurczątko, żeby jadło!

Miejscowy bogacz, czując zbliżającą się śmierć, nie skąpi ubogim jałmużną.

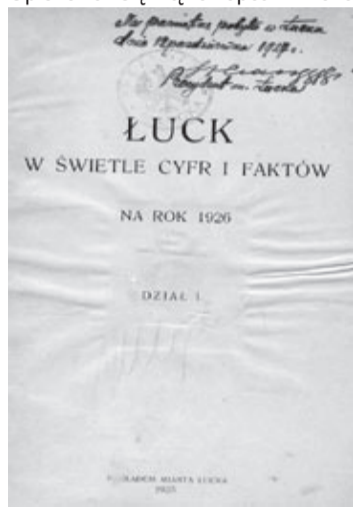
- Od kiedy tak ciężko zachorował – stwierdza jeden z żebraków – przestał być skąpcom.

- Głupcze! – śmieje się drugi. – Przecież on nas obdziela pieniędzmi swoich spadkobierców!

Horacy Safrin,
Przy sabasowych świecach

Delawarów i panem ich ziemi. Żył w przyjaźni z nowym gubernatorem Nowego Amsterdamu, czyli przyszłego Nowego Yorku. Szczęśliwy w małżeństwie z Wodną Lilią dochował się dwóch synów, których przygody opisuje kolejna powieść, dedykowana tym razem córeczce autora – Janeczce Zielińskiej.

Historyczne tło „Wodnej Lili” stanowi konflikt francusko-angielski, w który wciągnięte zostały plemiona indiańskie. Akcja powieści toczy się po śmierci Marka Zebrzydowskiego. Gdy zabrakło mądrego wodza, plemię podzieliło się na dwie grupy. Większość, podburzana przez Anglików, wybrała na przywódcę chytrego i okrutnego wojownika o imieniu Bawoli Róg. Nieliczni pozostali przy Wodnej Lili. Opiekowali się nią i chłopcami. Żona



Wydana w 1925 roku z inicjatywy Bolesława Zielińskiego książka „Łuck w świetle cyfr i faktów”, w której redagowaniu brała również udział babcia autorki Olimpia Marcinkowska z domu Martyńska, pracownica wydziału statystycznego łuckiego magistratu

Marka starała się wychować swoich synów na dzielnych i szlachetnych ludzi. O ile starszy z chłopców, bardzo podobny do ojca i noszący jego imię Marek, nazywany przez współplemieńców Jasnym Okiem, nie zawiodł matczynym nadziei, to młodszy – Jerzy był człowiekiem złym, podstępny i przebiegły. Nienawidził swojego brata, gdyż marzył, by zostać wodzem Delawarów. Jerzy, nie na darmo nazywany Krwawym Metysem, pragnął zostać wielkim wojownikiem, mordując białych ludzi. Ku rozpaczy matki wraz z Bawolim Rogiem zaplanował i przeprowadził atak na osadę kwakrów, którzy od lat żyli w przyjaźni ze wszystkimi indiańskimi plemionami. Wodna Lilia nie zdołała ostrzec osadników, ale zdążyła uratować Janeczkę, córeczkę jednego z nich. Uciekając z dzieckiem przed okrucieństwem pobratymców, trafiła do francuskiego fortu, gdzie – jako żona słynnego z odwagi Polaka – została bardzo gościnnie przyjęta. Kiedy Marek odnalazł matkę, obiecał jej odwiedzić Janeczkę do rodziny w Filadelfii. Przyrzeczenia tego dotrzymał. Tymczasem Wodna Lilia, pragnąc odwzajemnić się gościnnym Francuzom, obiecała pomóc misjonarzowi ojcu Marquette, którego gubernator wobec spodziewanej wojny z Anglikami wysyłał w daleką podróż w głąb kontynentu dla nawiązania kontaktów z plemionami indiańskimi. W czasie tej wyprawy wędrowcy przeżyli mnóstwo przygód. Rywalizacja między Anglikami i Francuzami wkrótce przerodziła się w krwawą walkę. Po jednej i po drugiej stronie opowiedziały się indiańskie plemiona. Francuzom udało

się schwycić Krwawego Metysa. Za zbrodnie dokonane na białych osadnikach skazano go na śmierć. Podczas egzekucji Wodna Lilia zasłoniła Jerzego własną pierś. To właśnie ona zginęła w nadziei, że gubernator, szanujący bardzo jej męża Polaka, ulaskawi syna. Tak się też stało. Z kolei Jasne Oko został wkrótce wybrany wodzem Delawarów, a gdy Janeczka dorosła, poprosił ją o rękę. Powieść nie kończy się jednak optymistycznie, zapowiada bowiem walkę białych osadników przeciw Indianom, prawowitym panom kontynentu amerykańskiego.

Dla uważnego czytelnika indiańskie powieści Bolesława Zielińskiego są doskonałą lekcją historii Ameryki Północnej. Autor wplata w akcję książek wiele ważnych wydarzeń z dziejów kontynentu, na przykład przybycie w 1620 roku na statku Mayflower pierwszych kolonistów angielskich, losy wojny angielsko-francuskiej, odkrycia francuskiego misjonarza ojca Marquette. Opisując przygody Marka Zebrzydowskiego, a później jego dzielnej żony, przedstawia interesujące szczegóły na temat początków istnienia takich miast jak Nowy York, Filadelfia czy Chicago. Wprowadza na karty swoich powieści autentyczne postacie historyczne. To holenderski gubernator van Kieft, rezydujący w Nowym Amsterdamie oraz jego następca Stuyversant, indiański przywódca Król Filip, przywódca angielskich kwakrów William Penn, jeden z najokrutniejszych i najkrwawszych piratów XVII wieku kapitan Kidd, angielski gubernator Fletcher czy francuski gubernator Frontenac.

Choć akcja obydwu powieści toczy się na kontynencie amerykańskim, autor zdaje się doszukiwać analogii między walką Indian z białymi osadnikami a walką Polaków o niepodległość. Współczesnemu czytelnikowi uwagi autora w stylu: „Z oczu Marka bił taki bojowy zapał, jakim chyba tylko Polak poszczycić się może” lub „Któryż z Polaków nie wzruszyłby się, gdyby na obczyźnie (...) usłyszał głos sygnaturki, wzywającej wiernych na Anioł Pański” – zapewne wydadzą się nieznosnym dydaktyzmem, ale dla starszego pokolenia są dowodem wzruszającej dumy z bycia Polakiem, przekonania, że „Bóg, Honor, Ojczyzna” to sprawy najważniejsze. Nie wolno však zapominać, że autor książek był hallerczykiem, że z Błękitną Armią przeszedł szlak bojowy i własną krwią dał dowód miłości do ojczyzny.

Bolesław Zieliński jest też autorem wydanej w 1931 roku we Lwowie nakładem Drukarni Urzędniczej sensacyjnej powieści „Między miłością a zbrodnią”, osnutej na tle życia Habsburgów, a także opublikowanej przez Główną Księgarnię Wojskową w Warszawie w 1939 roku książki „Ostatni wigwam”, która stanowi opowiadanie o życiu i zwyczajach Indian Ameryki Północnej na tle listów z podróży geografów Catlina z jego 54 ilustracjami i 3 mapkami oraz urzędowych materiałów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. W „Ostatnim wigwamie” pisarz przedstawia między innymi postać polskiego emigranta Mariana Zajączka, który w 1932 roku w Seattle, stolicy stanu Washington, kandydował do Kongresu Stanów Zjednoczonych, a najważniejszym hasłem jego programu była poprawa doli Indian. Polak jako kongresmen cały swój wysiłek skierował na to, aby – jak pisze Bolesław

Zieliński – „jedynych prawdziwych Amerykanów zrobić pełnowartościowymi obywatelami Ameryki”. Autor opowiada również historię indiańskiej kompanii, sformowanej przez Irokeza Joe Smitha, komendanta i instruktora trzeciego batalionu Armii Polskiej, rekrutowanej na terenie Stanów Zjednoczonych i Kanady. Składająca się z Indian kompania pospieszyła na front francuski. W walce wślawiła się męstwem. Pod Ypres wyginęli niemal wszyscy dzielni czerwonoskórzy żołnierze. Dowódca ciężko ranny wrócił do Stanów Zjednoczonych, a po wyzdrowieniu jako instruktor szkolił polskich rekrutów w obozie Niagara on the Lake. Bolesław Zieliński wspomina: „Polubił on polskich chwatów i żył z nimi. Bywało, że po służbie wkraadał się do baraku, w którym



Ilustracja do książki „Wodna Lilia”. Dwaj synowie kresowego szlachcica Marka Zebrzydowskiego (Orlego Szponu) – Marek (Jasne Oko) i Jerzy (Krwawy Metys) przy łożu umierającej matki Wodnej Lili

przebywali nasi aspiranci na oficerów i wraz z nimi niejedną kolejkę wody ognistej wypijał. Kochał on Polaków, a Polacy jego”.

Już niemal od początku XX wieku książki Bolesława Zielińskiego cieszyły się niesłabnącą popularnością. Po raz pierwszy „Orli Szpon” i „Wodną Lilię” wydała w 1922 roku lwowskie Wydawnictwo Michała Kowalskiego. W czasie wojny, w 1944 roku, to samo wydawnictwo pokusiło się o wznowienie obydwu książek, które opatrzone były ilustracjami Stanisława Raczynskiego. Ich okładki projektował członek Związku Lwowskich Artystów Grafików Zygmunt Acedański. W latach dwudziestych powieści opublikowało też Wydawnictwo „Hejnał” należące do Księgarni Towarzystwa Szkoły Ludowej Lwów – Kraków. Ono również dokonało wznowienia obydwu powieści w 1932 roku. Po raz pierwszy po wojnie „Orli Szpon” i „Wodną Lilię” wydało w 1991 roku szczecińskie Wydawnictwo „Glob”. Do tej pory było to jedyne powojenne wznowienie poczytnej powieści o przygodach pierwszego wśród Indian Polaka.

Z postacią dra Bolesława Zielińskiego i jego książkami wiąże się również moja rodzinna historia. Moja babcia Olimpia Marcinkowska z domu Martyńska pracowała jako kancelistka w Wydziale Statystycznym łuckiego Magistratu. Za prezydentury Bolesława Zielińskiego brała udział w przygotowaniu dwóch wcześniej wspomnianych wydawnictw: „Łuck w świetle cyfr i faktów” oraz „Łuck w obrazach”. Od prezydenta Zielińskiego otrzymała z własnoręcznie wpisaną dedykacją jego powieść „Orli Szpon”, która stała się jedną z

ulubionych książek mojego ojca Tadeusza Marcinkowskiego. Była dla niego na tyle ważna, że w chwili największej tragedii, gdy po uwięzieniu jego ojca Jana Marcinkowskiego, uczestnika wojny polsko-bolszewickiej, komendanta powiatowego Związku Strzeleckiego, pracownika Sądu Okręgowego w Łucku, rodzinę Marcinkowskich wywożono na zesłanie, przerażony chłopiec wrzucił ją do pospiesznie pakowanych pod okiem enkawudzystów tobołków. Na Syberii powieść Bolesława Zielińskiego mój ojciec dosłownie wyczytał na pamięć. Było w niej to, o czym wśród syberyjskich śniegów marzył mały chłopiec: wielka przygoda, szlachetni bohaterowie i coś bardzo ważnego – duma z bycia Polakiem. Słowa: „ale od czego młodość i twarzą polska natura” na zesłaniu nabi-



Kto i kiedy zbudował zamek w Czernelicy?

Najpopularniejszym zabytkiem historycznym pokuckiego miasteczka jest XVII-wieczny zamek bastionowy, który tradycja wiąże z Michałem Jerzym Czartoryskim i jego żoną Eufroziną ze Stanisławskich. Co o okolicznościach powstania zamku mogą nam opowiedzieć zachowane do dziś źródła archiwalne?

WITALIJ NAGIRNYJ tekst
ŁARYSA POLISZCZUK
zdjęcia

Pierwszych śladów fortyfikacji na terenach dzisiejszej Czernelicy niektórzy historycy doszukują się jeszcze w połowie XV wieku (W. Nykyforczuk, R. Smereczanski). Przesłanki do tego daje akt podziału dóbr między Michałem i Janem Buczackimi, datowany na 11 maja 1469 roku, opublikowany w „Aktach Grodzkich i Ziemskich” (dalej: AGZ). W dokumencie tym wspomniane zostały różne miejscowości pokuckie i podolskie z „fortalicimus”, w tym też Czernelica. Przyglądając się jednak bliżej tej wzmiance, zobaczymy, że konstrukcja zdania w tym akcie nie pozwala z całą pewnością powiązać wspomniane „zameczki/dwory obronne” z Czernelicą. Informacja o fortyfikacjach obronnych w dokumencie z 1469 roku miała charakter ogólny i mogła dotyczyć dowolnej ze wspomnianych miejscowości. O istnieniu zameczku czy chociażby dworu obronnego w Czernelicy także nic nie wspominają ani akta halickiego sądu grodzkiego z lat 90-tych XV wieku, ani opisy posiadłości Buczackich i Jazłowieckich w XVI i na początku XVII wieku. Fakt, iż w ciągu następných dwóch stuleci w źródłach nie pojawiają się żadne dane o możliwych fortyfikacjach w Czernelicy, pozwala moim zdaniem uważać, że zamek obronny w tej miejscowości powstał nie wcześniej niż w pierwszej połowie XVII wieku.

Zamek w Czernelicy często nazywany jest „Zamkiem Czartoryskich”.

Antoniego Prochaskę w „AGZ”. W 35. paragrafie instrukcji zapisano, że posłowie mieli ubiegać się o rekompensatę kosztów dla księcia Michała Czartoryskiego za „ufortyfikowanie zamku we wsi Czerlenicy... fortecę zdawną zaczęta krajom Pokuckim i wszyskiej Rzptej potrzebna”. Jak wynika ze wspomnianej instrukcji, w lutym 1659 roku zamek w Czernelicy był już ukończony. Co się tyczy jego fundatora, to stwierdzić możemy tylko to, że zamek ukończono ze środków księcia Michała Czartoryskiego. Jednakże informacje pochodzące z tego dokumentu nie dają jasnej odpowiedzi na pytanie, kiedy dokładnie rozpoczęto budowę zamku, kto był jego założycielem oraz któremu architektowi zawdzięczamy projekt zamku.

W dokumencie tym napotykamy sformułowanie „forteca, z dawna zaczęta”, co wyraźnie mówi nam, że budowa zamku została rozpoczęta wcześniej i że jej ukończenie było procesem długotrwałym. Jakiego więc czasu sięgają początki zamku? Przy obecnym stanie badań można stwierdzić, że prace budowlane były rozpoczęte nie później niż w 1636 roku. Podstawą do takiego stwierdzenia jest dokument, zachowany wśród aktów halickiego sądu ziemskiego, datowany na 1636 rok i częściowo opublikowany przez Władysława Łozińskiego. Dowiadujemy się z niego o konflikcie między wojewodą kijowskim Januszem Tyszkiewiczem a jego teściową, Jadwigą Belzecką, do której w tym czasie należała Czernelica (szerzej o ówczesnych właścicielach Czernelicy w poprzed-



Herb Czartoryskich Pogoń na stronie zewnętrznej wieży wjazdowej

Jazłowieckim z 1622 roku, nie znajdujemy żadnych informacji o fortyfikacjach w Czernelicy. Pozwala to uznać, że początki zamku w Czernelicy sięgają okresu między 1622 a 1636 rokiem.

Jaka jest natomiast odpowiedź na pytanie kto zainicjował budowę zamku w Czernelicy? Jak już wspomniano, historycy wiążą początki budowy zamku z księciem Michałem Jerzym Czartoryskim, starostą kamie-

licy, dała początek budowie zamku w pokuckim miasteczku.

Warto rozważyć jeszcze dwie kwestie – jaki był związek z budową zamku Michała Jerzego Czartoryskiego i jego żony Eufrozyny oraz kto z XVII-wiecznych architektów mógł być budowniczym zamku.

Michał Czartoryski, otrzymał Czernelicę jako wiano od swej żony Eufrozyny, co nie ulega wątpliwości. Po śmierci w 1641 roku Jadwigi

tockiego, a po jego śmierci (1648), została żoną Michała Czartoryskiego (1650). Dopiero od tego czasu książę Czartoryski otrzymał możliwość władania Czernelicą. To właśnie on inicjował ukończenie fortecy w miasteczku i z jego środków zamek został ukończony. Jak stwierdziliśmy, ukończenie twierdzy miało miejsce przed lutym 1659 roku.

Niestety, źródła nie mówią nam według czyjego projektu powstał zamek czernelicki. Możemy tylko stwierdzić, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, było przynajmniej dwóch budowniczych. Przy wnikliwej analizie konstrukcji budowli zamkowych widać, że forteca przeszła co najmniej dwie główne fazy budowy. W dolnej części murów, a także w drugim i trzecim bastionie, wyraźnie widać podobieństwo do odpowiednich fragmentów zamku w Jazłowcu. Pozwala to wysnuć przypuszczenie, że założenie zamku odbywało się według projektu jednego z architektów, pracujących na początku XVII wieku przy dworze Jazłowieckich (Buczackich) w Jazłowcu. Natomiast nieco inny styl budownictwa zauważamy w górnych częściach wieży wjazdowej i murach, otaczających pierwszy i czwarty bastiony. Zarówno ten styl, jak i spora różnica czasowa między początkiem budowy i ukończeniem zamku pozwalają uważać, że zamek ukończył przedstawiciel innej szkoły architektonicznej. Możliwe, że był to Francesco Corrasini, który budował twierdzę w Stanisławowie, do czego przychylił się współczesny polski historyk Marek Wagner.

Podsumowując, możemy uznać, że budowa zamku czernelickiego rozpoczęła się między 1622 a 1636 rokiem i była zainicjowana przez ówczesną właścicielkę miasteczka Jadwigę z Jazłowieckich Belzecką. Po śmierci Jadwigi, klucz czernelicki z miasteczkiem i niedobudowanym zamkiem przeszedł do Stanisławskich a od nich, przez Eufrozinę Stanisławską, do księcia Michała Jerzego Czartoryskiego, który inicjował odnowienie budowy zamku i ukończył go przed początkiem 1659 roku. Właśnie książę Czartoryski nadał fortecy kształt, znany nam z późniejszych, XVIII-wiecznych opisów. W swej budowie zamek przeszedł co najmniej dwie fazy. Założony według projektu jednego z architektów jazłowieckich, ukończony został prawdopodobnie przez Francesco Corrasiniego, włoskiego oficera w służbie polskiej, który był związany również z budową twierdzy w Stanisławowie. Na razie jednak, nie możemy jednoznacznie potwierdzić tej tezy. Jak widać, szukając źródeł do historii zamku czernelickiego, można zobaczyć jednocześnie fascynującą historię całego regionu pokuckiego i przybliżyć postaci, po których pamiętki materialne pozostały widoczne aż do dnia dzisiejszego, mimo wielu burz dziejowych.



Fragment północno-wschodniego bastionu z czasów Jazłowieckich, widok z wewnętrznej strony

W literaturze naukowej jak i w pamięci ludowej jako założycieli zamku określa się żyjących w XVII wieku Michała Jerzego Czartoryskiego i jego żonę Eufrozinę ze Stanisławskich Czartoryską (o legendach ludowych zob. kolejny numer KG), których resztki herbów rodowych znajdują się do dziś w ruinach zamku (Pogoń i Pilawa). Źródłem, które mówi nam o związkach Czartoryskiego z zamkiem w Czernelicy, jest „Instrukcja sejmiku halickiego” dla posłów na sejm walny w Warszawie z 25 lutego 1659 roku, opublikowana przez

nim nr KG). W trakcie wspomnianego konfliktu Tyszkiewicz najechał posiadłości Jadwigi, która skarżyła się królowi, że jej zięć zniszczył miasto Jazłowiec, Gródek, Zaleszczyki, a także klucz czernelicki i „miasteczko Czerlenica z zamkiem”.

Dokument ten jest pierwszą znaną na dziś jednoznaczną informacją o istnieniu zamku w Czernelicy. Na jego podstawie możemy stwierdzić, że w 1636 roku forteca w pokuckim miasteczku była już założona. Z drugiej strony, w akcie podziału spadku po Hieronimie

nieckim, a od 1661 roku wojewodą wolińskim i jego żoną, Eufroziną ze Stanisławskich. Jednakże, przedstawione wyżej fakty podważają tę ogólną przyjętą tezę. Jak wiemy, w 1636 roku Czernelica nie należała jeszcze do Czartoryskich – jej właścicielką w latach 1622–1641 była Jadwiga Belzecka z Jazłowieckich, córka hetmana wielkiego koronnego Jerzego Jazłowieckiego i wdowa po rotmistrzu Andrzeju Belzeckim (zob. poprzedni numer KG). Możemy zatem uważać, że to właśnie Jadwiga Belzecka, jako właścicielka Czerneli-

Belzeckiej, jej majątek odziedziczyli głównie Czuryłowie (jedyna córka Jadwigi zmarła wcześniej od matki), w tym Marianna Stanisławska z Czuryłów, żona kasztelana kamienieckiego Michała Stanisławskiego. Z zachowanych dokumentów z końca XVII wieku, znajdujących się w Lwowskim Archiwum Historycznym wiemy, że to właśnie Marianna odziedziczyła Czernelicę wraz z nieukończonym zamkiem. Posiadłości te przekazała ona swej jedynej córce – Eufrozinie Stanisławskiej, która najpierw wyszła za starostę śniatyńskiego Piotra Po-

Z róży wyrasta róža

Na kijowskim majdanie Niepodległości WOJCIECH JAN-KOWSKI spotkał ludzi z działającego w Kijowie polskiego towarzystwa Zgoda. Stali z polską flagą. Na jej widok do grupy podeszła kobieta. Podczas rozmowy opowiedziała historię swojej rodziny.



Walentyna Młynowa

WALENTYNA MŁYNOWA:

Urodziłam się na Uralu. Nazywam się Walentyna Młynowa. Po matce jestem Polką. Moi przodkowie byli Polakami, których jeszcze za czasów carskich zesłano na Ural. O tym, że byli zesłańcami, dowiedziałam się dopiero gdy skończyłam 15 lat. Do tego czasu nie wiedziałam kim jesteśmy. Myślałam, że moja babcia i mama mają pochodzenie ukraińskie. Dlatego chciałam przyjechać na Ukrainę, lubiłam wszystko, co ukraińskie. Przypadkiem kiedyś zapytałam babci kim jesteśmy i ona powiedziała, że nie jesteśmy Ukraińcami ale Polakami. Bardzo płakała opowiadając mi, jak na Uralu zamordowano jej ojca. A zamordowano go brutalnie i na tyle bestialsko, że wstrząsnęło to mną. Bałam się wypytywać ją o okoliczności, to było straszne. Tak straszne, że dopiero po wielu latach, niedawno, opowiedziałam pewnemu obcemu człowiekowi, w jaki sposób go zamordowano, na tyle to było przerażające.

Na pamiętkę o moich bliskich – mamie, babci, prababci, pradziadku – zaczęłam się interesować wszystkim co polskie. Przejęłam się, myślę że to odpowiedzialność za pamięć o nich. Doświadczyli oni niesprawiedliwości. Dlaczego tam trafili? Od ojczyzny dzieliły ich tysiące kilometrów, mieszkali w lasach uralskich wśród Baszkirów i Tatarów.

Po raz pierwszy z językiem polskim spotkałam się na uniwersytecie w Ufie. Na pierwszym roku mieliśmy lektoraty językowe w ramach dodatkowych zajęć, przekonałam wszystkich by wybrali język polski. Byłam najlepszą uczennicą, co dawało mi uczucie szczęścia. Babcia umarła niedługo potem, nie usłyszała jak mówię po polsku. Kiedy pytałam ją skąd jesteśmy w odpowiedzi płakała, a dźwięki nieznanego mi języka były dla mego ucha dziwne, więc nie mogę powiedzieć dokładnie że dobrze usłyszałam nazwę miejscowości, skąd pochodzili. Wydaje mi się że mówiła o Żeniwkowcach koło Łatyczowa. Obecnie są to tereny w obwodzie chmielnickim.

Staralam się przyjechać na Ukrainę w poszukiwaniu korzeni i choć po skończeniu uniwersytetu miałam skierowanie do pracy w Baszkirii, udało mi się przenieść na Ukrainę. I tu, po raz pierwszy, zobaczyłam z daleka Polaków. Były to lata 80. Serce mi bardzo kołatało, nie wiedziałam jak mam do nich podejść. Poza tym ostrzegano mnie, żebym „nigdy nie zbliżała się do Polaków, oszukają cię, jesteś naiwna”.

A kto tak mówił?

Dyrektor szkoły pod Tarnopolem, gdzie pracowałam jako nauczycielka. Okazało się, że tam u nas w Baszkirii było bardzo dużo Polaków. Wcześniej nie wiedziałam o tym. Idzie czło-

wiek – przecież nie jest na nim napisane, że Polak! Babcia mówiła, że znała tam tylko pięć polskich rodzin. Ale niedawno dowiedziałam się, że Polaków było tam dużo, był kościół, gimnazjum polskie. Próbowałam szukać w archiwach, po przeprowadzce na Ukrainę, ale muszę się przyznać – nie udało mi się jeszcze trafić do miejscowości, którą wymieniała moja babcia. Nie byłam pewna nazwy. Potem wyszłam za męża, miałam inne problemy, poszukiwania odsunęłam na drugi plan.

Jak zaczęła pani czytać po polsku?

Nie od razu umiałam czytać po polsku. W bibliotece w Ufie zobaczyłam książki polskie wydane w XIX wieku, co było dla mnie wielkim odkryciem. Przepisywałam Mickiewicza do zeszytu literami „angielskimi”, nie umiejąc ich odczytywać. Na pierwszym roku studiów, po półrocznej praktyce z języka polskiego nauczyłam się czytać. Na uniwersytecie był profesor Wasiliew, wykladał literaturę słowiańską. Pewnego razu na wykładzie z literatury polskiej wymienił nam nazwiska polskich pisarzy i poetów, ale ja już je znałam. Mówił, na przykład, do studentów: „Prus”, to ja krzychałam: „Bolesław”, on: „Nałkowska”, ja: „Zofia”, on: „Konopnicka”, ja: „Maria”. Zwrócił na mnie uwagę, bo byłam jedyną osobą w audytorium, która znała nazwiska pisarzy polskich.

Mieliśmy młodego wykładowcę, chyba historii. Był Polakiem o nazwisku Budyłowicz. Na jednym z wykładów zapytał, czy są na sali Polacy. Nie przyznałam się wówczas, traktuję to jak grzech, noszę to w sercu. Nie przyznałam się, bo się bałam, że nie potrafię nic po polsku powiedzieć ani opowiedzieć – przecież jestem w trzecim pokoleniu. I bałam się, że będą się ze mnie śmiać, że Polka, a po polsku nie umie. To mnie później przez wiele lat męczyło.

Później, kiedy już wyszłam za męża na Ukrainę, do wioski w Tarnopolskiem, nie miałam żadnych książek w języku polskim. Ale zawsze przyznawałam się do swojej polskości. Mówili mi ludzie, żeby o tym nie mówić. Bo to nie Polska, to Ukraina Zachodnia. Ja historii nie znalazłam, urodziłam się na Uralu, zaszczyty historyczne nie były mi znane. Nie rozumiałam, dlaczego nie można wśród Ukraińców mówić, że jestem Polką.

Kiedyś zobaczyłam taki rysunek: granica, po jednej stronie rosło drzewo, które zostało ścięte i spadło na drugą stronę tej granicy. W mojej wyobraźni to drzewo symbolizuje polską rodzinę – ścięli i rzucili za granicę. Liście żółkły, opadły i zeschnęły.

A po polskiej stronie z pnia zaczynają wyrastać pędy zielone. Ja jestem tym pożółkłym liściem – nie znam języka polskiego. Język polski słyszałam w telewizji, na studiach na Uralu, ale kiedy usłyszałam jak mówią prawdziwi zwykli Polacy – słuchałam z drżeniem w sercu! Wy tego zrozumieć nie możecie, a ja tym żyłam. W Kijowie w Instytucie Polskim wypożyczam książki po polsku. Ostatnio przeczytałam książki Chmielewskiej i „Pana Wołodyjowskiego” Sienkiewicza. Teraz kończę Potop. Poprzez czytanie dużo zaczęłam rozumieć. Mówić płynnie jeszcze nie mogę, bo nie mam wprawy. Zapisalam się do Towarzystwa Kultury Polskiej w Kijowie.

Moja córka wyrosła, udala się nie w ukraińską, a w polską rodzinę. Babcia opowiadała, że jej siostra Helena miała ładny głos. Mieszkali na futorze, mieli sporo ziemi. Helena śpiewała, a z okolic przychodzili ludzie żeby słuchać jej głosu. Córka udala się do niej. Dzięki cudownemu głosowi, trafiła na koncert z udziałem prezydenta Kuczmy, on pomógł załatwić dla niej w Kijowie operację nosa. Potem dzięki znanym śpiewaczkom ukraińskim Eugenii Miroszniczenko i Ninie Matwijenko została przyjęta na studia w konserwatorium w Kijowie. Stypendium jako najlepsza uczennica otrzymała od następnego prezydenta Juszczenki.

Moim marzeniem jest żeby córka wyjechała do Polski na staż, znalazła tam swoje miejsce. Może jest to śmieszne, może naiwne, ale myślę, że przodkowie by się ucieszyli. Złożyliśmy dokumenty na stypendium Gaude Polonia, modliłyśmy się, wierzyłyśmy. Czekaliśmy długo. Przyszła odmowa. To był cios.

Przyszłam tu na Majdan i widzę – polska flaga! Ucieszyłam się, podeszłam. Proszę mi wybaczyć, ale dla mnie jest to bardzo cenne. Mój mąż jest Ukraińcem i nawet nazwisko ma takie: Ukrainiec. Często się sprzecamy. On mówi: Polacy nas gnębili, ja mówię: a może było za co? O tragedii na Wołyniu dowiedziałam się dopiero tutaj, na Ukrainie. Myślę, że jest w tym wina Ukraińców, przecież nie o walkę wojska z wojskiem tu chodziło, a o bezbronnych zwykłych ludzi. Ale uważam, że lepszego przyjaciela Ukraina nie ma. Polska robiła wszystko by Ukrainie pomóc. Nie urodziłam się tutaj, może nie wszystko rozumiem, nie znam dokładnie historii Ukrainy, ale patrzę i widzę obecną Ukrainę. Ukraina wschodnia została zniszczona przez Stalina, wyniszczono inteligencję, elity. Z róży wyrasta róža, z łopianu – łopian. Jeśli ktoś mówi, że nie mamy inteligencji, nie zgadzam się – to ty nią jesteś! Nie ma kto powstać – to ty powstań!

Dlaczego przychodzi Pani na Majdan?

Bo tu są najlepsi ludzie, nie baczając na to, że są biednie ubrani. Nawet jeśli teraz nam się nie uda, uda się później. Wynajmujemy z córką mieszkanie na obrzeżach Kijowa, brałyśmy sześć osób na nocleg. Każdy porządny człowiek na Ukrainie musi zrobić wszystko by się wyzwolić.

Oplątkowe spotkanie PTOOnGW

Spotkanie oplątkowe Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi odbyło się 8 stycznia w gościnnej restauracji „Premiera Lwowska”.



KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst i zdjęcia

Członkowie Towarzystwa zgromadzili się w świątecznie udekorowanej sali. Spotkanie oplątkowe zaszczytli swoją obecnością konsulowie Longina Putka i Marian Orlikowski. TKPZL reprezentowali Barbara i Emil Legowiczowie i Ewelina Małanicz, a Teresa Dutkiewicz – Federację Organizacji Polskich na Ukrainie.

O. Piotr z kościoła św. Antoniego zaintonował kolędę „Wśród nocnej ciszy” i błogosławiąc oplątki podkreślił:



„Łamanie się oplątkiem jest tradycją, która łączy nasz naród i łączy nasze rodziny. Oplątek składa się z wielu ziarenek pszenicy i wy, opiekując się grobami wojskowymi, wspólnie tworzyście dzieło. To jednoczy was i sprawia, że jesteście wspólnotą. Przy tym tradycyjnym łamaniu się oplątkiem chcę wam wszystkim złożyć życzenia, aby wasze dzieło przynosiło jak najwięcej dobrych owoców, żeby to dzieło was jednoczyło, a opieka nad grobami przodków pokazywała piękno tradycji, piękno kultury i piękno cywilizacji ludzi, którzy już odeszli, oddając swoje życie za ojczyznę. Niech nas to bycie razem napelnia tymi wszystkimi da-

rami, które potrzebujecie: jednością, pokojem i zgodą. Niech dobry Bóg wam błogosławi”.

Po błogosławieństwie oplątków i modlitwie, zebrani podzieliili się nimi, składając sobie życzenie. Czego sobie życzyli? Przede wszystkim zdrowia, bo średnia wieku członków Towarzystwa jest wysoka i nie wszyscy czują się najlepiej, ale jednak swoją działalność uważają za misję i w miarę swoich sił starają się z niej wywiązywać. Prezes PTOOnGW Jan Franczuk pochwalił się, że Towarzystwo dobrze jest przygotowane

do zimy. Ma odpowiedni sprzęt do oczyszczania Cmentarza Orląt. Życzył też zebranym sił i wytrwałości do dalszej działalności.

Zabrzmiały kolędy, które śpiewano wspólnie, omówiono tegoroczne osiągnięcia i snuto plany na przyszłość. A prac jest nie mało: utrzymanie w porządku Cmentarza Orląt, grobów żołnierzy z 1920 roku w Busku, Zadwórzcu i Horpyniu, a także licznych mogił zbiorowych żołnierzy z września 1939 roku. Wiele z tych obiektów wymaga stałej opieki i drobnych prac remontowych, ale rozrzucenie w terenie też stwarza dodatkowe trudności w ich należytych utrzymaniu.

KG

Pomoc dla Michała

Michał Łopuszański ma 32 lata, mieszka w jednej z podlwowskich wsi. Michał jest po udarze mózgu, spowodowanym zatorem w zyle szyjnej. Późna diagnoza spowodowała, że nastąpiła martwica komórek mózgowych, w wyniku której usunięto część mózgu. Dziś Michał ma sparaliżowaną lewą stronę, prawie się nie porusza i nie mówi. Wymaga ciągłej rehabilitacji i drogich leków. Zwracamy się z prośbą do Czytelników Kuriera o pomoc dla Michała.

Wpłaty prosimy kierować na konto fundacji: BGŻ SA 23 2030 0045 1110 0000 0222 0700 z dopiskiem – Michał Łopuszański

Monika Narmuntowska-Michalak
Fundacja dr Mosinga, Zielona Góra

Zapraszamy młodzież polskojęzyczną do wzięcia udziału V edycji Konkursu „Być Polakiem”

12 października 2013 roku, w gmachu Ambasady RP w Londynie zainaugurowano uroczyste V edycję konkursu „Być Polakiem”.

Witold Sobków – ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w Zjednoczonym Królestwie Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, wręczył dyplomy młodym laureatom IV edycji konkursu, a Joanna Fabisiak – prezes Fundacji „Świat na Tak” – podsumowała IV edycję, na którą wpłynęło 367 prac z 27 krajów świata.

Tematem przewodnim nadchodzącej V edycji konkursu będą obchody 70. rocznicy Powstania Warszawskiego, którego „martyrologia zapisała się olbrzymimi ranami w historii Polski. Swoją szczególnie udział mieli w nim najmłodszy, kilkunastoletni mieszkańcy Warszawy, którzy byli wtedy w wieku uczestników Konkursu „Być Polakiem”. Dlatego warto, aby właśnie młodzi Polacy za granicą pamiętali o swoich rówieśnikach z 1944 roku, a w przyszłości przekazywali tę wiedzę następnym pokoleniom” (Joanna Fabisiak). Patronat nad V edycją konkursu „Być Polakiem” w ramach Patronatu Narodowego objął Prezydent RP Bronisław Komorowski.

Jeśli masz 9–25 lat, znasz polski ale żyjesz za granicą, lubisz Polskę i chcesz przyjechać do Ojczyzny przodków, prześlij pracę pisemną lub multimedialną na jeden z tematów:

I. Ballada o okaleczonym mieście – Powstanie Warszawskie 1944: (np. wspomnienia rodzinne, rozmowa z



Małym Powstańcem, czas trudnych wyborów).

II. Polskie drogi do wolności (wojenne losy Polaków – Narvik, Tobruk, Monte Casino; ku wolnej Polsce – działania niepodległościowe Polaków poza granicami kraju; relacje świadków).

III. Polska moich marzeń.

Aby wziąć udział w konkursie musisz:

1. Wypełnić formularz zgłoszeniowy dostępny na stronie internetowej www.swiatnatak.pl oraz przesłać swoją pracę zgodnie z regulaminem.

2. Zapoznać się z tematami prac i do 28 marca 2014 r. podzielić się z nami swoimi pomysłami.

Decyduje data stempla pocztowego. Na zwycięzców czekają atrakcyjne nagrody, w tym wyjazd do Polski, zwiedzanie Sejmu RP, uroczysta gala wręczenia nagród w Zamku Królewskim w Warszawie!

Kalendarz:

28 marca 2014 r. – końcowy termin nadsyłania prac

9 – 10 maja 2014 r. – eliminacje – obrady jury

1 lipca 2014 r. – uroczysta gala finałowa V edycji konkursu „Być Polakiem”

3 – 9 lipca 2013 r. – wyjazd edukacyjny po Polsce (niespodzianka)

1. Prace pisemne (pliki z rozszerzeniem doc., docx., pdf.) nie mogą być dłuższe niż 10 000 znaków i przekraczać 4 stron formatu A 4, pisanych czcionką 12. Należy używać polskich znaków. Można przysłać prace starannie napisane ręcznie.

2. Prace multimedialne nie mogą być dłuższe niż 10 minut. Prace te mogą być przesłane w formatach divx, mov, avi, wmv, mpeg, mp3, mp4, iphone, a prezentacje w formatach ppt, pptx i nie mogą przekraczać 20 slajdów.

Sposób przesłania prac do organizatora:

- elektronicznie na adres bycpolakiem@swiatnatak.pl z podaniem w temacie maila imienia i nazwiska autora pracy oraz tytułu pracy

- na płycie CD lub DVD, nośniku USB lub SD;

- w formie papierowej na adres: Fundacja „Świat na Tak” Al. J. Ch. Szucha 27, 00-580 Warszawa (z dopiskiem konkurs „Być Polakiem”).

Współorganizatorami konkursu „Być Polakiem” są: Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, Europejska Unia Wspólnot Polonijnych, Ośrodek Rozwoju Polskiej Edukacji za Granicą, Zjednoczenie Polek na Emigracji oraz Fundacja „Świat na Tak”.



Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość, że w dniu 29 grudnia 2013 roku zmarł

WOJCIECH KILAR

urodzony i głęboko związany ze Lwowem światowej sławy kompozytor, wielki Polak i patriota, który łączył w sobie boski talent z ludzką skromnością

Rodzinie i Najbliższym

składamy wyrazy głębokiego współczucia i szczerzego żalu
Fundacja Dziedzictwo Kresowe



Konsul generalny RP we Lwowie Jarosław Drozd wraz z pracownikami konsulatu składa kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia rodzinie, bliskim i przyjaciołom zmarłego

TEODORA FURTY

żołnierza kampanii wrześniowej 1939 r. wieloletniego członka Organizacji Polskich Kombatantów Wojny 1939-1945 i Osób Represjonowanych miasta Lwowa



Składamy wyrazy głębokiego współczucia rodzinie i krewnym

śp. TEODORA FURTY

103-letni kombatant odszedł na wieczną wartę.

Cześć Jego pamięci!

Zarząd i członkowie UTW
We Lwowie



Z głębokim żalem informujemy, że 11 stycznia 2014 roku odszedł

TEODOR FURTA

człowiek niezwykle zasłużony, odznaczony za ofiarą służbę w czasie II wojny światowej i aktywną działalność w środowisku kombatantów, wieloletni członek Organizacji Polskich Kombatantów miasta Lwowa.

Rodzinie i Najbliższym

składamy wyrazy głębokiego współczucia i szczerzego żalu

koledzy i kombatanci



Wiadomość o śmierci wybitnego polskiego kompozytora muzyki poważnej i filmowej

Wojciecha Kilara

przyjęliśmy z ogromnym smutkiem i żalem. Najbliższym Zmarłego przekazujemy słowa głębokiego współczucia i otuchy.

Spółeczność Szkoły Średniej nr 24 im. Marii Konopnickiej we Lwowie

REPERTUAR OPERY LWOWSKIEJ styczeń 2014

17 stycznia, piątek, **S. Gułak-Artemowski** opera „ZAPOROŻEC ZA DUNAJEM”, początek o godz. 18:00
18 stycznia, sobota, **B. Pawłowski**, balet PREMIERA „KRÓLEWNA-ŚNIEŻKA”, początek o godz. 18:00
19 stycznia, niedziela, **C. W. Gluck**, opera „ORFEUSZ I EURYDYKA”, początek o godz. 18:00
23 stycznia, czwartek, **F. Lehár**, operetka „WESOŁA WDÓWKA”, początek o godz. 18:00
24 stycznia, piątek, **G. Puccini-M. Skoryk** balet „POWRÓT BUTTERFLY”, początek o godz. 18:00
25 stycznia, sobota, **G. Verdi**, opera „TRUBADUR”, początek o godz. 18:00
26 stycznia, niedziela, **A. Adam**, balet „KORSARZ”, początek o godz. 18:00
30 stycznia, czwartek, **program koncertowy „VIVAT OPERETKA!”**, początek o godz. 18:00
31 stycznia, piątek, **L. Minkus**, balet „DON KICHOT”, początek o godz. 18:00

Informacje:

tel.: 0-0380 (32) 235-65-86, 0-0380 (32) 260-13-60
e-mail: lvivopera@gmail.com, www.opera.lviv.ua

POLSKI ZESPÓŁ PIĘŚNI I TAŃCA „LWOWIACY”

ZAPRASZA do Studium Tańców Polskich dzieci i młodzież w grupach wiekowych 5–8 lat, 8–12 lat, 12–15 lat oraz do starszej grupy zespołu.

Próby zespołu odbywają się w szkole nr 10 we wtorki i czwartki, w godzinach od 18:00 do 21:00. Zgłoszenia przyjmujemy podczas prób zespołu lub na telefon: 0-677-982-315 bądź: 233-05-70, a także udzielamy fachowych rad w dziedzinie polskiego tańca i strojów ludowych.

prezes LMDMSO
Stanisław Durys,
kierownik artystyczny
PZPiT „Lwowiacy”

Ciekawe strony internetowe o Kresach

www.kresy.pl
www.kresy24.pl
www.wspolnota-polska.org.pl
www.kresy.najlepsze.net
www.stanislawow.net
www.kresy.webpark.pl
www.kresy.krakow.com.pl
www.kresy-wschodnie.net
www.wizyt.net
www.kresy.co.uk stanislawow.pl
www.kresy2000.pl

www.hanaczow.pl
www.fotojonny.republika.pl
www.poznajukraine.com
www.wycieczki.pl.ua
www.lwowiacy.pl

Pełne wydanie Kuriera Galicyjskiego w PDF na:

www.kuriergalicyjski.com
www.lwow.com.pl
www.duszki.pl
www.pogranicze.eu

REKLAMA W KURIERZE GALICYJSKIM

**PIERWSZA STRONA
ПЕРША СТОРІНКА**

1 cm² – 8,50 грн.
1 cm² – 8,50 UAH
pełny kolor
повноколірний

**STRONY WEWNĘTRZNE
ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ**

1 cm² – 4,50 грн.
1 cm² – 4,50 UAH
czarno-białe
чорно-білі

**STRONY WEWNĘTRZNE
ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ**

1 cm² – 6,00 грн.
1 cm² – 6,00 UAH
pełny kolor
повноколірний

**STRONA OSTATNIA
ОСТАННЯ СТОРІНКА**

1 cm² – 7,50 грн.
1 cm² – 7,50 UAH
pełny kolor
повноколірний

Na zlecenie naszych klientów umieszczamy ogłoszenia również w prasie ukraińskiej
Ogłoszenia niekomercyjne, po uzgodnieniu z redakcją, mogą być drukowane nieodpłatnie

Kantorowe kursy walut na Ukrainie 16.01. 2014, Lwów

KUPNO UAH		SPRZEDAŻ UAH
8,25	1 USD	8,30
11,25	1 EUR	11,40
2,71	1 PLN	2,78
13,35	1 GBR	13,80
2,46	10 RUR	2,51



Z głębokim smutkiem i żalem Członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich przyjęli wiadomość o odejściu

śp. WOJCIECHA KILARA

Lwowianina, wybitnego polskiego Kompozytora, Wielkiego Artysty, Wspaniałego Utalentowanego, Dobrego, Wrażliwego Człowieka, który pozostawił po Sobie niepowetowaną stratę w polskiej kulturze i światowej muzyce

Rodzinie i Bliskim Zmarłego

wyrazy serdecznego współczucia składa
Towarzystwo Miłośników Lwowa Kresów Południowo-Wschodnich
Zarząd Główny we Wrocławiu



Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

WOJCIECHA KILARA

światowej sławy kompozytora, wielkiego Polaka i patriotę

Rodzinie i Najbliższym

składamy wyrazy głębokiego współczucia

Redakcja gazety Kurier Galicyjski

Adresy placówek dyplomatycznych Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie

Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie

01034 Kijów, ul. Jarosławiw Wai 12
tel.: +38 044 230 07 00
fax: +38 044 230 07 43
+38 044 270 63 36
e-mail:
kijow.amb.sekretariat@msz.gov.pl
http://kijow.msz.gov.pl

Wydział Konsularny Ambasady RP w Kijowie

01034 Kijów,
ul. B. Chmielnickiego 60
tel.: +38 044 284 00 40
faks: +38 044 234 99 89
e-mail: kijow.amb.wk@msz.gov.pl
http://www.kijow.msz.gov.pl

Wydział Promocji Handlu i Inwestycji przy Ambasadzie

01034 Kijów, ul. Wołodymyrka 45
tel.: +38 044 279 12 98, 279 18 31
+38 044 279 45 37, 279 33 40
fax: +38 044 278 11 40
e-mail: kiev@trade.gov.pl
http://www.kijow.msz.gov.pl

Konsulat Generalny RP w Charkowie

61002 Charków, ul. Artioma 16
tel.: +38 057 75-78-801
faks: +38 057 75-78-804
e-mail:
charkow.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.charkow.msz.gov.pl



Konsulat Generalny RP w Odessie

65014 Odessa, ul. Uspienska 2/1
tel.: +38 048 722 56 96
+38 048 722 60 03
fax: +38 048 722 77 01
e-mail:
odessa.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.odessa.msz.gov.pl

Konsulat Generalny RP w Sewastopolu

99003 Sewastopol, pl. Pirogowa 3
tel.: +38 0692 539 881
fax: +38 0692 539 885
e-mail:
sevastopol.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.sevastopol.msz.gov.pl

Konsulat Generalny RP w Doniecku

83015 Donieck, ul. Zielona 7
Tel: (+38062) 304 43 38
Faks: (+38062) 304 43 35

Konsulat Generalny RP we Lwowie

79011 Lwów, ul. Iwana Franki 108
tel.: +38 032 295 79 90
faks: +38 032 295 79 80
e-mail:
lwow.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.lwow.msz.gov.pl

Konsulat Generalny RP w Łucku

43016 Łuck, ul. Dubniwska 22 b
tel.: +38 0332 280 640
faks: +38 0332 280 659
e-mail:
kg.luck@msz.gov.pl
http://www.luck.msz.gov.pl

Konsulat Generalny RP w Winnicy

21050 Winnica, ul. Kozickiego 51
– VI p.
tel.: +38 0432 507-413,
inform.wizowa +38 0432 507-411,
ws. Karty Polaka +380432 507-412
fax: +38 0432 507-414
e-mail:
winnica.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.winnica.msz.gov.pl

Instytut Polski w Kijowie

ul. B. Chmielnickiego 29/2, lok. 17,
01-030 Kijów, Ukraina
tel.: +380 44 288 03 04
fax: +380 44 288 02 86
www.polinst.kiev.ua

Kurier Galicyjski



КУР'ЄР ГАЛИЦІЙСЬКИЙ

REDAKCJA:

Skrytka pocztowa (a/c) nr 537
Lwów 79005,
абонентська скринька № 537
skrytka pocztowa (a/c) nr 80
Iwano-Frankiwska 76018
абонентська скринька № 80
siedziba gazety:
Iwano-Frankiwska 76002
ul. Iwasiuka 60,
Івано-Франківськ, вул. Івасюка 60
tel. redakcji w Stanisławowie:
+38 (0342) 54-34-61
tel./faks redakcji we Lwowie:
+38 (032) 261-00-54
e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl
konto bankowe na Ukrainie:
ПП Ровіцкі М.М.
Код ЄДРПОУ 1965816635
р/р 2600001244414 в Івано-
Франківському відділенні
ПАТ «КРЕДОБАНК»,
м. Івано-Франківськ МФО 325365

Świadectwo rejestracji
Seria KW nr 12639-1523 R
wydane 14.05.2007

Свідоцтво про державну реєстрацію
Серія KB № 12639-1523 P
від 14.05.2007 р.

Założyciel i wydawca:
Miroslaw Rowicki
Засновник і видавець
М. М. Ровіцкі

Skład redakcji:

Marcin Romer:
redaktor naczelny
e-mail: zgrodurevery@wp.pl
Maria Basza:
zastępca red. naczelnego,
dział fotoreportażu oraz dział grafiki
komputerowej
e-mail: mariabasza@wp.pl
Beata Kost
zastępca red. naczelnego
bkost@wp.pl
Konstanty Czawaga
e-mail: konstantyczawaga@wp.pl
Krzysztof Szymański
e-mail: krzyszymanski@wp.pl
dział informacji regionalnej
i reportażu
Eugeniusz Sała
Eugene.salo@gmail.com
Natalia Kostyk
e-mail: nataliakostyk@wp.pl
Alina Wozijan
e-mail: alina_wozijan@op.pl
administracja portalu
Jurij Smirnow:
dział kulturalno-historyczny.

Stale współpracują:

Agnieszka Sawicz, Wojciech Jan-
kowski, Julia Lokietko, Iwona Borsz-
kowska, Joanna Demcio, Elżbieta
Lewak, Włodzimierz Bartkowiak,
Sabina Różycka, Szymon Kazimier-
ski, Aleksander Niewiński, Michał
PiekarSKI, Irena Kulesza, Witold
Dzięciołowski Tadeusz Olszański,
Tadeusz Kurlus, Jacek Borzęcki, Re-
nata Kłęczarska, Wojciech Krysiński,
Aleksander Szumański, Włodzimierz
Osadczy, Taras Prochaśko, Dorota
Jaworska, Wojciech Grzelak, Zbi-
gniew Klimecki, Eugeniusz Niemiec,
Barbara Stasiak, Katarzyna Łoza,
Dmytro Antoniuk, Tadeusz Zubiński,
Zbigniew Kulesza i inni.

Drukujemy również teksty autorów,
z którymi się nie zgadzamy!

Projekt/Program jest współfinan-
sowany ze środków finansowych
otrzymanych od Ministerstwa Spraw
Zagranicznych w ramach konkursu
na realizację zadania „Współpraca z
Ponią i Polakami za granicą”.

Za treść ogłoszeń, oświadczeń i
reklam redakcja nie ponosi odpo-
wiedzialności, nie zamówionych
rękopisów nie zwraca i pozostawia
sobie prawo do skrótów.

ТзОВ Видавничий Дім «Молода
Галичина».

Indeks na prenumeratę 98780
Indeks przedpłaty 98780
Газета виходить 2 рази на місяць

Nowe muzeum na Nowy Rok

Na terenie zamku księcia Lubarta w Łucku otwarto muzeum malarstwa, podstawę ekspozycji tworzą dzieła ze zbiorów Radziwiłłów.

AGNIESZKA RATNA tekst
lutskrada.gov.ua zdjęcia

Przed czterdziestu laty łucką galerię sztuki umieszczono w dawnym gmachu powiatowej kancelarii i sądu szlacheckiego, zbudowanego na ruinach książęcego pałacu. Zbudowania liczą sobie ponad dwieście lat, są wpisane na listę narodowych zabytków. Gmach od dawna wymagał remontu, ale władze latami nie podejmowały decyzji w tej sprawie. Muzeum popadało w ruinę. Zagrożona była też kolekcja cennych obrazów mistrzów europejskich.

– Jeszcze przed kilku laty każdy mógł zobaczyć w jak katastroficznym stanie było nasze muzeum – mówi kierownik muzeum Zoja Nawrocka. – Grzyb na ścianach, odpadający tynk z sufitów. Czasem z obrazów zdejmowaliśmy całe fragmenty tynku.

Dziś o tych trudnych czasach przypomina jedynie kolekcja fotografii łuckiego fotografa Wiktora Czuchraja, którą można oglądać w holu muzeum. Artysta uwiecznił na nich kolejne etapy prac remontowych, rozpoczętych przed rokiem. W trakcie remontu zmieniono układ sal, poszerzono powierzchnie wystawowe, zamontowano nowoczesne oświetlenie dzieł sztuki i systemy alarmowe. Zwiedzający zobaczą ekspozycję, na którą składają się zbiory muzeum, większość dzieł poddano renowacji i osadzono w nowych ramach. Remont kosztował 3,1 mln hrywien, przekazano je z budżetu państwa.

– Mamy czym zachwycić i przykuć uwagę najbardziej wymagającego gościa. Nie tylko z Ukrainy, ale z całej Europy – mówi dyrektor Wołyńskiego Muzeum Krajoznawczego Anatol Syliuk. – Ekspozycja obejmuje zbiory magnackiego rodu Radziwiłłów z Ołyki, w latach 50-tych zabezpieczyli je nasi pracownicy. Rarytatem tej kolekcji jest obraz „Święty Hieronim” pędzla Josepe de Ribery z 1644 roku. Są tu też



Przed otwarciem nowej ekspozycji. Po lewej Zoja Nawrocka, dyrektor muzeum

znane dzieła „Elizeusz i Rebeka” Poussina, „Batalia” Courtoisa czy pejzaże Magnasco. Malarstwo polskie reprezentują dzieła Kossaka, Brandta, Suchodolskiego. Jest też cała galeria portretów rodzinnych Radziwiłłów.

Jak mówi kierownik muzeum Zoja Nawrocka kolekcja cudem ocalała. Gdy do rezydencji Radziwiłłów w Olyce w 1939 roku weszli sowieci, ostatni właściciel zamku Janusz Ra-



„Święty Hieronim”. Josepe de Ribera, rok 1644

dziwił, znany polityk polski, został aresztowany. Jego majątek został częściowo rozgrabiony, resztę wywieziono lub niszczone.

– Żołnierze nie oszczędzili bezcennych dzieł sztuki – ciągnie dalej pani Zoja. – Najbardziej zniszczone zostały portrety rodowe Radziwiłłów. Było ich w kolekcji około trzystu. Świadkowie opowiadali, że czerwonarmiejcy zabawiali się strzelaniem do postaci na portretach, cięli je nożami i deptali.

Dziś w odnowionym muzeum galeria Radziwiłłów zajmuje całą salę. Renowacją zajęli się kijowscy konserwatorzy. Nowa ekspozycja mieści się w sześciu salach. W jednej z sal wyeksponowano prace Lucasa Cranacha i innych artystów. Są to dzieła, które zostały przekazane do muzeum przez celników z Jahodyna, pochodzą z przemytu.

Dyrektor Nawrocka mówi, że instytucja zostanie przekształcona w centrum artystyczne, ważne dla całego Wołynia. Plany obejmują stałe ekspozycje, ale również organizację konferencji, wystaw, spotkań z artystami.



Pierwsi goście podziwiają odnowioną galerię Radziwiłłów

Kurier Galicyjski

Można zaprenumerować
na pocztę!!!

KOD PRENUMERATY
УКРПОШТА 98780

Cena prenumeraty pocztowej
1 miesiąc – 5,96 hrywien
3 miesiące – 17,88 hrywien
6 miesięcy – 35,76 hrywien
12 miesięcy – 71,52 hrywien

Organizacje i instytucje mogą też zamawiać prenumeratę bezpośrednio w naszej redakcji: osobiście, telefonicznie, listownie lub drogą mailową:
kuriergalicyjski@wp.pl

PRENUMERATA W POLSCE

Możliwa jest prenumerata redakcyjna do Polski i innych krajów. W sprawie prenumeraty gazety do Polski, prosimy o kontakt pod naszym adresem e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl lub listownie, telefonicznie, faxem na numery i adresy podane w stopce redakcyjnej.

Ponadto „Kurier Galicyjski” można kupić:

w Krakowie w Księgarni „Nestor” przy ulicy Kanoniczej 15, tel.: +48 (012) 421 92 94 (kod pocztowy 31-002); w Przemyślu – w Południowo-Wschodnim Instytucie Naukowym, przy ul. Grodzkiej 3 (kod pocztowy 37-700), tel.: +48 (016) 678 73 33; w Warszawie, w Biurze Turystyki KALINKA, ul. Marszałkowska 115 (wejście od ul. Przechodniej), 00-102 Warszawa. Biuro jest czynne pn-pt w godz. 8:00-16:00 oraz w księgarni Radia WNET pod adresem: Warszawa, ul.: Koszykowa 8.

Kurier Galicyjski można kupić

Na terenie całej Ukrainy można kupić nasze pismo w kioskach „Ukrpoczty”.

Ponadto:

- w kioskach „Wysoki Zamek” we Lwowie, w Drohobyczu, Truskawcu, Borysławiu, Samborze, Starym Samborze, Turce i Stebnyku;
- w kioskach „Interpres” oraz kioskach „Presa”;
- w polskiej restauracji „Premiera Lwowska” przy ul. Ruskiej 16 we Lwowie;
- w hotelu „Leopolis” – najlepszym hotelu na Ukrainie;
- w kościele św. Antoniego we Lwowie, przy kościele Marii Magdaleny we Lwowie (w niedzielę po nabożeństwie), a także przy kościele w Krzemieńcu;
- pismo jest też dostępne w Instytucie Polskim w Kijowie.

Miesięcznik Polak Mały można zaprenumerować na pocztę na Ukrainie!!!

KOD
PRENUMERATY
УКРПОШТА
68416

Cena prenumeraty
pocztowej:

1 miesiąc – 3,50 hrywien,
3 miesiące – 10,50 hrywien,
6 miesięcy – 21,00 hrywien,
12 miesięcy – 42,00 hrywien.



Partnerzy medialni

